

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



**ZERO
HAMULCÓW**

Czemu poważni ludzie idą
do kanału Stanowskiego



**WYSOKIE
OBCASY**

Szefowa „Trójki”:
Żale rozbroiłam
na terapii

FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Upadek Putina już się zaczął

To będzie
powolna erozja,
nie zamach stanu

**Kto nie chciał
do NATO**
Aż 11 posłów nie poparło
polskiej akcesji



**Życie
na krawędzi**
Czy Józef Bem
był szalony?

Łowca kosmitów:
Nie jesteśmy
panami stworzenia
► 33

CONTRIBUTOR/GETTY IMAGES

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Sobota-niedziela, 16-17 marca 2024 | Redaktorka prowadząca Ewa Wiczorek | Cena gazety 9,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 64.10558, 1

Nakład 95 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

Agnieszka
Kublik

Pułapka PiS-u na PiS

7 lutego Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik szturmowali Sejm – w asyście prominentnych posłów PiS, m.in. Antoniego Macierewicza, Ryszarda Terleckiego – po raz ostatni. Do Sejmu nie weszli. A marszałek Sejmu Szymon Hołownia opowiadał potem, że po przejrzeniu nagrań z tej akcji PiS, ujrzał, iż posłowie Kaczyńskiego „podduszali”, „wykręcali palce” i „popychali” funkcjonariuszy Straży Marszałkowskiej. Wedle marszałka „szarpany” miał być również i sam Kamiński, którym „Antoni Macierewicz próbował wejść do Sejmu”.

Żenujące widowisko.

PiS potem straciło kilka punktów procentowych. Wyborcy nie dali się nabrać na kryształowo czystych przestępców. Naród dostrzegł w tym oksymoron. Także w okrzykach Kaczyńskiego, że „mamy odchodzenie od systemu demokratycznego i zmieniany go w system niedemokratyczny, że idzie to po prostu ku zwykłej dyktaturze”.

Kamiński i Wąsik potem już nie próbowali dostać się do Sejmu – ani w lutym, ani na ostatnim posiedzeniu. Nie starali się przyjść do pracy. Tak, do pracy, skoro nadal uważają, że są posłami. Ale wygląda na to, że już nie uważają, że są.

Miejsce Kamińskiego zajęła Monika Pawłowska. Wprawdzie PiS opuścił salę plenarną, gdy ślubowała, ale potem posłowie wrócili na swoje miejsca. Choć w ławach nie było ani Kamińskiego, ani Wąsika. I nie był to żaden problem. Będzie dla

prezydenta Andrzeja Dudy. Wszak obiecał publicznie odsyłać następczo do trybunału Przylębskiej wszystko, co uchwali Sejm. Bo bez Kamińskiego i Wąsika.

Duda ocenia bowiem, że „arbitralne pozbawienie mandatu posła uniemożliwia mu reprezentowanie Narodu i sprawowanie władzy w jego imieniu”, co prowadzi do sytuacji, gdy „nie ma pewno-

ści, czy ustawy pochodzą od organu spełniającego konstytucyjne wymogi”.

Kamiński i Wąsik chcieliby startować w wyborach europejskich. Jeśli wystartują i zdobędą euromandaty, Duda straci pretekst, by blokować prawo uchwalane przez większość rządową. To mu się nie spodoba, przecież dał im schronienie w swoim Pałacu, gdy policja chciała ich zatrzymać i przewieźć do więzienia. Dlatego Duda cały czas się upiera, że nadal są posłami, w przeciwnym wypadku gościliby u siebie przestępców.

A i Kaczyński może mieć z tym dylemat, bo aż 79 proc. badanych uważa, że Kamiński i Wąsik nie powinni startować w europejskich wyborach.

PiS tak nakręcił (się) w tej sprawie, że dziś wszystkie rozwiązania są złe.

Pod koniec lutego Kaczyński na pisowskim seminarium o praworządności w Polsce (!) pytał retorycznie, „czy w Polsce obowiązuje konstytucja”.

To już wiemy, że obowiązuje. Bo zgodnie z konstytucją osoba skazana prawomocnym wyrokiem nie jest posłem.

I Kamiński, i Wąsik nie są. ●

Andrzej rysuje

Normandia
Siła księżycyca

FOT. REUTERS/STEPHANE MAHE

Przed podróżą do sanktuarium Michała Archanioła na wyspie jego imienia, czyli Mont Saint-Michel, sprawdzmy rozpisę godziny przyływów i odpływów. To zakrywają, to odkrywają 1800-metrową groblę prowadzącą na wyspę.

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Patrz w górę!



FOT. NASA

NASA zapowiada, że rozbłyśnie nowa gwiazda i będzie można to zobaczyć nieuzbrojonym okiem. Może dziś, a może dopiero za pół roku. Trzeba być czujnym. Będzie to w konstelacji Korony Północnej, w połowie drogi między dwoma jasnymi gwiazdami – Węgą i Arkturem. ► Wyborcza.pl

Koniec zemsty Picassa
Françoise Gilot odzyskana

Muzeum Picassa w Paryżu zapowiada otwarcie oddzielnej sali poświęconej malarstwu Françoise Gilot. Dożyła wieku 101 lat i zmarła w czerwcu ubiegłego roku. Ale w historii sztuki zapisała się niemal wyłącznie jako partnerka i muza Picassa. To, że była utalentowaną malarką z sukcesami zostało niemal zupełnie zapomniane, zwłaszcza we Francji, jej kraju rodzinnym. Za sprawą Picassa.

W Stanach Zjednoczonych, gdzie później zamieszkała, jej prace w ekspozycjach stałych pokazują Metropolitan Museum of Art czy Museum of Modern Art w Nowym Jorku.

Miała 21 lat, gdy poznała starszego o 40 lat artystę. Mieli dwoje dzieci – Claude’a i Palomę, przyszłą projektantkę mody. Związek po 10 latach zakończył się z hukiem – Gilot zostawiła Picassa, zabierając dzieci. Jej sławny partner był brutalny – na portretach Gilot pędziła Picassa widać czarną kropkę na policzku. To blizna po papirosie, który zgasił na jej twarzy. Traumatyczne doznania opisała



FOT. MAUZON BRUNO/BE&W

później w autobiografii „Moje życie z Picassem”.

Gdy odeszła – a zwykle to Picasso porzucał swoje kochanki – mógł na galerii Louise Leiris rezygnację z reprezentowania interesów Gilot, namówił też innych wystawców sztuki, aby nie pokazywali jej obrazów.

Pozostawiła po sobie rysunki, akwarele, ceramikę (zainteresowanie to podzielał z nią Picasso) i malarstwo olejne. Początkowo pozostawała pod wpływem postimpresjonizmu, później będąc z Picassem próbowała kubizmu, ostatecznie rozwinęła własny styl. ●

Anna S. Dębowska

W poniedziałek w „Wyborczej”

Duży Format

Siedmioro dzieci
na umowę
zlecenie

Na każde dostają miesięcznie 1361 zł. To musi wystarczyć na wszystko. Dzieciom z niepełnosprawnością państwo dorzuca jeszcze 274 złote. Z Beatą Potocką, matką zastępczą, przewodniczącą Koalicji na rzecz Rodzinnej Opieki Zastępczej, rozmawia Katarzyna Włodkowska



To nie wina Tuska

Legalnej aborcji nie będzie

Aborcja do 24 tygodnia, gdy płód ma 6 miesięcy i za chwilę albo i już może przeżyć, to wiatr w żagle dla PiS i Konfederacji

Wielowieyska



W Sejmie nie ma większości dla legalnej aborcji do 12. tygodnia w wersji Lewicy i Koalicji Obywatelskiej. Uczestnicy ostatniej aborcyjnej klótni zdają się ten fakt pomijać, koncentrując się na mobilizacji swojego elektoratu przed wyborami samorządowymi i europejskimi.

Do laski marszałkowskiej złożono cztery projekty ustaw dotyczące aborcji. Propozycje Lewicy i KO legalizują aborcję do 12. tygodnia, inny projekt Lewicy zakłada całkowitą depenalizację. Projekt Trzeciej Drogi zakłada przywrócenie tzw. kompromisu aborcyjnego sprzed wyroku Trybunału Julii Przyłębskiej z 2020 r. W przygotowaniu jest projekt o przeprowadzeniu referendum w tej sprawie, także autorstwa PSL i Polski 2050.

W Koalicji 15 października rozgorzała klótnia aborcyjna. Marszałek Hołownia przesunął ich rozpatrywanie na 11 kwietnia po pierwszej turze wyborów samorządowych. Posłanki Lewicy gwałtownie wyrażały gniew i domagały się, by Sejm zajął się tymi projektami już teraz. Niemniej dla zalegalizowania aborcji nie ma to żadnego znaczenia, ponieważ Andrzej Duda zawetuje każdą zmianę tego prawa. I to wyłącznie z projektem Trzeciej Drogi, przywracającym tzw. kompromis aborcyjny. Prezydent uważa, że aborcja to barbarzyństwo i gdyby prawo miało odzwierciedlać jego poglądy, to nawet legalne przerwanie ciąży w wyniku gwałtu stałoby pod znakiem zapytania, tyle, że żona i córka zabraniają mu o tym wspominać publicznie.

Dziś Duda uważa, że decyzja Trybunału jest obowiązująca i teraz aborcja jest dopuszczalna tylko w przypadku gwałtu oraz zagrożenia życia lub zdrowia kobiety. Natomiast przesłanka dotycząca wady płodu, która była w ustawie przed 2020 r., została – jego zdaniem – skutecznie wykreślona.

Reasumując: nie będzie żadnej zmiany ustawy przed przyszłorocznymi wyborami prezydenckimi. Jedyne, co rząd Donalda Tuska może zrobić tu i teraz, to decyzjami administracyjnymi zmusić szpitale oraz prokuratury, by nie respektowały decyzji Trybunału ze względu na udział nieuprawnionych dublerów w orzekaniu. I premier to zapowiedział bardzo wyraźnie – np. szpitale będą miały obcinane kontrakty z NFZ.

W obecnym Sejmie nie ma większości dla legalnej aborcji do 12. tygodnia. PiS i Konfederacja mają 210 głosów, Koalicja Obywatelska oraz Lewica – 183 głosy. Pozostaje Trzecia Droga, która jest podzielona. Pod projektem TD, przywracającym tzw. kompromis, podpisało się ok. 50 posłanek i posłów. Niektóre osoby z tej grupy za jakąś liberalizację byłyby skłonne zagłosować, ale nie



• 8 marca, w proteście przeciwko wstrzymywaniu prac nad obiecanym poluzowaniem prawa aborcyjnego członkinie Strajku Kobiet przemaszzerowały spod Pałacu Prezydenckiego pod siedzibę Polski 2050 FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

za wersją KO i Lewicy. Choćby dlatego, że te propozycje dopuszczają aborcję do 24. tygodnia. W projekcie KO – w bardzo szczególnych przypadkach ciężkich i nieodwracalnych wad płodu. Lewica proponuje, by także wtedy, gdy ciąża pochodzi z gwałtu. W przypadku płodu, który ma sześć miesięcy i za chwilę albo nawet już ma szansę przeżyć poza ciałem matki, to bardzo dyskusyjne rozwiązanie i wiatr w żagle PiS oraz Konfederacji. A i dla wielu zwolenników liberalizacji to trudne do zaakceptowania.

Przyjmijmy jednak, że 24 tygodnie zostaną wykreślone w czasie prac komisji sejmowej. Wtedy można szacować, że np. cztery osoby z PSL poprą jakąś formę liberalizacji. Jeśli chodzi o Polskę 2050, w najbardziej optymistycznym scenariuszu za przyznaniem wyboru kobiecie zagłosuje 3/4 klubu. A więc zwolennikom liberalizacji zabrakłoby 10- 20 głosów. Już samo przesłanie wszystkich projektów do komisji musiałoby się odbyć na zasadzie konsensusu politycznego, które uzgodnili by liderzy Koalicji 15 października.

Póki co mamy konflikt między Lewicą a Trzecią Drogą, a KO przygląda się z boku. W TD narasta przekonanie, że Tuskowi na rękę jest taka klótnia mniejszych koalicjantów, bo dzięki temu nie mogą się zjednoczyć w innych sprawach, by wspólnie negocjować swoje w kontrze do KO, a dominacja największego koalicjanta jest umacniana. Uważam jednak, że Tusk daje sobie sprawę, iż pat w dłuższej perspektywie zaszkodzi jego ugrupowaniu. KO uznawała liberalizację tej ustawy za jeden z priorytetów. Sondaże wskazują, że większość Polaków – 50- 60 proc. – uważa, że to kobieta powinna mieć wybór. W jednym z sondaży IPSOS-u dla Oko.press ten odsetek urosł nawet do 66 proc. Jednocześnie duża część tych zwolenników liberal-

■ **Gdyby prawo miało odzwierciedlać poglądy Andrzeja Dudy, to nawet legalne przerwanie ciąży w wyniku gwałtu stałoby pod znakiem zapytania, tyle, że żona i córka zabraniają mu o tym wspominać publicznie**

nego prawa odrzuca hasło „aborcja jest OK” i uważa ją za „tragedię”. Tak wynika z pogłębionego sondażu IPSOS-u dla think tanku More in Common, ujętego w raporcie „Z troską i empatią. Polki i Polacy o prawie do przerywania ciąży”. Zwolenników poglądów Lewicy i jej emocji w tej kwestii – wedle różnych sondaży – jest około 20-30 proc.

Lewica zdawała sobie sprawę, że Sejm jest tu bardziej konserwatywny niż wyborcy Koalicji 15 października. Dlatego zgłosiła projekt depenalizacji: aborcja pozostaje nielegalna, tyle, że nie ma za nią żadnych kar dla lekarzy oraz osób, które pomagają przy aborcji, a tym bardziej dla kobiet. Ale i ten projekt raczej nie ma większości głosów, choć może być sygnałem, w którą stronę mogą pójść negocjacje. O ile Koalicja 15 października byłaby skłonna opracować jakieś rozwiązanie kompromisowe w komisji sejmowej. Ale jeśli nie, i wygra idea „czystości doktryny” po obu stronach sporu, jesteśmy skazani na klincz.

Słowo „kompromis” wielu osobom się źle kojarzy, jednak tym razem oznaczałby, że w praktyce decyzja należałaby do kobiety. Niektórym posłom Trzeciej Drogi podoba się prawo, które obowiązuje w Niemczech. Tam na poziomie deklaracji aborcja jest nielegalna, ale ostatecznie to kobieta decyduje i ma dostęp do zabiegu. U naszego sąsiada aborcja jest legalna w dwóch przypadkach:

1. gdy ciąża zagraża życiu bądź zdrowiu fizycznemu i psychicznemu matki,
2. gdy jest wynikiem gwałtu, występu kazu rodzinnego i przestępstwa pedofilskiego.

W pozostałych jest nielegalna, tyle tylko, że jeśli kobieta spełni określone warunki, to ani ona, ani lekarz nie ponoszą kary za przerwanie ciąży do 12. tygodnia. Wystarczy, że lekarz otrzyma zaświadczenie, iż kobieta co najmniej trzy dni wcześniej była na rozmowie w zatwierdzonej przez państwo poradni. Tam uzyskuje wsparcie i informacje, gdzie może znaleźć dodatkową pomoc psychologiczną i finansową, jeśli zdecyduje się urodzić, oraz o możliwości adopcji.

Gdyby polskie prawo uwzględniało takie rozwiązania, być może część parlamentarzystów centroprawicowych byłaby skłonna poprzeć taką ustawę

lub przynajmniej wstrzymać się od głosu, co w praktyce oznaczałoby, że nie będą blokować nowelizacji. Bo jest przyjmowana zwykłą większością, kiedy to głosy wstrzymujące działają tak, jak głosy „za”.

W 1993 r. został uchwalony tzw. kompromis aborcyjny. Trzy lata później Sejm znowelizował tę ustawę, dodając przesłankę o trudnej sytuacji osobistej kobiety. Jednak w 1997 r. Trybunał Konstytucyjny orzekł, że nowelizacja jest niezgodna z konstytucją. Ten wyrok wciąż jest w obiegu prawnym, choć niektórzy prawnicy go kwestionują, bo zapadł na bazie tzw. małej konstytucji. Nowa konstytucja weszła w życie także w 1997 r., ale kilka miesięcy po wyroku TK.

Ustawa w wersji niemieckiej, umiejętnie napisana, eksponująca np. sprawę zdrowia psychicznego kobiety, mogłaby „zbajpasować” wyrok z 1997 r. i zapobiec sytuacji, w której Trybunał zacznie kiedyś działać i konserwatyści natychmiast nową ustawę doń zaskarżą. A sędziowie wezmą pod uwagę wyrok z 1997 r. Także dlatego optymalnym scenariuszem dla Koalicji 15 października byłoby uchwalenie kompromisowej ustawy, która nie legalizuje aborcji, lecz na wzór niemiecki depenalizuje i stawia warunek porady u psychologa.

Jednocześnie liderzy koalicji rządzącej musieliby dokładnie policzyć głosy przed ostatecznym głosowaniem, bo wiadomo, że część posłów PSL czy PL 2050 zagłosuje przeciwko takiej ustawie, nawet w wariantcie niemieckim. I nic ich nie zmusi do zmiany zdania. Także Lewica może się zbuntować, jeśli będzie chciała trzymać się czystości doktryny. Ale gdyby zawarto jakieś porozumienie w koalicji, część konserwatystów wstrzymała się od głosu albo zatrzasnęła się w łazience na czas głosowania, to może się zdarzyć, że ustawa przejdzie. Najlepiej po wyborach prezydenckich.

Dla Lewicy i KO alternatywa jest taka: albo bardziej liberalne prawo w porównaniu do tzw. kompromisu, albo pat, z którego wyjściem będzie tylko referendum. Tym bardziej, że jeśli Hołownia zostanie prezydentem, to – zgodnie z jego dzisiejszymi deklaracjami – nie podpisze liberalnej ustawy. Chyba, że w referendum większość Polaków opowie się za tym rozwiązaniem.

A teraz trochę prywaty: w latach 90. mój ojciec, poseł Andrzej Wielowieyski, starał się o wypracowanie kompromisu na wzór niemiecki: chodził do jednej i drugiej strony tego politycznego sporu, tłumacząc, że jego wariant z jednej strony daje kobiecie wybór, a z drugiej – może ograniczyć liczbę aborcji, bo część kobiet wycofa się z decyzji po spotkaniu z psychologiem. Tymczasem dziś kobiety przerywają ciążę nielegalnie, za pieniądze, często ryzykując zdrowie – i cel, deklarowany przez konserwatystów, nie jest osiągnięty. Ale wtedy każda strona obstawała przy swoim. Wyszła z tego bardzo restrykcyjna – jak na warunki europejskie – ustawa. Być może dziś czeka nas „powtórka z rozrywki”. ●

Dominika Wielowieyska



PIOTR GŁUCHOWSKI
WSPÓŁPRACA:
IWONA GÖRKE

Zero

HAMULCÓW

Tajemnica sukcesu Stanowskiego: odkrycie, że poza PiS i PO istnieją inne ważne sprawy, o których ludzie chcą słuchać i rozmawiać

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

O — Gdy Stanowski prowadził jeszcze Kanał Sportowy, część ludzi brzydziła się tam chodzić — mówi warszawski komentator sportu z pokolenia 50 plus. — On miał tego świadomość, więc Kanał Zero wystartował od wywiadu z prezydentem. Bo jeśli Andrzej Duda zgodził się wystąpić, to chyba osoby mniej ważne nie mają powodu, by kręcić nosami.

I rzeczywiście: nie kręcą, przychodzą. Tworzony od końca zeszłego roku nowy projekt medialny influencera, dziennikarza i przedsiębiorcy medialnego Krzysztofa Stanowskiego ma już 900 tysięcy subskrybentów na YouTube, a bywają tam i były minister szkolnictwa, typowany na następcę Kaczyńskiego w PiS poseł Przemysław Czarnek, jak i posłanka Anna Maria Żukowska z Nowej Lewicy. Koalicyjny wiceminister rolnictwa Michał Kołodziejczak i były pisowski szef tego resortu Jan Krzysztof Ardanowski.

Własne programy w Zerze mają m.in.:

- znany komentator ekonomiczny Robert Gwiżdowski, który mówi o gospodarce;
- gwiazda radiowego wywiadu politycznego Robert Mazurek, który opowiada o polityce;
- raper Tede, czyli Jacek Graniecki; wraz ze współprowadzącą telewizyjne „Kolo Fortuny” Izabellą Krzan serwuje poranną audycję „Siódma Zero Zero”;
- profesor Marcin Matczak, który mówi o polityce i prawie;
- wreszcie znany wcześniej z TVN Marcin Meller, który prowadzi podcast „Trzecie śniadanie”.

— Jak się pan znalazł w Zero? — pytam ostatniego.

— Krzysztofa Stanowskiego znam od lat. Chciałem go kiedyś zaprosić do „Drugiego śniadania mistrzów”, lecz stacja się nie zgodziła. Był to chyba jedyny przypadek, że utracili mi gościa. Bo podobno „nie spełnia kryterium dziennikarza”, ponieważ w swoich wcześniejszych projektach, jak Weszło i Kanał Sportowy, promował bukmacherkę. Potem się spotkał z jesienią 2022 r., gdy odchodziłem z TVN i myślałem o własnym programie youtubowym. Stanowski mi tłumaczył, „jak ugryźć inter-

net”. Słusznie wyjaśnił, że pokolenie wychowane na kotkach w telefonach zdążyło dorosnąć i teraz oczekuje od sieci podania poważnych treści. Takich nazwijmy to telewizyjnych, przy czym oni telewizorów nie mają. Tymczasem YouTube owszem — puszcza i treści serio, ale rozproszone. A chodzi o to, by były w jednym miejscu. Kilka miesięcy temu Krzysztof mi powiedział, że zaprasza do współpracy przy „telewizji dla ludzi nieoglądających telewizji”.

Z ubiegłorocznego sondażu CBOS wynika, że dla mających poniżej 45 lat Polek i Polaków telewizor, radio i prasa razem wzięte są mniej ważnymi źródłami informacji niż sieć. W dodatku szacunek do tradycyjnego dziennikarstwa zanika. W badaniu zaufania zleconym w 2023 r. przez rządowy Instytut Finansów dziennikarze uplasowali się za księżmi, sędziami i urzędnikami. Trend idzie z USA: tam niedawna ankieta pracowników Gallupa wykazała, że ufność wobec „starych” mediów jest najniższa w historii pomiarów.

— Jak by pan określił polityczną proveniencję Zera? — pytam Mellera.

— Centro-prawoskrętna. W innym świecie Stanowski mógłby być twarzą prozachodniego, wolnościowego, prawicowego populizmu, lecz bez tego polskiego sklejania z Kościołem, bez nacjonalistycznego przegięcia.

— A w świecie, który mamy?

— Zero jest wolnościowo-libertariańsko-antyelitarnym misz-maszem. W kontrze do politycznej poprawności. Raczej totalne korzystanie z wolności słowa i chęć rozmowy z każdym. Mogę zapraszać, kogo chcę i pytać, o co chcę. Po jednym programie wylewa się na mnie hejt z prawej strony, po drugim — z lewej. Czyli droga jest słuszną.

Oglądanie podcastów z Kanału Zero zaczynam od wywiadu Mazurka i Stanowskiego, który przeprowadzili 2 lutego z prezydentem (trzy miliony wyświetleń w ciągu miesiąca). Panowie siedzą w roz-

piętych koszulach i swetrach, Stanowski narzeka w rozmowie, że „sytuacja w Polsce jest nieznośna, bo cokolwiek człowiek zrobi, zaraz jest przypinana do tego latka polityczna i trzeba należeć do jednego plemienia”. Mazurek próbuje dyskutować z głową państwa o Trybunale Konstytucyjnym i powołaniach sędziów, natomiast „Stan” (tak mówią o nim bliscy znajomi) wierci się, by wreszcie stwierdzić: — To się nigdy nie skończy, zawsze jedna i druga strona będą miały przeciwne zdania...

Potem youtuber wyraża wątpliwość, czy po zakończeniu drugiej kadencji prezydent mógł bezpiecznie chodzić po ulicach rodzinnego Krakowa, skoro „złe nastroje społeczne narastają i robi się nieznośnie gęsto”. W końcu stawia „ostre” pytanie:

— Jest mnóstwo memów o panu i o [Jarosławie] Kaczyńskim, cały obóz PiS stał się dla młodych ludzi poniekąd memiczny. Trudno mi sobie wyobrazić, w jaki sposób to miałyby zostać odwrócone... Jak myślę, gdzie będzie ten obóz za 10 lat, widzę taki Sojus Lewicy Demokratycznej, przechowalnię dla sytych kotów, ale już nie widzę jednego z dwóch głównych graczy.

Prezydent łatwo się z tą tezą rozprawia, po czym wyraża nadzieję, że „obóz republikański i konserwatywny” w takiej czy innej formie jeszcze wróci do władzy, „bo Polska zyskuje na tego typu rządach”.

W końcu „Stan” wyznaje, że sam myśli o starcie w wyborach prezydenckich.

Tydzień po tej rozmowie redakcja „Rzeczpospolitej” zamówiła w pracowni SW Research badanie szans youtubera. Pytanie: „Czy gdyby Krzysztof Stanowski wystartował w wyborach prezydenckich, mógłby liczyć na Pani/Pana głos?”. Odpowiedzi „tak” — 10 proc. „Nie” — 43 proc. „Nie wiem” — 15. Reszta przyznała, że influencera nie zna.

Nazwałem Stanowskiego influencerem, ponieważ tylko na portalu X obserwuje go ponad milion osób, na Instagramie 320 tysięcy, a na Facebooku przeszło 150 tys.

– Prezydentury jednak nie zdobędzie – mówi mi publicysta i gospodarz porannych dyskusji w TOK FM Jacek Żakowski. – Chociaż z łatwością zdobywa fanów, bo przecież w ilości widzów Zero dogoniło TV Republika, zostanie jedynie elementem galaktyki mediów niemainstreamowych. Ważnym między innymi dlatego, że ludzie korzystający z przekąźników głównego nurtu są już zmęczeni ich przewidywalnością, która zresztą bardzo obniża wiarygodność, a Zero sprawia wrażenie nieprzewidywalnego.

– Stanowski to symetrysta?
– Tak bym nie powiedział. Nie da się go wepchnąć w spór Tuska i Kaczyńskiego – to jest jego atut. Że na scenie politycznej trudno go usadować nawet i pośrodku. A duża część społeczeństwa funkcjonuje poza podziałem na PiS i anty-PiS.

– Mam przeciwnie wrażenie: rozbrat wdziera się w coraz nowe rejony. Już nawet inwestycje infrastrukturalne są albo pisowskie, albo koalicyjne.

– Owszem. I właśnie ekspansywność podziału powoduje, że coraz większa część społeczeństwa chce z tej pułapki uciec. Bo poza PiS i Platformą są inne ważne sprawy. Stanowski po pierwsze to dostrzegł, a po drugie – umie zrobić użytek. Kanał Zero ma, moim zdaniem, przyszłość.

Podobnie sądzi socjolog i komentator polityczny profesor Jarosław Flis:

– Biorę do ręki „Newsweek” i po lekturze mam ochotę zagłosować na PiS. Ale wystarczy poczytać „Sieci”, by tę ochotę stracić. Mediów tożsamościowych nie brakuje, natomiast tych nieoczywistych mamy wyraźny deficyt. A ludzie lubią być zaskakiwani. Jeżeli nie wiem, co jest w pudełku, ono się robi ciekawsze od pudełka, którego zawartość znam.
– Twórcy Zera deklarują zerwanie z polit-popravnością...

W innym świecie Stanowski mógłby być twarzą prozachodniego, wolnościowego, prawicowego populizmu, bez sklejenia z Kościołem, bez nacjonalistycznego przejęcia

MARCIN MELLER

– Poprawność stała się w ostatnich latach pałąk do nawalania przeciwników. Coraz więcej osób postrzega ją jako cenzurę i kastrowanie umysłów. Sądzę jednak, że w przypadku kanału Stanowskiego to zerwanie stanowi zabieg marketingowy. Kontrrewolucyjne media, do których zaliczam Zero, też mają tematy tabu. Nawet gdy widzą grzechy we własnym obozie, tłumaczą je wypadkami przy pracy. Natomiast grzechy u przeciwników to już ich podła natura.

Tylko kim dla Zera są „oni”, a kim jesteśmy „my”?

– „Oni” są dziadersami od niekończących się sporów o polską tożsamość, Żołnierzy Wykłętych i Żydów – wyjaśnia mi komentator sportowy, który zna Stanowskiego jeszcze z czasów, gdy ten był stażystą w redakcji „Przeglądu Sportowego”. – „My” jesteśmy młodzi, otwarci na świat, nie mamy kompleksów. Nie zamierzamy się określać jako elektorat tego, czy tamtego i nie ma dla nas świętości.

– Po tym, gdy tak zwana strona postępową zaczęła nadużywać argumentów prawnych i naukowych, pojawiła się kontrreakcja, tendencja do podważania nauki i prawa w ogóle, do kwestionowania całości mainstreamowego przekazu – mówi dalej prof. Flis. – Młodym przychodzi to łatwo, bo tradycyjne media nie są dla nich wartością. Telewizja to coś, co się ogląda u dziadków na wakacjach. Taka scenka... znajoma woła do syna: „Wuj Jarek jest w telewizji, chodź, zobacz!”. A młody na to: „Po co? Przecież mogę do wujka zadzwonić”. Dzisiejsze dwudziestolatki nie dostrzegają różnicy ciężaru między kimś występującym w głównych wiadomościach TVP a kimś na Instagramie. Ten drugi jest nawet ważniejszy, bardziej autentyczny, przez to i wiarygodny.

– Wiarygodność mierzona lajkami powoduje, że z Zera może się wyklucć polski odpowiednik Fox News – ciągnie komentator sportu. – Konfederackie poglądy Stanowskiego plus jego zdolność do zbierania kasy mogą z niego uczynić polskiego Tuckera Carlsona. On również zaczął wywiady z Polakami od An-

drzeja Dudy – mój rozmówca się śmieje. Faktycznie: były gwiazdor Foxa, który ostatnio zasłynął wywiadem z Putinem, wcześniej zrobił rozmowę z prezydentem Polski.

– Dlaczego pan sądzi, że Stanowski jest konfederacki?

– Nie dlatego, żeby kiedykolwiek to zadeklarował. Mam na myśli czyny, w których mi przypomina Sławomira Mentzena. Wszystko się kręci wokół niego, wokół jego nazwiska, wokół marki, wokół specyficznego środka ciężkości, jaki wytwarza. Z nowocześnieścią za pan brat, ale broń Boże przed progresywizmem. Ciężko pracuję, mam miliony na koncie, chcesz też mieć – zapierdalać! Kultura twardego człowieka. I zdrowy rozsądek über alles! Pamiętam, jak w jednym programie tłumaczył, że facet, który napluł na czarnoskórego, nie jest żadnym rasistą, a po prostu „burakiem”. Zresztą te wszystkie wulgaryzmy, z którymi on się kojarzy jeszcze z dawnych czasów, też mają zadanie do spełnienia. Patrzcie ludzie na mnie: potrafię splunąć i kłąć, jak ruski wor... jestem swojakiem sukcesu!

Zdaniem dziennikarza Jakuba Dymka, który ostatnio napisał w „Tygodniku Powszechnym” pochlebny artykuł o Kanale Zero, Stanowski bardziej, niż Carlsona, przypomina innego amerykańskiego króla sieci: Joego Rogana. Ten również zaczynał od komentowania wydarzeń sportowych i (jak sam określił) „gadania głupot do kamerki komputera”.

„Podobnie jak Stanowski, Rogan przed mikrofonem nie udaje mędrca, daje się gościom wygadać i mówi, niczym swój chłop” – pisze Dymek: „Obaj reprezentują archetyp everymana. Chodzący triumf zwykłego człowieka i jego zdrowego rozsądku nad pychą elit i hipokryzją głównego nurtu. Setki milionów ludzi na świecie odpływają do YouTube, ponieważ uważają, że tradycyjne media nie dają im już wiedzy i uczciwych opinii; nazbyt uwiązane interesami sponsorów i partii”.

– Poza tym prezentują poglądy stadne, a Stanowski z rozmysłem stawia się poza stadem – dodaje dziennikarz sportowy. – Stoi osobno i mówi: jestem inny, czysty, niezaangażowany. Faktycznie nie wchodzi w politykę rozumianą jako działanie dla dobra wspólnego – on chce z niej czerpać kasę, jaką wcześniej czerpał ze sportu i reklamowania zakładów wzajemnych.

W rzeczywistości „Stan” ma swoje sympatie i kontakty polityczne. Półtora roku temu, w Kanale Sportowym, razem z Robertem Mazurkiem, przydzielali prezenty politykom. Kiedy doszli do Donalda Tuska – wówczas codziennie łzonego w TVP jako „niemiecki agent” – Stanowski stwierdził: „Proponuję mu dać koszulkę ukochanej drużyny narodowej. [Bo] ukochaną drużynę się ma i koniec”. Następnie pokazał do kamery T-shirt piłkarskiej reprezentacji Niemiec z numerem 7 i nazwiskiem Schweinsteiger.

Inny trop został odsłonięty przy okazji ujawniania maili z tzw. skrzynki Dworczyka. 9 marca 2020, kilka dni przed wprowadzeniem w Polsce lockdownu z powodu pandemii, doradca premiera Mateusza Morawieckiego, związany z klubem stołecznej Legii Mariusz Chłopik wysłał wiadomość do szefa kancelarii premiera Michała Dworczyka i do wiceministra zdrowia Janusza Cieszyńskiego:

„Dzień dobry, musimy ładnie zarządzić tematem piłkarskim, abyśmy nie dostali obuchem. Jestem po rozmowie z największym kanałem YT w Polsce, który mówi o piłce nożnej. Ostatni live z Kanału Sportowego oglądało 300 tys. osób. Możemy zrobić dziś live, który poprowadzi Krzysiek Stanowski (jeden z najlepszych dziennikarzy sportowych w PL). Łączenie przez telefon. Akcję możemy wykonać między 19-20:00. Proszę o decyzję. Moim zdaniem warto”.

Tego samego dnia wieczorem Cieszyński połączył się na wizji ze „Stanem”, który pozwolił mu obszernie wyjaśnić działania rządu w związku z koronawirusem. Chodziło oczywiście o to, by uspokoić kibiców, którzy za chwilę mieli się dowiedzieć, że mecze są odwołane.

– Należy się spodziewać, iż w najbliższym tygodniu, dwóch, liczba zachorowań wzrośnie – mówił wiceminister. – Może w ekstraklasie nie ma kompletu na trybunach, ale jak wchodzą kibice, to jednak są zgromadzeni na niewielkiej powierzchni. To idealne warunki do tego, żeby wirusa przekazywać dalej. W naszej ocenie frajda z oglądania piłki na żywo jest mniej ważna niż to, żeby ograniczyć rozprzestrzenianie wirusa.

Gdy wiceszef resortu zdrowia wypowiadał u „Stana” te słuszne bądź co bądź kwestie, jednym z reklamodawców należącej do youtubera Grupy Weszło

REKLAMA

KRAJ/34304825



USA – Wschodnie Wybrzeże

Program wycieczki: **Dz. 1** Warszawa – Nowy Jork – Filadelfia. Zameldowanie w hotelu. **Dz. 2** Filadelfia – Baltimore – Waszyngton. Dzwon Wolności i Waszyngton by night. **Dz. 3** Waszyngton. Wycieczka po mieście, The Mall, cmentarz w Arlington oraz Air & Space Museum. **Dz. 4** Waszyngton, D.C. – Gettysburg – Lancaster – Williamsport. Wizyta w wiosce amiszów. **Dz. 5** Williamsport – Wodospad Niagara, USA. Rejs statkiem po kanadyjskiej stronie wodospadów. **Dz. 6** Niagara Falls – stany Nowy Jork i Massachusetts. **Dz. 7** Framingham – Boston – Hyannis na wybrzeżu Nowej Anglii. **Dz. 8** Hyannis – Newport – Yale – Nowy Jork. **Dz. 9** Nowy Jork. Objazd, 9/11 Memorial i czas wolny. **Dz. 10** Nowy Jork i wylot. **Dz. 11** Przylot do Warszawy.

11 dni | Wyloty z Warszawy

17/05, 06/09 2024



Zeskanuj kod QR i sprawdź cenę!



Najpiękniejsze Parki Narodowe USA

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Los Angeles. **Dz. 2** Los Angeles – Calico – Laughlin. **Dz. 3** Laughlin, Route 66 i Grand Canyon. **Dz. 4** Monument Valley, Horseshoe Bend, Lake Powell i Page. **Dz. 5** Page, Kanion Antylopy i Park Narodowy Bryce. **Dz. 6** Bryce Canyon – Czerwony Kanion – Las Vegas by night. **Dz. 7** Las Vegas. Dzień wolny. Dodatkowa wycieczka do Zapory Hoovera, Muzeum mafii oraz instalacja ze szklanych kwiatów Chihuly w Hotelu Bellagio. **Dz. 8** Death Valley i Tulare. **Dz. 9** Tulare – Park Narodowy Yosemite – Manteca. **Dz. 10** San Francisco: most Golden Gate, Chinatown, Wzgórze Twin Peaks. **Dz. 11** San Francisco. Dzień wolny. Możliwość wycieczki do Fisherman's Wharf i więziennej wyspy Alcatraz. **Dz. 12** San Francisco – 17 Mile Drive – Monterey – Carmel – Pismo Beach. **Dz. 13** Pismo Beach – Solvang – Santa Barbara – Getty Center/Villa i Los Angeles. **Dz. 14** Wylot z Los Angeles **Dz. 15** Przylot do Warszawy.

15 dni | Wyloty z Warszawy 12/07, 13/09 2024



albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76 (8 piętro)
Kod reklamowy: GW13

(a konkretnie drużyny, o której napiszę dalej) był bank PKO BP obsadzony w tym czasie przez polityków PiS.

„Stanowski, biorąc hajs od PKO, de facto jest opłacany przez Prawo i Sprawiedliwość” – napisze potem Jaś Kapela, autor Krytyki Politycznej, który zauważy przy okazji, że kawę do redakcji prowadzonej przez youtubera dowozi obajtkowy Orlen, za co „Stan” rewanżuje się lokowaniem produktu na Twitterze.

– I mając takie powiązania, on teraz z kamiennym uśmiechem wskazuje palcem resztę peletonu: oto brzydkie media, te upartyjnione, a ja jestem ładny – mówi dalej dziennikarz sportowy

To właśnie brawurowe ośmieszenie tradycyjnych mediów sprawiło, że o youtuberze po raz pierwszy usłyszały miliony osób, które nie interesują się sportem.

Natalia Janoszek, niedoszła radna Platformy z Bielska-Białej (dostała 102 głosy i przepadła w wyborach 2014 r.), wyjechała w zeszłej dekadzie do Indii, by robić karierę w Bollywood. Zagrała parę niewielkich ról w Azji i w USA, lecz w Polsce wydała książkę, z której wynikało, że ukończyła sławną amerykańską szkołę aktorską Lee Strasberga, a nad Gangesem jest gwiazdą. W rezultacie wyładowała na okładce polskiego „Cosmopolitana”, a magazyn „Osobowości” ogłosił jej indyjską karierę polskim sukcesem roku 2021. Potem Janoszek tańczyła w Polsce, uczestniczyła w reality show w TVN, brylowała w programach śniadaniowych TVP, udzielała wywiadów kolorowej prasie.

Stanowski zajął się nią latem 2023 w swoim Kanale Sportowym. Polecał do Bombaju, gdzie pokazywał zdjęcie Janoszek ludziom na ulicy: nikt gwiazdy nie rozpoznał. Przeczesał bollywoodzką prasę – żadnych wzmianek o Polce. Z prawie dwóch milionów osób obserwujących ją na Instagramie ponad 80 procent okazało się fikcją.

Effektów demaskacji było kilka. Janoszek złożyła przeciw Stanowskiemu pozew – nie został jeszcze rozpatrzony, ale sąd profilaktycznie nakazał youtuberowi powstrzymać się od publikacji na temat powódki. Pozwany nie posłuchał. Kolejny podcast zatytułował „Bollywoodzkie zero: Natalia Janoszek. The end”.

Po drugie: biogram aktorki-amatorki w Wikipedii w efekcie długich i udokumentowanych dyskusji redaktorów został skrócony o połowę. Wypadła m.in. „informacja” o 40 tytułach królowej piękności zdobytych na pięciu kontynentach. Oraz o wykształceniu.

Po trzecie – statystyki Kanału Sportowego wystrzeliły. Drugi film Stanowskiego o Janoszek w ciągu szesnastu godzin od premiery obejrzało na YT ponad milion osób. A odsłony to kasa za reklamy i ruch w serwisie. W lutym 2022 influencer zdradził, że Kanał wygenerował rok wcześniej ponad 10 milionów przychodu. Kolejne lata będą jeszcze tłustsze.

„Dziennikarstwo sportowe nie jest niczym poważnym, to jeden z mniej potrzebnych zawodów na świecie” – wyznał w 2016 r. Bartoszowi Janiszewskiemu z serwisu Gazeta.pl.: „Gdyby nie fakt, że można w ten sposób fajnie żyć, tobym go nie uprawiał”.

Jak dzisiejszy gwiazdor YouTube’a doszedł do pieniędzy?

Urodzony w 1982 r. w Warszawie należał do harcerstwa i od małego interesował się komputerami. Grał też w piłkę nożną, jak potem wyzna: „czasem przez 10 godzin dziennie”. Kibicował Legii. Na mecze przy Łazienkowskiej bierał go ojciec, który osierocił Krzysztofa, gdy ten będzie miał 15 lat.

Pierwszą pracę – w „Przeglądzie Sportowym” – podłapał jako 14-latek. Poprosił o przyjęcie, wysyłając mail, a mało kto wówczas potrafił to zrobić. Wiadomość odebrał stażysta „PS” Michał Rosiak, późniejszy



• **Krzysztof Stanowski podczas finału WOŚP w Częstochowie, 2021 r.**

FOT. GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

dziennikarz sportowy, dziś ekspert od cyberbezpieczeństwa w Orange.

„Pomyślałem: dobrze, niech przyjdzie dzieciaczek, przynajmniej odciąży mnie przy odbieraniu telefonów od czytelników” – powie później portalowi Spidersweb.pl. – „Tak na początku było, odbierał te telefony. Był przy tym bardzo pokorny, chciał się czegoś nauczyć. Brał wszystko i bardzo łgnął do wiedzy. Było widać, że ma plan na siebie”.

Do newsroomu Krzysiek urywał się z lekcji w podstawówce, potem z IX LO imienia Klementyny Hoffmanowej. „Na początku robiłem rzeczy, których nikt nie chciał robić” – opowie Gazecie.pl.: „Rysowałem tabelki, liczyłem punkty i starałem się o swoją szansę”.

Na drugo- i trzecioligowe mecze poza Warszawą, które opisywał w sygnowanych skrótem kilkudzaniowych notkach, wozila go mama. Szef działu piłkarskiego „Przeglądu” wydał mu wizytówkę z pieczętką i podpisem: „Pan Krzysztof Stanowski to nasz korespondent, prosimy o wypuszczenie go na stadion”.

„Bez tego mogliby pomyśleć, że jakiś dzieciak robi sobie jaja” – powie już dorosły.

„LEGIA W INTERNECIE. Sieć komputerowa zaczęła się rozwijać tak dynamicznie, że doczekaliśmy pierwszych list dyskusyjnych. Ich sposób działania jest prosty – każdy, kto zostanie przyjęty do tego klubu komputerowego, odbiera i jeśli chce wysyła swoje internetowe wiadomości. W liście dyskusyjnej kibiców Legii Warszawa przeprowadzono niedawno konkurs (a raczej „konkursik”) na najpopularniejszego piłkarza wojakowskiego klubu. Zwyciężył Cezary Kucharski...”.

To jeden z pierwszych artykułów, jakie udało się Krzyskowi wydrukować pod własnym imieniem i nazwiskiem. Miał niecałe 15 lat. Nim skończył 20, prócz tego typu tekstów pisał już wywiady (pierwszy z bramkarzem Legii Grzegorzem Szamotulskim), a w 2002 r. redakcja futbolowa wysłała go jako głównego korespondenta na mundial w Japonii i Korei. Trzy lata później sam został szefem działu piłkarskiego „Przeglądu”. Równolegle zapisał się na studia dziennikarskie, ale ich nie skończył.

„Najlepszym uniwersytetem jest uniwersytet życia i żaden wykładowca nie zdoła nam przekazać tego, czego jesteśmy w sta-

nie doświadczyć sami” – powie w 2014 r. Onetowi.

W latach 2005-10 „Stan” współpracował m.in. z „Super Expressem”, „Dziennikiem” oraz redakcją „Futbolu”. To wówczas związał się z biznesem bukmacherskim: został krajowym przedstawicielem duńskiej firmy od zakładów wzajemnych Bet24. Decyzję wytłumaczył później na Twitterze:

„Zostałem country managerem Bet24, ponieważ okazałem się najlepszy na rozmowach kwalifikacyjnych i zaproponowano mi 25 tys. zł plus bonusy (kwartalnie dochodzące do stu tysięcy), co w 2005 roku było ogromną kwotą, nieosiągalną w dziennikarstwie. Myślę, że jako dziennikarz zarabiałem wówczas 10-12 tysięcy miesięcznie. Przez chyba rok łączyłem [bukmacherkę] z pracą w redakcji, ale potem kazano mi wybierać i wybrałem Bet24 (...) Z czasem przeszedłem do marek Gamebookers, PartyBets i PartyPoker, gdzie placono mi jeszcze lepiej”.

Pisania jednak nie porzucił. W 2008 r. stworzył witrynę Wieszlo.com. Sama nazwa zaczerpnięta z potocznego, kibicowskiego języka sugerowała, że serwis będzie czymś innym, niż „PS” albo „Futbol”. W nowym portalu przeważała – jak to ujął autor Gazety.pl – „szydera, wulgaryzmy i naśmiewanie się z zawodników”.

Bo Stanowski nie chciał robić medium „poprawnego”.

„Upadek prasy sportowej zaczął się właśnie od tego, że dla dziennikarza najważniejsza była poprawność” – tłumaczył Janiszewskiemu. „Nikt nikomu nie chciał podpaść, chodziło o to, by napastnik z klubu, o którym dziennikarz pisze, odpowiadał mu >>część<< na ulicy. Jako czytelnika mnie to kompletnie nie interesuje. Nie chcę suchych i wygładzonych tekstów o tym, kto wygrał, a kto przegrał. Prasa sportowa w Polsce umarła dlatego, że pisała językiem, którym nie rozmawiają ani piłkarze, ani kibice”.

Autorzy Wieszlo.com zaczęli pisać językiem stadionów, zgodnie z wyłożoną w portalu dewizą „Stana”: „czasami dobrze rzucna kurwa jest lepsza niż tysiąc słów”.

Fragmety tekstów: • „Wchodzę do szatni (...) a tam więcej pizd niż w lesbijskim pornosie. Frajer na frajerze. Same łama-gi bez jaj i charakteru”; • „[Trener Janusz] Wójcik płynie promem, kelner postanowił się z nim napić, no i się najebał jak skurwysyn. I chuj Niech kurwa wie, że Wójcika nikt nie przepije”; • „....baby generalnie są proste w obsłudze, bo trzeba im tylko pokazać kierunek na tapczan i zadbać o to, by się nie wypierdoliły po drodze” i tak dalej.

Gdy któryś z czytelników pisał w komentarzach, że język mu nie odpowiada i nie zamierza czytać dalej, dostawał odpowiedź administratora: „To wypierdaj. Nie będziemylakać”.

„Stan” początkowo publikował teksty na Wieszlo jako Mr. X. Ich największym walem była ekskluzywność oraz aura tajemni-

cy otaczająca dobrze poinformowanego autora. Z czasem kibice piłki rozszyfrowali „ik-sa” jako byłego dziennikarza „Przeglądu” i „Superaka”.

– Od tego czasu w mieście się gadało, że na jednym biegunie wśród komentatorów sportowych jest Rafał Stec z „Wyborczej”, na drugim Stanowski: pierwszy obstawiał zainteresowanych sportem inteligentów, drugi całą resztę – mówi mi warszawski dziennikarz sportowy. – Nie w tym jednak problem, że na Wieszlo rzucali kurwami, tylko że tam się reklamowali nielegalni w Polsce sieciowi bukmacherzy. Formalnie Stanowskiemu nie można było zarzucić złamania czegokolwiek, bo wydawca portalu był zarejestrowany gdzieś w Luksemburgu, a treści rzekomo dedykowano polskojęzycznym czytelnikom żyjącym za granicą. Zatem krajowe przepisy nie miały, wedle Stanowskiego, zastosowania. Takie cwaniactwo.

– Znam ten zarzut, sformułowany w TVN24, że „Stan” dawał twarz zakładom bukmacherskim – mówi mi Marcin Meller. – On sam odpowiedział przytomnie, że bramkarz Jerzy Dudek robił przecież to samo. Dudka też mamy skreślić?

– Dudek reklamował legalne zakłady w realu – oponuje dziennikarz sportowy. – Hazard internetowy jest zupełnie czymś innym. Jest gorszy od naziemnego. Do bukmachera z STS musisz pójść, musisz być pełnoletni i jako-tako trzeźwy. W sieci obstawiasz z domu, podczas meczu, co chcesz i za ile chcesz... Telewizor, piwo, emocje rosną, zanim się obejrzyysz – przegrałeś wszystkie pieniądze.

Serwis Wieszlo.com reklamował i nadal reklamuje takich bukmacherów, jak Superbet, Zagranie, czy Fuksiarsz.pl.

Stanowski w Spidersweb.pl: „Ci, którzy mi zarzucali, że uprawiałem jednocześnie dziennikarstwo i pracowałem dla firm bukmacherskich, są śmieszni. Nie mają na mnie amunicji, więc sięgają po to. To mniej więcej tak, jakbym ja się czepiał Michała Białońskiego, który pracę dziennikarza [Interii, a później Polsatu Sport] godził z prowadzeniem sklepu z warzywami”.

– Nie można współpracy z bukmacherką nazywać tylko dodatkowym zarobkiem i porównywać z pracą sklepikarza – oponuje mój rozmówca, dziennikarz. – Widział pan kiedyś reklamę bukmachera?

– Jedną, albo dwie. Piękna dziewczyna przysypiana złotymi płatkami mówi w roli bogini Fortuny, że szczęście sprzyja lepszemu.

– To jest wybitnie podstępne. Nigdy nie pada słowo hazard, zakłady, pieniądze. Są tylko sportowe emocje, jest szczęśliwy traf, wierność swojej drużynie, podziw kolegów-kibiców... Czyli im ostrzej grasz, tym mocniej kibicujesz, tym bardziej wspierasz sport, tym większy spotyka cię fejm. Pisząc o Stanowskim nie można zapomnieć, na jakim biznesie wyrosła jego potęga.

Potęga, na którą złożyły się przynosząc zyski lub dobrze sprofilowane rozgłosy) również inne segmenty Grupy Wieszlo:

• youtubowy kanał Wieszlo TV (prawie 300 tys. subskrypcji i ponad dwa i pół tysiąca podcastów – w większości o futbolu); • biuro podróży Wieszlo Travel, które organizuje wyjazdy na mecze piłkarskie w Europie; • sieciowe radio sportowe Wieszlo FM (działało cztery lata); • przeznaczony już wyłącznie dla hazardzistów portal Wieszlo Fuksem, zamieszczający przedmeczowe analizy i typowania bukmacherskie; • witryna Wieszlo Junior z tekstami o futbolu młodzieżowym; • drużyna piłkarska Klub Towarzysko-Sportowy Wieszlo.

Stanowski jest dla KTS prezesem-założycielem, natomiast formalnie klub stanowi własność kibiców – czytelników serwisu, którzy w ciągu półtorej godziny wykupili poprzez platformę Emiteo.pl klubowe akcje za 4,5 mln zł. Dla porównania: gdy podobną zbiórkę ogłosiła Wisła Kraków, zebranie mniejszej sumy zajęło przeszło dobę.

Youtuber ściągnął do KTS dwóch czarnoskórych zawodników – Merveille’a Fundam-

Poza PiS i Platformą są inne ważne sprawy. Stanowski po pierwsze to dostrzegł, a po drugie – umie zrobić użytek

JACEK ŻAKOWSKI

bu i Aristota Otokę, którzy wcześniej gra-
li amatorsko w Demokratycznej Republi-
ce Konga. Zorganizował im przeloty, kwate-
runek, stroje sportowe od sponsora Weszło,
opłacił dentyście...

„Łącznie trzeba było wyrwać chyba
z 10 zębów, a kolejne kilkanaście wyleczyć”
– pisał na Weszło.com.: „Dopiero w Polsce
dowiedzieli się, jak można dbać o higienę,
dostali pierwszy w życiu dezodorant. Ale
uczą się bardzo szybko i nie robią wstydu”.

Aktualnie KTS Weszło gra w mazowiec-
kiej grupie IV ligi, ma 25 tys. obserwujących
w społecznościówkach i nieźle sobie radzi:
w maju ubiegłego roku na stołecznym sta-
dionie Hutnika pokonali ostatnią w tabe-
li Skrę Drobín 15:0. Kibicować przychodzi
zwykle około setki osób, Stanowski funduje
darmowe kielbasy i piwo, czasami są dodat-
kowe atrakcje. Tak było roku temu, gdy dru-
żyna „Stana” pokonała 13:3 ekipę Coco Jum-
bo Warszawa. Po meczu wygrana jedenast-
ka wsiadła do białej, długiej na 10 metrów
limuzyny hummer, by śpiewając przeboje
Perfectu i Mr. Zoob’a zjeść zakrapiany obiad
w mokotowskim grill barze Lolek. Po obie-
dzie dalsza zabawa nad Wisłą...

Warszawski prawnik Bogusław Leśnodor-
ski, były prezes i współwłaściciel Legii, a za-
razem przyjaciel i współpracownik „Stana”,
wspomina, że w latach 2014-17 youtuber do-
radzał mu w kwestii transferu zawodników.
Po 20 latach zajmowania się polską piłką Sta-
nowski zna się na niej bowiem, jak mało kto.
Do tego ma lekkie pióro – pisze szybko, z ła-
twością, uwielbia dygresje i się w nich nie gu-
bi. Stworzył trzy bestsellerowe biografie piłka-
rzy: medalisty mundialu ’82 Andrzeja Iwana,
posiadacza srebra z olimpiady w Barcelonie
Wojciecha Kowalczyka oraz wspomnianego
już Szamotulskiego.

– Po pierwszej książce zacząłem się
w Empiku przy półkach i patrzyłem z boku,
czy ktoś ją będzie kupował – opowie potem.

Przy drugiej i trzeciej nie było już tych
emocji. Książkę czwartą opublikował
w 2016 r. w wydawnictwie Czerwone i Czar-
ne. Tytuł: „Stan futbolu. Tajemnice boiska,
szatni i piłkarskich gabinetów”.

– W wielu miejscach tej pracy Stanow-
ski pozwolił sobie na zupełny luz, kompletnie
nie licząc się z faktami – ocenił publi-
kację byłego podwładnego Dariusz Tuzi-
mek, wcześniejszy wicenaczelný „Przeglą-
du Sportowego” określony przez „Stana” na
kartach „Tajemnic boiska...” jako nieprzy-
kładający się do pracy redaktor-leń.

Tuzimek: – W książce Stanowski spryt-
nie miesza fakty z ocenami w taki sposób,
że czytelnik nie wychwyci, co jest opinią au-
tora, a co rzeczywistością. Cynicznie wyko-
rzystuje to, że mało kto jest w stanie zwery-
fikować, jak było. Kiedyś o jednym koledze
pisano, że wali prosto z mostu, a jak się po-
myli, to nie przeprasza, tylko dalej wali spod
mostu. Wydaje mi się, że ta opinia pasuje
do Stanowskiego.

Spór między „Stanem” a Tuzimkiem mu-
siał rozstrzygnąć wydział cywilny stołeczne-
go sądu. W 2022 r. autor i wydawnictwo zo-
stali w pierwszej instancji zobowiązani do
zapłaty na rzecz powoda 15 tys. zł z odsetka-
mi. „Tajemnic boiska...” przyniosły jednak
dziesięciokrotnie wyższe zyski, a youtuber
jeszcze podczas procesu stworzył autorski
program oparty na tytule książki i własnym
nazwisku: „Stan futbolu”. Tu nie było wy-
zisk i rzucania kurwami, dzięki czemu au-
dycja wypłynęła z niszy Weszło TV/Weszło.
com na szerokie wody publicznej telewi-
zji. Współprowadzącymi (tzn. rozmówcami
„Stana”) byli w niej bohaterowie jego pierw-
szych książek: Kowalczyk oraz Iwan.

W roku 2020 youtuber uruchomił swe najslын-
niejsze (do czasu pojawienia się Zera) przedsię-
wzięcie medialne: Kanał Sportowy. Redakcję
zainstalował tam, gdzie wcześniej Weszło.pl:
na drugim piętrze budynku przy Domaniew-
skiej 37 w tzw. Mordorze, mokotowskim za-
głębiu białych kohnierzyków. Wspólnikami Ka-
nału z równymi 25-procentowymi udziałami

zostali: • Michał Pol – były dziennikarz spor-
towy „Wyborczej” a potem m.in. redaktor na-
czelný „Przeglądu Sportowego”; • związany ze
stacją Canal+ Tomasz Smokowski – zdobywca
czterech Piłkarskich Oscarów dla najlepszego
sprawozdawcy telewizyjnego; • Mateusz Borek
– komentator stacji Eurosport i TVP, współ-
organizator pokazów mieszanych sztuk wal-
ki, czyli MMA, również nagrodzony Oscara-
mi. Czwarty był sam Stanowski.

– W udanym starcie pomogła nam pan-
demia – zdradza mi jeden ze współpracow-
ników Kanału. – Rozgrywki sportowe odwo-
lano. Stacje zajmujące się sportem nie mia-
ły co pokazywać. A my ruszyliśmy z Hejt
Parkiem. Zapraszaliśmy celebrytów, muzy-
ków popowych, aktorów, sportowców oczy-
wiście też. Był trener Czesław Michniewicz,
prywatnie przyjaciel „Stana”, był sędzia Szy-
mon Marciniak... byli wszyscy ważni. Zalo-
żenie programu takie, że widzowie hejtują,
czyli po prostu dzwonią i krytykują, a boha-
terowie chcą się w kontrze przedstawić od
jak najlepszej strony.

Oglądam Hejt Park z udziałem Stanow-
skiego i Leśnodorskiego. Audycja skonstru-
owana jest podobnie do „Rozmów niedo-
kończonych” w Radiu Maryja. „Stan” przed-
stawia gościa i od razu zachęca widzów, że-
by dzwonili. Telefonujący również przedsta-
wiają się, jak na toruńskiej antenie: Mirek
z Bydgoszczy, Jacek z Poznania... Pytania
dotyczą głównie piłki, hejtu w nich jak na le-
karstwo: „Czy chciałby pan wystartować na
prezesa PZPN?” (do Leśnodorskiego), „Jakie
są szanse KTS Weszło na awans do wyższej
ligi?” (do Stanowskiego). Ktoś nie pasjonują-
cy się sportem szybko od programu odpad-
nie. Kibiców jest jednak wystarczająco wie-
lu, by po niecałym roku KS miał ponad pół
miliona subskrybentów. Pojawili się rekla-
modawcy: znani nam już bukmacherzy, ale
też Decathlon, Leroy Merlin, Lipton, Sharp,
producent piwa Tyskie...

– Zarabialiśmy tyle, że tego się nie dało
przeżreć – wyzna później Stanowski.

– W tym czasie on wyszedł już poza sfe-
rę sportową i robił coraz bardziej zasięgowę
materiały – wspomina współpracownik KS.
– Jego monologi angażowały widzów wręcz
fantastycznie. Nieporównanie bardziej od
występów Pola, Borka czy Smokowskiego.

Obok nagrań z serii Hejt Park pojawiły
się inne, w tym „Stanowisko” i „Dziennika-
rskie zero” – to w ramach czego drugiego cy-
klu „Stan” zdemaskował Janoszek – i usiło-
wał udowodnić, że wydawca „Wyborczej”
reklamuje nierząd.

Odcinek „Stop promocji prostytutce
przez Agorę” został wrzucony do sieci wio-
sną zeszłego roku. Youtuber na początek
pokazał fragment tekstu z serwisu Gaze-
ta.pl:

– Nie tak dawno w Gazecie na Weekend
ukazał się artykuł pod tytułem „Praca, jak
każda inna”. Czytam: „...bardzo bym sobie
życzyła, by oddemonizować ten seks-work
w Polsce”. I nie napisano tego byle gdzie, tyl-
ko na portalu kiedyś uznanym za poważny (...).
A całkiem niedawno w innej odnodze
Gazety.pl mogliśmy poczytać entuzjastycz-
ny tekst o kobiecie, która postanowiła zo-
stać prostytutką, bo wołała pracować w bur-
delu, niż 10 godzin na kasie... To nie są przy-
padki, to linia redakcyjna. W związku z tym
chciałem zapytać pracowników Agory: czy
wy tak rozmawiacie ze swoimi dziećmi? (...)
Na przykład jest obiad wigilijny i ktoś pyta:
„Córciu, a kim ty byś chciała zostać w przy-
szłości?” Ona mówi: „Aktorką”. A pracow-
nik gazety: „Może byś chciała być sekswor-
kerką?” – Stanowski chytrze uśmiecha się
do kamery. – Chodzi mi o to, czy te dobre ra-
dy są zarezerwowane tylko dla obcych na-
stolatek, czy też pracownicy Agory ma-
ją to samo dla swoich pociech? Czy jak wa-
sza córka idzie na studia, to mówicie: „Po-
trzebujesz pomocy finansowej, więc kupi-
liśmy ci córusiu trzystą przeterminowaną i każ-
dą z nich możesz zamienić na 300 złotych”.
Czy tak to się odbywa w waszych domach?

– Nie, tak się to nie odbywa – odpowiada
Aleksandra Sobczak, wicenaczelná „Wybor-
czej” i matka. – Fantazje Stanowskiego na
temat dziennikarzy Agory, jego chorobliwe



projekcje, są przerażające. Skoro w tak ab-
surdalny sposób opisuje nas, to chciałabym
wiedzieć skąd czerpie wiedzę na inne tema-
ty. Czy również z własnej wyobraźni?

Teraz inny, o rok wcześniejszy, odcinek „Dzien-
nikarskiego zera”. Tytuł „Rasiści, feministki
i koniec świata”.

Youtuber do kamery: – Łatwo być dzisiaj
oskarżonym o rasizm, molestowanie seksu-
alne, albo gwałt – taki wniosek wysnuwam
po tekście pani Mai Staško w „Wysokich Ob-
casach” [faktycznie materiał opublikowa-
ła „Wolna Sobota”, czyli sobotni magazyn
„Wyborczej”]. Wychodzi na to, że mężczyź-
ni mówiąc „dzień dobry” już troszkę ją mo-
lestują (...). Pani Maja chodzi na dyskotekę,
a tam przeskadzają jej namolni faceci, więc
chodzi do klubów dla gejów...” – youtuber
jeszcze kilka minut drwi ze znanej lewico-
wej publicystki i społeczniczki, sugerując, że
nie jest wystarczająco ładna, by uwierzył, że
musi się opędać od mężczyzn. A w ogóle to
feministki prowadzą świat na manowce.

Feministyczna aktywistka i publicyst-
ka (oraz uczestniczka walk w freakfighto-
wym MMA) odpowiedziała dużym tekstem
w serwisie Gazeta.pl/kobieta, gdzie wylisto-
wała różne grzeszki „Stana”: • zapraszał do
KS patostreamera NitroZyniaka, który zy-
skał sławę obrażając rodziców swoich nie-
letnich widzów i grożąc śmiercią sąsiadom
oraz kulturystę o ksywie Hardkorowy Kok-
su, który promuje podejrzone substancje na
przyrost mięśni; • od lat reklamuje alkohole
i robi to „w perfidny sposób”, łącząc picie
piwa ze sportem; • spośród setek odcinków
Hejt Parku tylko w kilku występują kobiety,
które zresztą Stanowski notorycznie nazy-
wa „dupami”.

Poza tym, pisze Staško, „Stan” notorycz-
nie „podważał doświadczenie przemocy
seksualnej [wśród kobiet] oraz badania na
ten temat”:

„W swoim podcaście o tych badaniach
[zrobionych przez Ipsos] mówił, że patrze-
nie na kobietę zostaje zakwalifikowane jako
molestowanie: – Na 84 proc. kobiet ludzie
się patrzyli. A co z tymi 16 proc., na które
nikt nigdy nie spojrzął? – śmiał się. Tymcza-
sem badana kategoria brzmi tak: *Wpatry-
wanie się, gapienie, nieodpowiednie i niepożą-
dane gesty*. Co więcej, ta kategoria nie obej-
muje [doświadczenia] 84 proc. Polek – ta
liczba [dotyczy] wszystkich czynności mo-
lestowania. Samo *wpatrywanie się i niepo-
żądane gesty* to 56 proc. Mamy zatem dezinf-
ormację zarówno w kwestii treści, jak i cy-
fr. Cały materiał jest oparty na takich fałszy-
wych twierdzeniach. Dlaczego dziennikarz
domagający się rzetelności mediów sam
co rusz wprowadza widzów w błąd? I dla-
czego robi to tak chętnie przy omawianiu
praw kobiet?”

– Stanowski generalnie atakuje grupy
mniejszościowe, albo dyskryminowane, na
przykład kobiety doświadczające przemo-
cy domowej – tłumaczy mi Staško. – Kie-
dy napisałam, że pandemia zatrasnęła
je w mieszkaniach ze swymi oprawcami,
obśmiał to tak samo, jak i moje własne do-
świadczenie molestowania. Klasyczne wa-
lenie w słabszych – bierze osobę bez podob-
nych do niego zasięgów i pieniędzy po czym
ją dyskredytuje. A nie jest taki odważny wo-
bec decydentów, czy ogólniej: mężczyzn
mających władzę. W rozmowach z prezy-
dentem czy byłym ministrem Czarnkiem
był ostrożny, uprzejmy, nie orał. Ale w ko-
biety, aktywistki, osoby stojące po stronie
słabszych – uderza bez pardonu.

Stanowski i Staško wkrótce spotkają się
w sądzie. W 2022 r. feministka opubliko-
wała pełną nienawistnych cytatów z róż-
nych krajowych forów książkę „Hejt polski”.
Youtuber nazwał ją za to „złodziejką, oszust-
ką i naciągaczką” – bo sprzedając egzempla-
rze zarabia na cudzych (co z tego, że hejter-
skich) treściach.

– Mówił w sieci, że „lubię się histerycznie
zesrać”, nazwał mnie „suką”, a na Twitte-
rze pisał, że jestem pierdolnięta, jak zresztą
mnóstwo innych osób według niego – mó-
wi mi Staško. – Wysłałam mu pozew z żą-
daniem przeprosin i zadośćuczynienia na
rzecz fundacji Dajemy Dzieciom Siłę.

– Jak by pani określiła Stanowskiego ja-
ko człowieka?

– To jest krzywdzący ludzi hejter. Niech
pan zobaczy, co mówił ostatnio o Elizie Mi-
chalik.

Dziennikarka na Temat i Radia Nowy
Świat podzieliła się w sieci spostrzeżeniem
na temat niedyspozycji byłego ministra
sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry. „Jest
tchórzem” – stwierdziła: „Nie chce ponieść
odpowiedzialności za to, co zrobił. Tym jest,
moim zdaniem, jego *strategiczna* choroba”.

Stanowski we wspólnym z Mazurkiem
występie w Kanale Zero stwierdził po tym,
że u Michalik „występują pewne deficy-
ty, a pierwszy, który najbardziej rzuca mi
się w oczy, to deficyt intelektualny (...) ona
jest pierdolnięta”.

– Ja bym do tych zarzutów od feministek
dodał jeszcze występ w Kanale Sportowym
Czesława Michniewicza – mówi mi stołecz-
ny dziennikarz sportowy. – Ojciec chrzest-
ny jednego z dwóch synów Stanowskiego
wygadywał okropne rzeczy o nielubianych
przez siebie dziennikarzach, a „Stan” nie
tylko nie pytał o korupcję w piłce, ale jesz-
cze pomagał trenerowi wyjść wizerunkowo
z ujawnionych kontaktów z „Fryzjerem”.

Afera Ryszarda Forbricha – ustawiającego wy-
niki meczów działacza piłkarskiego i zarzem
fryzjera z wielkopolskich Wroniek – wybuchła
w maju 2005, gdy policja zatrzymała boisko-
wego sędziego Antoniego Fijarczyka, który
chwilę wcześniej przyjął (i schował pod ko-
łem zapasowym auta) sto tysięcy łapówki za
ustawienie dwóch wyników spotkań. Wkrót-
ce śledczy ustalili, że wśród działaczy sporto-
wych, z którymi „Fryzjer” kontaktował się naj-
częściej, jest przyszły selekcjoner reprezentacji
Polski – Michniewicz. On i Forbrich dzwonili
do siebie ponad 700 razy, z czego ten pierw-
szy tłumaczył się w 2010 r. na Weszło.com:

– Są osoby, które z Ryszardem rozma-
wiały pięć razy i z tych pięciu rozmów ma-
ją pięć zarzutów. A są też takie jak ja, że roz-
mawiały wielokrotnie i zarzutów nie ma-
ją. To najlepiej pokazuje, że nie liczba roz-
mów była istotna, ale ich treść. W tamtym
czasie [czyli przed rokiem 2005] kto nie znał
Forbricha znaczy, że był nikim.

Do znajomych „Fryzjera” należał Sta-
nowski.

„Jego numer telefonu odnajdujemy
w billingach pochodzących z akt procesu
piłkarskiej mafii” – pisał w 2022 r. dzien-
nikarz Wirtualnej Polski Szymon Jadczał.

Ów proces zakończył się kilkudziesięcio-
ma wyrokami, w tym sześcioma latami dla
„Fryzjera”. W trakcie dochodzenia policja
ustaliła, że pół godziny po tym, gdy media
podały wieść o zatrzymaniu sędziego Fija-
rczyka, „Stan” zadzwonił do Michniewicza,
a trener od razu po zakończeniu tego połą-
czenia wybierał kolejne z licznych nume-
rów Forbricha. Jako, że nie udało mu się po-
łączyć, ponownie zakręcił do Stanowskiego.
Po drugiej rozmowie z youtuberem ówczes-
ny selekcjoner Lecha Poznań wybrał tym
razem właściwy numer „Fryzjera”. Pano-
wie porozmawiali, po czym trener znów za-
dzwonił do „Stana”.

Ten zresztą w „Tajemnicach boiska...”
przyznał, że nie tylko znał się osobiście
z szefem piłkarskiej mafii, ale nawet zda-
rzało mu się prosić o przysługę. Gdy jeden
z krytykowanych przez Stanowskiego sę-
dów piłkarskich zagroził mu procesem,
ów nie poszedł do adwokata, lecz poprosił

o wsparcie „Fryzjera”. W „Tajemnicach...” czytam: „...skontaktowałem się i spytałem, czy nie daloby się jakoś utemperować [sędziego]. *Fryzjer* poprosił o przyjazd do Poznania. Odebrał mnie z dworca i pojechaliśmy do pobliskiej restauracji. Tam (...) wyjął kartkę papieru, napisał na niej, kto z kim grał i kto sędziował [w pewnym dawno odbytym meczu ligowym]. Powiedział: *Zapamiętaj, co tu jest napisane. Dokładnie to mu powtórz. To wystarczy.* Następnie podarł tę kartkę na kawaleczki i wszystkie zjadł. Naprawdę – zjadł. Informacje przekazane przez Fryzjera poskutkowały na tyle, że upierdliwy sędzia przestał się rzucać. Mówiąc krótko – został spacyfikowany”.

Z czasem Stanowski próbował się „Fryzjerowi” odwzajemnić. W listopadzie 2004 dziennikarze „Przeglądu „Antoni Bugajski i Paweł Rusiecki po raz pierwszy zasugerowali, że Forbrich ustawia mecze w polskiej lidze. Gdy pracowali nad tekstem „Przygody fryzjera damsko-męskiego”, redakcyjny kolega Krzysztof „chodził za szefostwem i mówił, że *Fryzjer* chce [z autorami] porozmawiać”, by wszystko wytłumaczyć. Te zabiegi ujawnił potem w youtubowym kanale Futbolownia ówczesny szef „Przeglądu” Roman Kołtoń. „Ktoś, kto szekał, tak jak *Fryzjer* mu klaskał... naprawdę smutna rola” – podsumował działania Stanowskiego.

W tym samym 2004 roku ukazał się inny kluczowy dla ujawniania korupcji w polskiej piłce artykuł: „Bierzesz i zapominasz”. Reporter „Faktu” Dariusz Łuszczyna ujawnił w nim, że „Fryzjer” próbował mu zapłacić za porzucenie pracy nad tekstem o piłkarskim działaczu molestującym futbolowe sędzie. Wówczas – co później wyzna Wirtualnej Polsce wspomniany już Dariusz Tuzimek – Stanowski umówił rozmowę telefoniczną szefostwa gazety z Forbrichem, podczas której piłkarski załatwiacz obiecał materiały kompromitujące dziennikarza „Faktu” – to znaczy Łuszczynę. Rozmowa została nagrana, lecz redakcja „Przeglądu” nie zrobiła z nią nic.

Dlaczego Stanowski mając dostęp do „Fryzjera” nie zdemaskował go sam?

„Może zabrakło mi na to pomysłu, bigła, odwagi, a może też *Fryzjer* mi trochę spowieszedniał. Bo z tą korupcją było trochę, jak z łapówkami dla drogówki. Machało się na to ręką” – tłumaczył w „Tajemnicach...”, co środowisko dziennikarzy sportowych przyjęło jako wykręt. W latach 2004-05 sprawa Forbricha była przecież hitem, a opisujący ją dziennikarze dostawali branżowe nagrody.

– Stanowski nie ruszał „Fryzjera”, ponieważ obu łączyły różne interesy – mówi mi współpracownik Kanalu Sportowego. – „Stan” się powinien cieszyć, że prokuratura rozbijająca układ w piłce nie wzięła się również za niego. Bo przesłanki były.

Jakie? Trójkąt Stanowski-Michniewicz-Forbrich to nie tylko wspomniana wymiana połączeń po zatrzymaniu sędziego Fijarczyka. Jak ujawnił w WP Jadczak, policja ustaliła „dziesięć przypadków, gdy bezpośrednio po kontakcie z Krzysztofem Stanowskim trener Michniewicz kontaktował się z Ryszardem Forbrichem lub odwrotnie (...) W jednym przypadku konwersacja toczyła się w [podczas] meczu uznanego przez sąd za ustawiony”.

Sam youtuber w trakcie jednego z występów w KS przyznał, że rozmawiał z „Fryzjerem” 200-300 razy, rozmowy jednak nie dotyczyły sprzedawania meczów.

„Byłem dziennikarzem i wykonywałem mnóstwo telefonów, by wiedzieć, co w trakcie pisać (...). Forbrich był dla dziennikarzy doskonałym źródłem informacji, ponieważ po prostu wszystko wiedział”. I tyle.

Od roku 2010 Stanowski jest żonaty. Martę Sosnowską, czarnowłosą studentkę dietetyki, poznał podczas wyboru hostess, które miały rozdawać ulotki Weszło przy wejściach na stadiony. Mają dwóch synów, Leona i Aleksandra. Mieszkają w domu na dużej, częściowo porośniętej wysokimi sosnami działce w przyklejonej do Warszawy od południowej strony gmi-



• **Czerwiec 2023, Krzysztof Stanowski na warszawskim lotnisku Okęcie, po powrocie z Indii, gdzie robił sondę na temat Natalii Janoszek** FOT. PIOTR MOŁĘCKI/EAST NEWS

nie Lesznawola. „Stan” ma na swoim terenie małe boisko piłkarskie pokryte fachową murawą, którą kosi mini-traktorem.

– Niespodziewanie odkryłem w sobie pasję do ogrodnictwa – wyznał w Spidersweb.pl.

Marta pracuje jako dietetyczka i jest drugą obok męża współniczką Grupy Weszło (formalna nazwa w KRS: Weszło Group Stanowski). Zasiada również w radzie nadzorczej nowej spółki akcyjnej Kanal Zero – obok Leśnodorskiego i stołecznego adwokata Emila Tomaszewskiego.

Z Kanalu Sportowego „Stan” już się wycofał, a powody rozstania z Polem, Smokowskim i Borkiem wyłożył w listopadzie na Weszło TV. Monolog „Dlaczego odszedłem...” ma przeszło godzinę i można się z niego dowiedzieć, że w KS dochody z przedsięwzięcia były dzielone równo, ale praca – nie:

– Dziewięć na dziesięć najlepiej oglądanych programów Kanalu Sportowego w danym miesiącu to były moje programy, co na początku było mile, ale z czasem mnie frustrowało, że koledzy nie chcą podjąć rywalizacji. No przecież żadna zdrowa firma nie może być tak zorganizowana...

Dzwonię do Michała Pola, by spytać: jak to było? Dziennikarz prosi, by go nie cytować, lecz w sumie potwierdza wersję zaprezentowaną w „Dlaczego odszedłem...”. Znakomitą większość „subów”, czyli subskrypcji, przynosił Kanalowi Stanowski. Sam podcast o Janoszek dał przeszło sto tysięcy prenumerat.

Rejterada „Stana” ma jednak i drugie dno. Z początkiem listopada w porannym programie KS prowadzący stroili żarty przy okazji prognozy pogody, której „partnerem jest Sharp, producent oczyszczaczy powietrza”. Stwierdzili, że temperatury w Polsce zrobiły się „równie niskie, jak wiek dziewczyn, które były podrywane przez niektórych polskich influencerów”.

Niefajne porównanie, które dotyczyło m.in. ofiar youtubera Stuu – miesiąc wcześniej zatrzymanego w związku z utrzymywaniem karalnej relacji z czternastolatkami – i generalnie wysypu szokujących doniesień o #MeToo z udziałem idoli młodych widzów, zostało zauważone i szeroko skrytykowane w sieci. Kanal kolektywnie przepro-

sił, lecz to nie zdało się na nic. Zaczęli odchodzić sponsorzy. Najpierw Lipton, potem Sharp. W tej sytuacji odejście Stanowskiego okazało się gwoździem do trumny KS, który w styczniu 2023 zaliczył prawie 20 milionów odsłon, a w styczniu tego roku – trzy miliony. Wygląda na to, że fani „Stana” przeszli wraz z nim do Kanalu Zero.

Oglądam w Zerze jeden z nowszych podcastów: rozmowę Mazurka z Czarnkiem. Studio podobne do Kanalu Sportowego, tylko bez reklam Tyskiego, Fuksiara itd. Zamiast nich na ścianie tkwi logo nowego sponsora – firmy pośrednictwa pracy dla informatyków RocketJobs.pl.

Dzwonią słuchacze. Jeden pyta, jak Czarnek się czuje z tytułem Dzbana Roku przyznanym mu w plebiscycie tygodnika „NIE!” i bloga Make Life Harder.

Polityk PiS nie traci rezonu: – Serdecznie dziękuję, drodzy lewacy, za tego rodzaju tytuł. Gdybyście mnie chwalili – wtedy miałbym problem.

Mazurek przechodzi do kolejnej kwestii... a tu zjawia się, wnosząc własne krzesło, Stanowski.

– Tak słucham, słucham... już się zorientowałem, że pana nie można przegadać – mówi do polityka. – Natomiast mam wrażenie, że więcej od tego, co pan mówi, znaczy to, czego pan nie mówi. A pan nigdy praktycznie nie mówi o uczniach. A ja bym chciał, jako ojciec dwójki dzieci, żeby ministrem edukacji nie był ktoś, kto chce uczniów zaprogramować w którą stronę, tylko chciałbym, aby to była osoba, która patrzy na wszystkie dzieci, jak na swoje i chce, aby one się rozwijały, były ciekawe świata, żeby im się otwierały różne furtki w głowie. A u pana jest dużo ideologii, dużo kłótni, dużo odbijania piłeczki, w czym pan jest bardzo dobry.

– Pycha! W nowym biznesie nowy Stanowski – śmieje się dziennikarz sportowy. – Nie kłómy się rodacy, bo takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie... normalnie kanclerz Zamoyski. A wie pan, który z właścicieli mediów wchodzi do studia swoich prowadzących, przerywa im wywiady, by głosić własne mądrości?

– To wiem akurat doskonale. Ojciec dyktor Rydzyk.

– W tej chwili największym zagrożeniem dla „Stana” nie jest konkurencja, bo na YouTube niczego z podobnym rozmachem nie ma. Zagrożeniem jest on sam. Że mu palma odbije.

Coś może być na rzeczy. Od 21 lutego próbowałem porozmawiać z bohaterem tekstu. Dzwoniłem, nagrałem się na skrzynkę, wysłałem grzeczny SMS-a, potem drugiego. Stanowski odpisał: „Myślę, że pan się podszywa pod dziennikarza”. Niezrażony wysłałem skan swojej legitymacji prasowej i ponowną prośbę o rozmowę lub zgodę na wysłanie pytań mailem. Odpowiedź: „Nie wierzę w sens tej rozmowy, bo abso-

lutnie nie wierzę w [pana] dobrą wolę”. Mimo wszystko wysłałem (również bez sukcesu) jeszcze trzy prośbne SMS-y. Skończyło się tym, że „Stan” opublikował jeden z nich na swoim profilu w serwisie X, żeby publika zobaczyła, jak go „Wyborcza” bezskutecznie prosi o wywiad.

Jednocześnie przez prawie dwie i pół godziny opowiadał w Kanale Zero o pierwszym miesiącu działalności i swoich planach na przyszłość. Jak twierdził, tylko z reklam na YT redakcja wyciągnęła prawie 800 tys. zł. Zatrudnienie wynosi w KZ „kilkadziesiąt osób, tak bliżej stu, niż dziesięciu”. Do RocketJobs dołączyli nowi sponsorzy: KFC, XTB, GoldSaver. W planach wypuszczenie na rynek napoju pod marką Zero i zaproszenie do współpracy z Kanalem lubianego językoznawcy Jerzego Bralczyka.

Z początkiem marca dzwonię do profesora i pytam, czy już przyjął propozycję „Stana”.

– W zasadzie tak. Widzę że Zero w internecie rośnie i jest oglądane przez młodzież, czyli target na którym mi zależy... a pan dla czego pyta?

– Ponieważ osoba Krzysztofa Stanowskiego budzi kontrowersje – relacjonuję profesorowi ustalenia, jakie poczyniłem.

– Cóż... z tego, co pan mówi, wynika, że serwis Weszło był momentami wulgarny, a Kanal Sportowy też się nie ustrzegł wpadek. Nie śledzę wszystkiego, co ukazuje się w Zero, ale wydaje mi się, że tam już nikt nie obraża kobiet, nikt też nie rzuca mięsem. Czyli pan Krzysztof się cywilizuje i to jest dobra wiadomość. Występuje u niego profesor Matczak, którego cenię i ufam mu, jest także Robert Mazurek, którego szanuję jako dziennikarza...

Ten ostatni nie chciał rozmawiać ze mną o Kanale Zero. Marcin Matczak – znany prawnik i komentator polityczny, w felietonach apelujący o wysokie standardy debaty publicznej, również na łamach sobotniej „Wyborczej” (a przy okazji ojciec Maty, jednego z najpopularniejszych polskich raperów) – owszem, znalazł czas:

– Po pierwsze uważam, że trzeba przebić bańki. Zgodziłem się poprowadzić program o prawie na Kanale Zero właśnie dlatego, by mieć możliwość dyskusji ponad, czy raczej pomiędzy bańkami. Uważam, że dziś zagrożeniem dla demokracji są pewne ugrupowania, na które coraz chętniej głoszą zwłaszcza młodzi mężczyźni. Chciałbym móc dyskutować z tymi ludźmi, a teraz nie jest to możliwe – bo „Wyborczej” to oni raczej nie czytają.

Prof. Matczak prowadzi w Zerze (wraz z Leśnodorskim) cykl „Niepoprawnik”.

– Jak dotąd nagrywaliśmy odcinki przed emisją, ale zaraz będzie pierwszy live z telefonami od widzów... Spodziewam się trudnej męskiej dyskusji.

– Dlaczego?

– Widziałem komentarze pod odcinkiem, w którym rozmawialiśmy o tym, czy obecny minister sprawiedliwości łamie prawo. Powiedziałem, że nie łamie, co wywołało spory gniew w komentarzach. Głównie u męskiej publiczności.

Oglądam odcinek „Niepoprawnika” zatytułowany „Czy Adam Bodnar obszedł przepisy?”.

Mówi Matczak: „Pod koniec rządów PiS powstała wątpliwość, czy po ewentualnej wygranej Donalda Tuska prokuratura nie będzie ścigać sprawców tego, co się zdarzyło w poprzednich ośmiu latach. Postanowiono więc zabetonować tę prokuraturę. Na czas, gdy Ziobro przestanie być ministrem-prokuratorem generalnym stworzono zabezpieczenie na niższym poziomie i wprowadzono specjalne kompetencje dla prokuratora krajowego, którym został pan Dariusz Barski. [Zarazem w praktyce] uniemożliwiono jego odwołanie. Teraz on jest głównym szefem prokuratury”, co oczywiście osłabia pozycję nowego szefa resortu.

Z dalszej części wywodu Matczaka wynika, że nowy minister po prostu nie mógł się zgodzić na podobne ubezwłasnowolnienie i musiał zneutralizować Barskiego. Komen-

■
***W rozmowach z prezydentem
czy byłem ministrem
Czarnkiem był ostrożny,
uprzejmy, nie orał. Ale
w kobiecie, aktywistki, osoby
stające po stronie słabszych –
uderza bez pardonu***

MAJA STAŚKO

tarze pod nagraniem – rzeczywiście – są wysoce krytyczne wobec profesora.

- „Fakty są takie, że Bodnar szuka kruczków i pan Matczak to pochwała”.
- „To był odcinek pod tytułem: dlaczego tamci działając zgodnie z prawem łamali praworządność i dlaczego nasi mogą łamać prawo by przywrócić praworządność”.
- „Bodnar uchwałą powinien najpierw zlikwidować konstytucję, bo po co taka konstytucja, która mówi, że potrzebne są ustawy? Idźcie do TVN, tam się tylko nadajecie”.
- „Próbowałam słuchać poważnie tych wywodów, ale niestety takiej stronnictwości, nie da się przez uszy przepuścić”.
- „Jeżeli Matczak może usprawiedliwiać łamanie prawa przez Bodnara, to w tym kraju każdy kolejny rząd będzie już tylko gorszy”.
- Jak pan widzi, mam podstawy, by spodziewać się ataku ze strony widzów Zera, lecz na to właśnie liczę – puentuje profesor.
- Jestem fanem dyskusji, bo wiele rzeczy złych dzieje się z tego powodu, że ludzie nie dyskutują, siedząc w swoich silosach.

- Znamy już perspektywę ekspercką, dostaliśmy ogląd etyczny, znamy biografię Stanowskiego i wiemy, co przyciągnęło do Kanalu Zero gwiazdorskie nazwiska. Ale co myślą jego widzowie? I czy ktoś poza fanami Korwina oraz sympatykami Konfederacji (w domyśle – bo tak znaczna część tzw. liberalnej opinii publicznej wyobraża sobie odbiorcę Sportowego/Zera – mężczyznami, w tym młodymi, którzy frustrują się, nie mogąc odnaleźć w coraz bardziej różnorodnej rzeczywistości) to na ogóle ogląda? Dałam sobie okragły tydzień na poszukiwania – i przeżyłam kilka zaskoczeń.

Jakub, 29-letni twórca internetowy, oglądał Kanal Sportowy, postanowił więc sprawdzić i Kanal Zero. Spodziewał się więcej futbolowego kontentu. Za to jest dużo polityki, dla niego za dużo. Nie stał się więc fanem nowego projektu Stanowskiego.

Kanal Zero docenia za to 27-letni Sebastian. Do nowego projektu Stanowskiego przeniósł się z Kanalu Sportowego, w którym oglądał „Hejt Park”. Gdy ze „Sportowym” pożegnał się Stanowski, zrobił to także i Sebastian. Teraz jest stałym widzem Kanalu Zero. Codziennie ogląda „Poranki”, włącza je między innymi dla Macieja Dąbrowskiego, w sieci znanego jako Człowiek Warga. „To sprytny ruch” – Sebastianowi podoba się, że Stanowski zwerbował znanych youtuberów.

Ogląda nie tylko „Poranki”. – Tych programów jest naprawdę dużo. Mocną stroną kanału jest jego różnorodność. Różne formy, różni prowadzący i goście. Lubię posłuchać eksperckich debat i rozmów z ciekawymi osobami, na przykład z Jakubem Żulczykiem.

Sebastianowi zapadła w pamięć zwłaszcza debata na temat Centralnego Portu Komunikacyjnego, w której jeden z gości powiedział wprost, że w sytuacji zagrożenia wojną lepiej, by taki duży port powstał, bo to ułatwi zarządzanie kryzysowe.

Lubi oglądać także „militarne Zero”. Ceni, że w programie występuje jako ekspert generał Andrzejczak, szef Sztabu Generalnego w latach 2018–23. Tematy związane z obronnością interesują Sebastiana ze względu na wojnę w Ukrainie.

Debaty w Kanale Zero, podkreśla Sebastian, są odmienne od tych w telewizji. – Goście rozmawiają spokojnie, nikt się nie przekrzykuje. Padają argumenty za i przeciw – mówi. Ten spokój go zaskakuje. Jak to jest, że u Stanowskiego się da, a w mainstreamowych mediach nie? – Być może to związane z czasem antenowym. Programy telewizyjne ograniczone są ramówką. Muszą gnać z tematami – roztrząsa Sebastian.

Sebastian nie zawsze się zgadza z tym, co słyszy w Zerze, wiele rzeczy nie rezonuje z jego lewicową wrażliwością. – Ale i tak chętnie posłucham. Mogę zobaczyć inną perspektywę.

Ale jest coś, co stanowczo mu nie odpowiada. To sekcja komentarzy. A konkretnie, brak ich moderacji podczas progra-

mu na żywo. Na czacie każdy może się wypowiedzieć i korzysta z tego wielu hejterów. – To może zaważyć na przyszłości kanału – ocenia. – YouTube ma przecież swoje zasady, a czy nie są naruszane, sprawdzają. AI sprawdza treści, nie czytając kontekstu, więc obawiam się, że kiedyś Kanał może zostać zablokowany.

- 31-letniego Remigiusza (imię zmienione), pracownika międzynarodowej korporacji, do Kanalu Zero przyciągnęła postać jego założyciela, czyli samego Stanowskiego. – Znam go z Weszło oraz programów o tematyce piłkarskiej – opowiada.

Gdy Zero wystartowało, Remigiusz starał się obejrzeć każdy format. Nie wszystkie mu podeszły. Ogląda trzy programy: Naukowe Zero, Ground Zero oraz Trzecie Śniadanie. Ale, jak podkreśla, nie jest „mamiakiem”, Kanalu Zero nie włącza codziennie. – Śledzę zapowiedzi programów na Instagramie i oglądam, gdy mnie coś zainteresuje, nie więcej, jak dwa razy w tygodniu.

A interesujące są także debaty. Wyjaśniają mu, co się dzieje, i pokazują szeroką perspektywę, choćby w sprawie CPK czy protestu rolników.

– Takiej szerokiej perspektywy nie znalazłbyś w mainstreamowych mediach?

– Pewnie bym znalazł, ale musiałbym siedzieć nad wieloma źródłami, a w takiej debacie ma mam przegląd różnych stanowisk – tłumaczy. Ale i tak informacje o świecie czerpie z innych mediów. – Głównie z BBC, internetowej wersji „Guardiana”, portalu wp.pl, a jeśli chcę poczytać jakieś forum, to wybieram Reddit – mówi 31-latek.

Podoba mu się to, że Kanał Zero ma być medium otwartym, takim, w którym mogą wypowiedzieć się osoby o różnych poglądach. Ale i w tej otwartości powinny być granice. – Moim zdaniem Stanowski nie powinien zapraszać Samuela Pereiry, by ten mógł tłumaczyć się i bronić tego, co robił w TVP za rządów PiS. Przeżyję, że jego cyniczne wypowiedzi mnie zezłościły, bardziej martwi mnie, że ktoś może uwierzyć w to, co taki gość mówi, okazać mu zrozumienie.

Remigiusz też zwraca uwagę na komentarze pod transmisjami. Z niektórych wylewa się hejt pod adresem konkretnych prowadzących (zwłaszcza Moniki Goździalskiej), ale bardziej martwią go inne – światopoglądowe. – Te wpisy wyglądają, jakby konfederaci urządzili sobie na kanale jakiś zjazd. Pocieszam się, że piszą je młodzi widzowie, którzy spodziewają się po prostu, że Stanowski każdego „zaora”. Ale osobom z bardziej liberalnymi poglądami te komentarze mogą przypominać szambo. Czat w programach na żywo powinni moderować.

- Paweł, czterdziestoletni pracownik budżetówki, zauważa, że Kanał Zero jest czymś zupełnie innym niż Kanal Sportowy. – Bo nie traktuje stricte o sporcie. Mają tylko jeden taki program, a jego oglądalność jest słabsza niż tych z Kanalu Sportowego.

To dlaczego, skoro kręci go sport, Paweł porzucił Sportowy? Bo kręci go również polityka – a „nowy Stanowski” wygrywa ze „eks-Stanowskim” społeczno-obyczajowo-politycznymi porankami. – Są ciekawsze i mają lepszych prowadzących. Zwłaszcza Tede się sprawdza. Zwróciłem uwagę na jego zachowanie, gdy ze współprowadzącą, Moniką Goździalską, rozmawiali o wywiadzie, jakiego kanałowi Zgrzyt udzielił Robert Pasut [youtuber, niegdyś znany z przesławczego kanału Abstrachuje TV]. Pasut mówił na przykład, że osoby leczące depresję farmakologicznie są narkomanami, a od kobiet 25-letnich i starszych można zrazić się chorobami wenerycznymi, dlatego on sypia z młodszyimi. Goździalska komentowała to bardzo emocjonalnie, aż za bardzo, a Tede był spokojny. Mówił, że pewnie są i takie kobiety, więc ktoś może mieć również taki pogląd. Dawał przestrzeń.

■
Wiele rzeczy w Zero nie rezonuje z moją lewicową wrażliwością. – Ale i tak chętnie posłucham. Mogę zobaczyć inną perspektywę. No i goście rozmawiają spokojnie, nikt się nie przekrzykuje. Jak to jest, że u Stanowskiego się da, a w telewizjach nie?

SEBASTIAN, LAT 27

Paweł ogląda także debaty. Ta o mieszkalnictwie go zawiodła, była nudna. Ciekawsza była o CPK, mimo że „przeciwnicy inwestycji wydawali się niezbyt dobrze dobrani, jakby z lapanki”. Rozczarował go także słynny debiut Zera, czyli rozmowa z Andrzejem Dudą. – Spodziewałem się, że będzie mocniejsza. Nie cisnęli go tak, jak mogli.

Paweł ceni to, że Stanowski zaprasza wszystkie strony sporu politycznego. – Choć iąb podejrzewam, że nie zaprosi wszystkich, których chciałby. Na przykład Grzegorza Brauna, bo polityka kontroli treści YouTube’a mogłaby mu poucinać zasięgi, a to się przełoży na przestрах reklamodawców i hajs się nie będzie zgadzał. A przecież wiadomo, że ten kanał to przede wszystkim biznes.

- Związany z branżą gastronomiczną 30-letni Łukasz trafił na kanał Zero „typowo, z Kanalu Sportowego”. Najbardziej lubił programy samego Stanowskiego, więc po jego niemiłym rozstaniu się ze Sportowym chciał zobaczyć, jak pójdzie nowy projekt.

– Wywiadem z prezydentem zawiesili sobie wysoko poprzeczkę – ocenia. Zero ogląda regularnie od początku i zauważa potknięcia, ale małe, takie do wybaczenia.

- Potknięcia?
- Mam wrażenie, że niektóre materiały nie są do końca przygotowane. Nie podobal mi się ten o Caroline Derpinski. Jak na dziennikarskie śledztwo był dość średni, aczkolwiek rozumiem, że bardziej chodziło o partnera celebrytki, tylko musieli się hamować, by nie narazić się na pozew.

Łukasz nie najlepiej ocenia także prowadzoną przez Mazurka debatę „Mieszkanie prawem, czy towarem?” z udziałem lidera Konfederacji Sławomira Mentzena, inwestora Rafała Zaorskiego, społecznika Jana Śpiewaka oraz posła Lewicy Macieja Konicznego. – To postacie o skrajnych poglądach i widz dowiedział się więcej o nich czy linii ich partii niż o samym temacie i o tym, jak wyjść z mieszkaniowego impasu.

Ale plusy Zera przeważają nad minusami. Zwłaszcza rozpiętość tematów, obecność ekspertów i żywy puls. – Zazwyczaj twórcy kanałów youtubowych skupiają się na jednym temacie, a Zero jest różnorodne. Eksperci potrafią przekazywać wiedzę zrozumiale, zwłaszcza generał Andrzejczak i profesor Bralczyk. No i Stanowski działa spontanicznie. Na pewno ma jakąś bazę pomysłów, ale szybko reaguje na to co, się dzieje. Było głośno o CPK, to zrobili debatę, przypuszczam, że zaraz pojawi się kontent dotyczący środowiska, Zielonego Ładu i komisji śledczych. Oglądałbym, bo to jest coraz ciekawsze.

Łukasz uważa, że na Kanale Zero będzie coraz więcej treści politycznych. – Już teraz coraz częściej widać ich ludzi w Sejmie. Zresztą przecież sam Stanowski powiedział, że wejdzie w politykę. Jeżeli rzeczywiście będzie walczył o urząd, to pewnie wykorzysta możliwości, jakie daje własny kanał i spora część treści będzie poświęcona politycznym zagrywkom.

– A masz wrażenie, że Kanał Zero opowiada się po którejś ze stron? Wielu komen-

tatorów łączy go z Konfederacją, czy szerzej, z alt-prawicą.

– No co ty? Jeśli już, to na początku miałem wrażenie, że korespondują z moimi lewicowymi poglądami. Ale im dłużej oglądam, tym bardziej sądzę, że starają się być obiektywni. Jasne, jak zrobili wywiad z Dudą, to padły oskarżenia, że są na prawo, ale przypuszczam, że jakby pojawiła się szansa wywiadu z Tuskiem czy Czarzastym, toby skorzystali. Wiesz, dziś jest tak prawda jest taka, że każdy nowy dzień to dla dziennikarza nowa krytyka, że opowiada się za taką czy inną opcją.

- Pracujący w branży kulturalnej 32-letni Grzegorz na Kanale Zero ogląda jedynie programy polityczne. – Od dawna słucham Mazurka i on mnie przekonał, żeby tam zajrzeć.

Ale bezpośrednim impulsem był wywiad z Dudą.

– Trochę to jednak podejrzane, że kanał, który dopiero zaczyna, dostaje wywiad z prezydentem. Jest masa twórców na YouTube, którzy chcieliby zrobić wywiad z głową państwa, ale Duda nie odmówił akurat Stanowskiemu. I tym samym zapewnił mu promocję.

– Może prezydent uznał, że za pomocą popularnego influencera trafi do prawicowych odbiorców?

– Być może, ale jeśli tak, to nie trafił, bo nie wypadł dobrze. Prowadzący go przycisnęli, a on pewnie myślał, że będą mu sprzyjali.

Grzegorz nie może nadziwić się debatom w Zerze. Dyskutanci mogą się swobodnie wypowiedzieć – i nikt nie krzyczy, nie przerywa innym. – Może przez to, że nikt za bardzo nie ogranicza im czasu? A może przed nagraniem ktoś z nimi rozmawia i przedstawia zasady? Bo chyba sam autorytet Stanowskiego to za mało, by zachowywali się kulturalnie.

– A może zachowują się tak, bo nie chcą zrazić młodych odbiorców, którzy nie włączają telewizora, tylko YouTube? – zastanawiam się.

– A może raczej tu dziennikarze, w przeciwieństwie do tych telewizyjnych czy radiowych, po prostu dają ludziom wypowiedzieć się? Wywiadu z Pereirą nie byłem w stanie wysłuchać do końca, bo myślałem, że się porzygam, gadał obrzydliwe rzeczy, rzucał kalumnie, zaprzeczał sam sobie, ale Stanowski mu nie przerywał. Doceniam.

Mimo to Grzegorz, jak sam zauważa, nie może pozbyć się nawyku szukania drugiego dna. – Z tyłu głowy mam poczucie, że ten kanał może być sterowany przez prawą stronę, ale w ich programach dowodów nie zobaczyłem. Oprócz tego wywiadu z prezydentem.

PS. W trakcie tygodniowych poszukiwań nie znalazłam żadnej kobiety oglądającej Kanał Zero. ●

Kanał Zero – Who is Who

- Kanał Zero można oglądać na YouTube od początku lutego. Ma prawie milion subskrybentów i zebrał już ponad 70 mln wyświetleń podcastów ułożonych w serie – m.in.: „Biznesowe Zero”, „Dziennikarskie Zero”, „Militarne Zero”, „Gospodarcze Zero”, „Mazurek & Stanowski”, „Trzecie Śniadanie”, „Niepoprawnik” itd.

- Poza osobami wymienionymi w reportażu zespół Zera tworzą m.in.: * krytyk filmowy **Tomasz Raczek**; * popularyzator nauki **Tomasz Rożek**; * youtuber **Maciej Dąbrowski** (znany wcześniej z własnego kanału Z Dupy); * dziennikarz gospodarczy i autor kryminałów **Mariusz Zielke**; * satyryk i stand-uper **Kacper Ruciński**; * publicysta i analityk zajmujący się wojskiem **Jarosław Wolski**; * były szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego generał **Rajmund Tomasz Andrzejczak**; * dyrektor Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych dr **Sławomir Dębski**.

Pierwsze 34 lata u władzy

**A mógł być tym, który
w podręcznikach zapisze się
jako prezydent odnowiciel**

Wiktoria Bieliaszyn

Gdyby Putin był prezydentem przez dwie kadencje i odszedł w 2008 r., byłby wspominany przez Rosjan i Zachód jako ten, który „podniósł Rosję z kolan”. Historia nie lubi jednak trybu przypuszczającego. W weekend Putin zostanie ogłoszony – celowo nie używam słowa „wybrany” – po raz piąty prezydentem Federacji Rosyjskiej.

Gdy Aleksiej Nawalny przekonywał mnie, że Putin nie cieszy się poparciem większości Rosjan, skonfrontowałam go z głosami ludzi z prowincji. Nawet ci, którzy prezydenta krytykowali, twierdzili, że to „jedyne, na którego można zagłosować”. „O! To właśnie forma poparcia, jaką ma Putin. Główne hasło jego kampanii brzmi: Kto, jeśli nie Putin?”. Nawet najbliższe otoczenie reklamuje go: No, jest niedobry, a nawet zły, ale nie ma nikogo innego!” – zgodził się Nawalny.

Miał rację. Kremlowscy technologowie polityczni dwoją się i troją, by konkurentami Putina byli albo nieznani, albo zdyskredytowani działacze, a odkąd prezydenta trudno nazywać już „młodym”, także mniej sprawni i starsi. Ale czasami są zbyt pewni swego. Tak jak na finiszu tej „kampanii”, kiedy prawie pozwolono wystartować mało znanemu liberalowi, którego głównym punktem programu było zakończenie wojny. To wystarczyło, by w miesiąc Borys Nadieżdin zebrał setki tysięcy podpisów ludzi, którzy nigdy o nim nie słyszeli. Rosjanie stali w kolejkach i ujawniali się z nazwiska jako niełojalni poddani, nie dlatego że wierzyli w szan-

se Nadieżdina, ale by wyrazić sprzeciw wobec rządów Putina.

Śledząc w 2018 r. w Moskwie wybory prezydenckie obserwowałam tłumy wolontariuszy w lokalach wyborczych. Usiłowali zgłaszać naruszenia, choć wiedzieli, że to na nic. „Zazdroszczę Polakom. To musi być ekscytujące: nie wiedzieć do końca, kto wygra”, mówili.

Działaczka Memoriału Aleksandra Poliwanowa mówi mi w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów”: „Pewna starszuszka przyszła zdecydowana, na kogo chce oddać głos. Tylko że zaznaczyła niewłaściwe okienko. Przez moment widziałam irytację, zasmucenie, ale wzruszyła ramionami i powiedziała: Boże, a co za różnica”.

Zmiany w przepisach pozwalają władzy jeszcze łatwiej kraść głosy: rozciągnięte w czasie głosowanie, możliwość głosowania elektronicznie albo w domu, a w przypadku ludności okupowanych terytoriów z pistoletem – dosłownie – przystawionym do głowy.

Ale po co to wszystko, skoro wprowadzone w 2020 r. poprawki do konstytucji umożliwiają Putinowi sprawowanie urzędu właściwie do śmierci? Bo nawet bardziej niż wcześniej wizerunkowo potrzebuje wysokiego wyniku.

„Dzięki temu będzie postrzegany jako polityk, który ma pozycję silniejszą od Zelenskiego”, tłumaczył mi politolog Iwan Priobrażenski. Chodzi o komunikat nie tylko do Rosjan, ale też do „symetrystów” na Zachodzie i opinii publicznej w krajach niezaangażowanych: Patrzcie, Zelenskiemu kończy się kadencja, ale odwieka wybory, chociaż niby Ukraina taka demokratyczna. ●



• Radzieckie mieszczaństwo

Putin z byłą żoną Ludmiłą i córką Marią. Jedno z nielicznych zdjęć z rodziną – po objęciu urzędu prezydenta będzie utrzymywać życie prywatne w największej tajemnicy. Oficjalnie nie wiadomo nawet, ile Putin ma dzieci – najstarsze córki występują w przestrzeni publicznej pod przybranymi nazwiskami.

• Stopa w drzwiach władzy

Anatolij Sobczak, pierwszy mer Petersburga, uważany jest za człowieka, który dopuścił Putina do jakiegokolwiek władzy, kiedy w 1990 r. zaproponował mu pracę, rzekomo (bo jest też wersja, że działał pod dyktando byłych kagebistów budujących sieć wpływów w nadziei na powrót do władzy) oczarowany jego skutecznością, znajomością języków obcych, pracowitością i inteligencją. Putin, podpułkownik KGB, szybko wprowadził do ekipy Sobczaka innych agentów, równolegle rozszerzając własne wpływy.



FOT. AP PHOTO/ALEXANDER ZEMLIANICHENKO, YURI KADOBNOV/POOL PHOTO VIA AP, AP PHOTO/ SERGEY PONOMAREV, LASKI DIFFUSION/EAST NEWS (4), AFP / RIA-NOVOSTI/ALEXEI NIKOLSKY, AFP/ RIA-NOVOSTI/ALEXEY DRUZHININ



• Nowy członek zachodniej rodziny

Pierwsze lata rządów Putina obfitowały w spotkania z zachodnimi politykami, przed którymi roztaczał wizję świetlanej przyszłości. Obiecywał bronić „podstawowych elementów cywilizowanego społeczeństwa”: wolności słowa, wolności sumienia, mediów, praw własności. Podkreślał, że „Rosja staje się nowoczesnym państwem demokratycznym”.

• Bogobojny car

Rosyjską Cerkiew obserwatorzy tamtejszej sceny politycznej nazywają „jednym z departamentów administracji prezydenta”. Putin deklaruje silną wiarę w Boga i przywiązanie do prawosławnych tradycji. Naznaczony przez niego patriarcha Cyryl, miłośnik szwajcarskich zegarków wartych 30 tys. dolarów, z wdzięczności posuwa się do błogosławienia wojny przeciwko Ukrainie.



• Koledzy

Jeśli coś Putinowi się udaje, to dolewanie oliwy do ognia w miejscach zapalnych, ale jakoś przewidywalnych. Tak jak w Azji wschodniej. W zamian za amunicję i rakiety – przestarzałe, lecz dostępne hurtowo – Rosja oferuje Korei Północnej nie tylko ryż, ale też know how. To irytuje Chiny – Kim musiał tańczyć, jak mu zagrają, teraz może się stawiać. No i Pekinowi, pełniącemu po cichu rolę globalnego współżandarma USA, nie uśmiecha się zdeterminowany dyktator uzbrojony w nowoczesne okręty, elektronikę, technologie jądrowe.

• Kim jest gospodin Putin?

Za sprawą najbliższego otoczenia Jelcyna jego następcą zostaje nieznany Rosjanom były podpułkownik KGB, mający chronić interesy jelicynowskiej „rodziny”. Traktowany przez elity polityczne jako sterowny działacz, pozostaje lojalny wobec Jelcyna i jego bliskich, ale szybko zaprowadza swoje porządki, dając do zrozumienia, że wpływy „rodziny” się skończyły.



• Putin z gołym torsem

Putin na rybach. Putin na koniu. To tylko niektóre z oficjalnych zdjęć, później przerabianych na memy (Putin na niedźwiedziu). Ta manifestacja macyzmu była celowym zabiegiem, przy czym na początku nie chodziło o umocnienie kultu jednostki, tylko o podkreślenie zdecydowanego charakteru reżimu.

• Ciut zły, ale przewidywalny

Rosja przestała być postrzegana jako uboga krewna. Putin zdawał się przewidywalny, a że wojna w Iraku poskutkowała skokiem cen ropy i gazu, mógł realizować plany bez oglądania się na innych. To wtedy przejął media i sądy, barbarzyńskimi metodami zakończył wojnę w Czeczenii, zniszczył samorządność, a Zachód traktował go jako partnera. Może nawet bardziej niż wcześniej – bo wytypowany na przejściowego prezydenta Dmitrij Miedwiediew wzięt na siebie ciężar niepopularnych reform, a zewnątrz udawał technokratę dążącego do „resetu”.





Putin – metamorfozy

DYKTATORZENIE

Z POLITOLOGIEM **DANIELEM TREISMANEM**, WSPÓŁAUTOREM KSIĄŻKI O WSPÓŁCZESNYCH AUTOKRATACH, ROZMAWIA **MARGARITA LUTOWA**

Czy Rosja jest już całkowicie dyktaturą strachu?

– Tak. Jedno ważne zastrzeżenie: oczywiście każda liczba więźniów politycznych jest straszna, obecnie w Rosji mówi się o kilku tysiącach, ale to wciąż nie jest porównywalne z tym, co było za panowania głównych dyktatorów strachu w XX wieku. Nie ma też co porównywać liczby zabójstw politycznych z reżimami Stalina, Mao, Hitlera, czy nawet z juntami wojskowymi Pinocheta w Chile i w Argentynie. Tak więc, jeśli chodzi o więzienie i zabójstwa w Rosji, niestety, sytuacja może się jeszcze pogorszyć.

Przypomnijmy: w kwietniu 2022 roku ukazała się książka napisana przez ekonomistę Siergieja Guriewa i politologa Daniela Treismana „Spin dyktatorzy. Nowe oblicze tyranii w XXI wieku”. Opisali szczególnie rodzaj współczesnych reżimów autokratów,

których nazywali „spin dyktatorami”. W „dyktaturze manipulacji” za pomocą propagandy i manipulacji przywódca udaje demokratę i sprawnego władcę, który jest szanowany na świecie, aby jak najdłużej zachować popularność i utrzymać władzę, nawet jeśli nie stosuje żadnych procedur demokratycznych, a jego kompetencja to tylko mit propagandowy. Spin dyktatorzy nie zaskarżają ludzi ani nie stosują masowych represji wobec swoich przeciwników, jak to robią przywódcy autorytarni drugiego typu, bardziej charakterystycznego dla XX wieku, dyktatorzy strachu.

Do kryteriów spin dyktatury zalicza się istnienie przynajmniej jednej partii opozycyjnej, biorącej udział w wyborach, kilka środków masowego przekazu, krytykujących władzę, a także poniżej dziesięciu zabójstw politycznych i poniżej tysiąca więźniów politycznych rocznie.

Guriew i Treisman przypisywali Putina do tejże kategorii, lecz uprzedzili, że rosyjski prezydent coraz bardziej opiera się na sile i stopniowo upodabnia się do „dyktatora strachu”

Putin się zmienił?

– Ten rodzaj władzy autorytarnej, którą obecnie sprawuje Putin, bardzo różni się od tej, którą sprawował na początku, i nawet

od tej, którą sprawował stosunkowo niedawno. Widzimy, że Kreml próbuje zastraszyć wszelkich potencjalnych przeciwników. Władza jest gotowa prześladować każdego, kto choć w minimalnym stopniu wyraża swoje antywojenne stanowisko. W mediach państwowych mówią o konieczności stanowczych działań wojennych, ich ton wypowiedzi jest brutalny. To wszystko kontrastuje z obrazem współczesnego, mądrego i szanowanego na świecie władcy, który był tak ważny dla reżimu Putina podczas jego dwóch pierwszych kadencji, a zwłaszcza w czasie prezydentury Miedwiediewa.

Uważam, że obecny reżim rosyjski należy określać mianem dyktatury strachu, mimo że nadal próbuje manipulować ludźmi za pomocą propagandy.

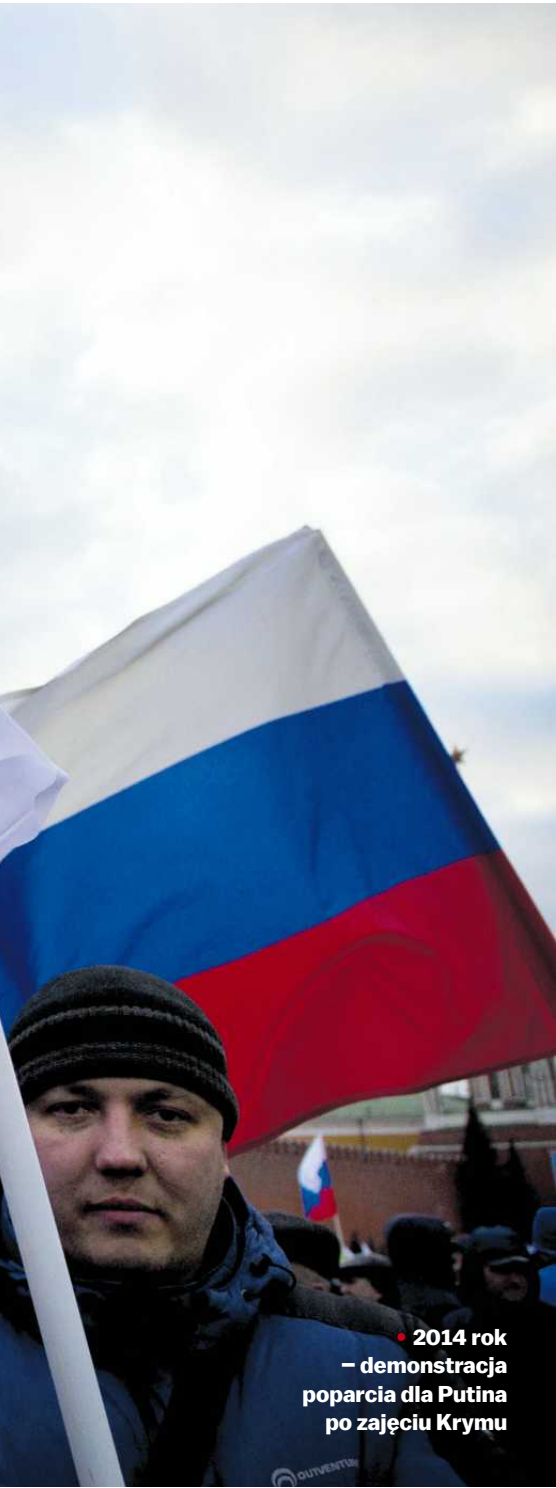
Właśnie chciałam pana zapytać o te próby manipulacji. Zdaje się, że Putin nie do końca przestał próbować udawać demokratę, jakkolwiek absurdalnie by to nie brzmiało. Na przykład w orędziu przed Zgromadzeniem Federalnym ogłosił, że wybory prezydenckie w 2024 roku odbędą się „zgodnie ze wszystkimi demokratycznymi procedurami konstytucyjnymi”. Po co mu to?

– Myślę, że próbuje dotrzeć do jak najszerzej publiczności w kraju. Zastrasza swoich przeciwników, dając im do zrozumienia, że nie mają żadnych szans objąć władzy. Jednocześnie stara się uspokoić tę część społeczeństwa, która wyznaje wartości demokratyczne i jest tym samym gotowa pogodzić się z obecnym reżimem wojskowym.

Poza tym w państwie rosyjskim istnieje swego rodzaju podział pracy. Jedni używają bardziej agresywnej retoryki – w stylu „Dmitrija Miedwiediewa 2.0”, a inni, ludzie formalnie niepracujący dla rządu, terroryzują przeciwników reżimu. Putin próbuje przemówić do szerokiej publiczności, a większość Rosjan, sądząc po sondażach, uważa, że przywódca państwa powinien zostać wybrany w uczciwych wyborach. Więc Putin chce przynajmniej formalnie pasować do wyobrażeń ludzi.

Ale ciężko jest wyobrazić sobie, że nawet zwolenników Putina można przekonać, że dzisiejsza Rosja jest państwem demokratycznym.

– Rzecz w tym, że ludzie sami chcą w to wierzyć. Ciężko jest pozbyć się złudzeń. Ciężko jest przyznać, że wokół dzieją się straszne rzeczy. Często trudno jest przyznać



To dla niego ogromny ból głowy, aby zorientować się, któremu siłownikowi może ufać

się do tego przed samym sobą, nawet jeśli gdzieś w podświadomości wiesz, że tak właśnie jest.

Myszę, że ludzka psychika ma skłonność do trzymania się złudnych wyobrażeń o rzeczywistości, jeśli jest dzięki nim spokojniejsza, a reżim to wykorzystuje. Tak więc propaganda skutecznie funkcjonuje głównie dlatego, że ma odbiorców, którzy chętnie akceptują jej uspokajające słowa, i ludzie sami układają sobie w głowach komunikaty propagandowe.

Wróćmy na chwilę do czasów, kiedy Putina można było jeszcze nazywać spin dyktatorem. Pamiętam, że kiedy czytałam badania i analizy pana i Siergieja Guriewa o informacyjnych autokracjach, to z kolei one działały na mnie uspokajająco. Wydawało się, że Putin dalej będzie imitował kompetentnego władcę demokratycznego. Może badacze i sama społeczność rosyjska nie doceniała potencjału dyktatorskiego Putina, który zawsze w sobie miał?

– Nie docenialiśmy głębokości, do której był skłonny zejść. Od 2000 roku przeszedł wiele zmian. Na początku swojej kadencji Putin wydawał się być szczerze nastawiony do po-

mysłu współpracy z Zachodem. Tak, dążył już przy tym do centralizacji władzy w kraju, ale do pewnego czasu wydawało się, że zezwalał na demokratyczne ograniczenia. Ale wpierrw stopniowo, a później coraz szybciej wycofywał się z tego.

Czy uważam, że musimy być czujni wobec innych spin dyktatorów? Tak, powinniśmy unikać samouspokajania, bo sytuacja w tego typu reżimach zawsze może się zmienić. Widzieliśmy, jak w niektórych krajach spin dyktatury przerodziły się w dyktatury strachu. Tak było na przykład w Wenezueli: kiedy Hugo Cháveza zastąpił Nicolás Maduro, bardziej brutalny reżim z bardziej silną władzą wojenną zastąpił bardziej złożony reżim populistyczny ze stosunkowo małą ilością jawnej przemocy.

Widzieliśmy też tego typu zmiany w Turcji za rządów Erdogana po nieudanej próbie wojskowego zamachu stanu. Aresztowano wtedy wielu ludzi, których władza uważała za politycznych przeciwników; do więzienia trafiły dziesiątki tysięcy ludzi. W tym samym czasie zaostrzyła się retoryka władzy. A teraz obserwujemy trwającą eskalację reżimu Putina w Rosji.

We wszystkich trzech przypadkach istnieje przyczyna przejścia spin dyktatury w dyktaturę strachu — przywódca przestaje być pewny, że władza w oparciu o kłamstwa i manipulacji działa tak samo, jak wcześniej. Myszę, że Putin w którymś momencie zdecydował, że wszystkie jego przemyślane plany, które realizował na początku swojej kadencji, już są nieskuteczne. Stracił wiarę w ludzi, którzy zajmowali się zarządzaniem politycznym, jak Gleb Pawłowski czy Władisław Surkow. Stracił wiarę w ekonomistów liberalnych, takich jak były minister rozwoju ekonomicznego i handlu, a obecnie prezes Sberbanku German Gref, czy były minister finansów, a obecnie doradca ds. rozwoju korporacyjnego firmy Yandex Aleksiej Kudrin. Zaczął więc polegać na służbach specjalnych, a tam wiedzą, jak zastraszać i kontrolować.

To duży kłopot dla dyktatorów. Wydaje im się, że spin dyktatura przestała być skuteczna albo że ludność cywilna stała się tak silna i zorganizowana, że państwo nie jest już w stanie nią zarządzać jak wcześniej. Ale i dyktatura strachu nie będzie wiecznie trwała! Represje mogą być bardzo skuteczne na krótką metę, ale tworzą się wtedy nowe trudności: sytuacja ekonomiczna się pogarsza, zwiększają się problemy wewnętrzne i w końcu dyktator znajduje się w tym samym punkcie, co przed zaostrzeniem reżimu.

Wróćmy do tego, jak Putin przekształcił się w dyktatora strachu. Czy decyzja o wojnie z Ukrainą jest skutkiem tej metamorfozy?

– Sądzę, że Putin po prostu wyparł ze swojego kółka wzajemnej adoracji wszystkich ludzi, którzy mogliby mu inaczej doradzić. Stworzył taki układ, w którym mówi mu się zniekształconą wersję rzeczywistości, która według mówców powinna mu się spodobać w danym momencie. Niestety, w ciągu ostatnich kilku lat u Putina dominują instynkty XIX-wiecznego imperialisty, nie słucha innych punktów widzenia niż swój własny, w systemie nikt mu się nie sprzeciwia. To właśnie doprowadziło do decyzji o rozpoczęciu wojny.

Nie uważam, że inwazja była częścią strategii rozwiązywania problemów wewnętrznych. Według mnie przekonał siebie samego, że wokół Rosji i jej wielkich ambicji znajduje się dziki świat, którego międzynarodowa społeczność rzuca tej Rosji wyzwania. I właśnie z powodu ogromnej frustracji związanej z miejscem Rosji w świecie i swojego osobistego położenia podjął taką decyzję.

Jest taki pogląd, że działania Putina w ostatnich kilku latach przed wojną były częścią przygotowań do niej: otrucie i aresztowanie Nawalnego, nazwanie Fundacji Walki z Korupcją (FBK) ekstremistami, wzrastające represje wobec

dziennikarzy i aktywistów, itd. Co pan o tym sądzi?

– Myszę, że zarówno represje wobec Nawalnego, jak i przejęcie pełnej kontroli nad mediami są skutkiem tego, że Putin zaczął bardziej polegać na służbach specjalnych w polityce wewnętrznej. I najprawdopodobniej to wszystko by nadal trwało, gdyby nie inwazja na Ukrainę.

Ogólnie, szczerze mówiąc, wyglądało to tak, że Putin do ostatnich dni nie podjął ostatecznej decyzji. Sądzę, że wielu ludzi wiedziało, co się stanie, lecz wojna wzięła rząd z zaskoczenia. Wydaje mi się, że Putin przewidywał kilka możliwości rozwoju sytuacji, ale koniec końców wybrał najbardziej ekstremalną opcję.

Porozmawiajmy o rosyjskim społeczeństwie. Napisał pan, że Putin rozczarował się spin dyktaturą, ponieważ społeczeństwo Rosji szybko się zmodernizowało, przez co wystraszył się, że straci nad nim kontrolę. Ale wielu uważa, że po rozpoczęciu wojny społeczeństwo rosyjskie w ogóle nie wygląda na zmodernizowane — mówią, że jest przesycone imperia-

lizmem i szowinizmem oraz łatwo ulega propagandzie. Nie przecenił pan postawy Rosjan? Może Putin też je przecenił?

– To trudne pytanie. Mamy dane statystyczne, które pokazują społeczną modernizację w Rosji i nie da się od nich uciec: więcej ludzi zaczęło korzystać z internetu, bardzo rozrosła się rosyjska część YouTube’a, widzieliśmy, jak w opinii publicznej coraz bardziej rozpowszechniała się myśl liberalna.

Ale, jak zwykle, nie jest to tak jednoznaczne. W obrazie społecznym było wiele niuansów i dlatego myszę, że nie docenialiśmy, jak silną reakcję patriotyczną i lojalistyczną mogą wywołać takie ekstremalne i rażąco agresywne działania władzy.

Wymiar nacjonalistycznego resentymetu okazał się o wiele większy niż wydawało się większości z nas, łącznie ze mną, kilka lat temu.

Z drugiej strony, wciąż jestem trochę agnostykiem w stosunku do tego, co się dzieje w rosyjskim społeczeństwie. Widzę przeczące sobie nawzajem tendencje i jak dotąd nie wiemy, jak głębokie i długofalowe one są. Po Krymie byliśmy świadkami niesamowitej euforii, która trwała prawie cztery lata i zakończyła się fiaskiem. Jeśli spojrzymy na badania Centrum Analitycznego Jurija Lewady na temat stosunku Rosjan do USA, to zauważymy, że negatywny stosunek do Ameryki wzrósł od razu po aneksji Krymu, ale potem w stałym tempie zmniejszał się do rozpoczęcia wojny. O ile mnie pamięć nie myli, to odsetek ludzi, który pozytywnie postrzega USA, wzrósł do poziomu sprzed aneksji.

Tak więc nie wiadomo, jak długo będzie trwał ten nacjonalistyczny boom. Nie wiadomo, jak głęboko te uczucia przeniknęły do społeczeństwa, ponieważ w obecnym klimacie strachu w ludziach jest dużo konformizmu i powierzchownej lojalności, a wielu jest po prostu dezorientowanych. I myszę, że w rosyjskiej duszy trwa teraz konflikt między dążeniem do wierności wobec ojczyzny i bycia jednością z narodem a przerażeniem na myśl o tym, dokąd Rosja zmierza.

Wspomniał pan w książce, że jedną z przyczyn przemiany spin dyktatury w dyktaturę strachu może być to, że światła warstwa społeczeństwa jest zbyt słaba, aby przeciwstawić się państwu. Czy w Rosji też to obowiązuje?

– Przede wszystkim opozycja w Rosji musiała stawić czoła niezwykle silnej, doświadczonej i zorganizowanej machinie represyjnej. To wcale nie była walka przeciwko słabemu, rozpadającemu się państwu. Owszem, w opozycji były i są wewnętrzne konflikty, które jej nie wzmacniają. Niemniej jednak, od 2017 roku niezadowolone z Putina gwałtownie rozprzestrzeniło się w całym kraju, wychodząc daleko poza granice Moskwy i Sankt Petersburga. Wiece poparcia dla Nawalnego odbywały się w całej Ro-

sji i przyciągnęły nowe pokolenie młodych. Ruch opozycyjny formował się i rozwijał, ale nie był gotowy usunąć państwa Federalnej Służby Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej (FSB).

Miałam na myśli nie tyle aktywistów opozycji, a opozycję w szerszym znaczeniu, która była wystarczająco współczesna i poinformowana, ale wołała być „z dala od polityki”.

– Poczucie, że państwo rosyjskie zachowuje się nieadekwatnie, istniało już w społeczeństwie i rozprzestrzeniło się dalej. Czy to oznacza, że ludzie powinni byli bardziej angażować się w politykę? Mogli na to inaczej patrzeć – na przykład mogli być niezadowoleni z tego, jak działają władze lokalne, jakie mają drogi i szpitale oraz jaka otacza ich korupcja. I właśnie od tego może zacząć się skuteczna opozycja wobec autorytaryzmu.

Nie sądzę, by ktokolwiek poważnie spodziewał się, że w Rosji dojdzie do rewolucji, że zwolennicy Nawalnego i inne siły antyputinowskie zbuntują się i wnet zajmą Kreml. Zaobserwowaliśmy raczej stopniowe (a miejscami i gwałtowne) zmiany w społeczeństwie, w oczekiwaniach ludzi, a nawet w ich gotowości do protestowania, i to wszystko wskazywało na to, że w pewnej perspektywie można było spodziewać się zmian na poziomie politycznym. Ale te wszystkie zmiany można było odwrócić za pomocą jakiegoś gigantycznego, destabilizującego ruchu — takiego jak agresywny napad na inny kraj.

W artykule dla Re:Russia z zeszłego roku wspomniał pan, że Putin najprawdopodobniej będzie zaostrzać represje, ale przez to stanie się bardziej zależny od siłowników i ciężko mu będzie utrzymać ich pod kontrolą. Czy to widzieliśmy przy buncie Prigożyna i reakcji na niego ze strony armii i służb specjalnych?

– Tak, wielu komentatorów podkreśliło, że jeśli Putin w przeszłości był człowiekiem, który rozwiązywał takie konflikty politycznych elit, to w tym przypadku poniósł porażkę — nic z tym nie zrobił. Wielokrotnie go ostrzegano, że Prigożyn staje się problemem; w ostatnich dniach przed buntem pojawiły się oznaki tego, dokąd to wszystko zmierza, ale Putin nie był w stanie temu zapobiec. Okazało się, że jest niezdolny do obrony przed jawnym buntem, który był największym zagrożeniem dla jego reżimu od 23 lat! Tak więc, sądząc po wszystkim, jest słabszy niż myśleliśmy, a ta sytuacja jeszcze bardziej go osłabiła.

To nie znaczy, że ktoś wewnątrz systemu państwowego jutro go usunie, ale teraz widzimy, że Putin próbuje polegać na tych siłownikach, którzy, jego zdaniem, są jeszcze lojalni wobec niego, aby w jakiś sposób zarządzać resztą siłowników, których lojalności nie może być pewien lub już ich uważa za nielojalnych. Więc to dla niego ogromny ból głowy, aby zorientować się, któremu siłownikowi może ufać: dowódcy rosyjskiej Gwardii Narodowej Wiktorowi Zołotowowi, dyrektorowi FSB Aleksandrowi Bortnikowowi, czy jeszcze komuś innemu.

Nie można zrozumieć, dlaczego Prigożynowi pozwolono pójść marszem na Moskwę i pojawiać się to w jednym mieście, to w innym. I ta wspomniała wypowiedź Dmitrija Pieskowa (parafrazując): nie mamy ani możliwości, ani chęci, żeby śledzić ruchy Prigożyna. Co może być dalsze od prawdy niż to?! Przecież to oczywiste, że mają możliwość to zrobić, a tym bardziej chęci! To znaczy, że coś się stało, jakaś poważnie destabilizująca sytuacja.

W każdym razie, pisałem o tym w artykule o buncie, w przyszłości bardziej prawdopodobna jest erozja władzy Kremla niż zamach stanu. To będzie stopniowy upadek władzy, w wyniku którego rządzący nie będą w stanie szybko podejmować decyzji w kryzysowej sytuacji.

To było bardzo widoczne w przypadku incydentu z Prigożynem. Skoro Putin nie był w stanie ani powstrzymać go, ani nic z tym zrobić, to prawdopodobnie zna-

czy, że to zbyt dużo dla jednego człowieka na Kremlu — prowadzenie wojny, martwienie się o lojalność różnych służb specjalnych oraz monitorowanie opinii publicznej i wszystkich problemów w jedenastu strefach czasowych. Możliwe, że ten upadek już się zaczął.

To znaczy, że możemy zobaczyć coś w stylu „cichego” zamachu stanu – w takim scenariuszu siłowiki nie będą jawnie odsuwać Putina od władzy, ale czy mogą de facto przejąć wszelkie kluczowe uprawnienia?

– Właśnie tak. Jeśli Putin da możliwość podejmowania ważnych decyzji innym podmiotom. Możliwy jest też taki scenariusz, w którym Putin będzie wołał sam zrezygnować ze stanowiska lub usunąć się na bok, ograniczając tym samym swoją władzę i przekazując jej część innym podmiotom, być może nawet wzmacniając ich pozycję w państwie, a osłabiając własną. Jest to możliwe, ale do tego potrzebna jest dalsza erozja reżimu, co spowoduje, że Putin w którymś momencie sam zdecyduje, że jego dalsze losy będą bezpieczniejsze, jeśli ustąpi. Oczywiście, w większości przypadków bezpieczniejsze jest pozostać przy władzy, ale jeśli Putin zrozumie, że już nie może skutecznie rządzić i lepiej będzie wysunąć jakiegoś innego przywódcę na pierwszy plan, aby ugrać trochę więcej czasu dla swojego reżimu, to jak najbardziej mogą wyobrazić sobie taki scenariusz.

A czy mógłby pan przedstawić scenariusz, w którym Putin w którymś momencie zrozumie, że nie warto dalej zaostrzać represji, a tym bardziej, że społeczeństwu trzeba jakoś wytłumaczyć te porażki militarne i problemy gospodarcze, i wróci do manipulacji w spin dyktaturze?

– Oczywiście, Putin będzie próbował używać nie tylko strachu, ale i manipulacji. Możemy nawet wyobrazić sobie, jak wrabia innych: „Wszystkiemu jest winny Zachód, Rosja nie miała wyboru, ponieważ gdyby nie najechała na Ukrainę, to Rosję zaatakowałyby NATO, stąd też nasze wszystkie kroki – były odpowiedzią na agresję z zewnątrz. A gospodarka rosyjska jest w takim okropnym stanie, ponieważ Zachód zmówił się, aby nałożyć na nią sankcje”, itd.

To historia o robieniu z siebie ofiary, co w pewnym stopniu odzwierciedla uczucia Rosjan, że ich kraj był w historii ofiarą i ich

W rosyjskiej duszy trwa teraz konflikt między dążeniem do wierności wobec ojczyzny i bycia jednością z narodem a przerażeniem na myśl o tym, dokąd Rosja zmierza

frustrację, że Rosja przez ostatnie dekady straciła swoją potęgę. To jest coś, co Putin prawdopodobnie wykorzysta. Myślę jednak, że nie będzie on w stanie powrócić do klasycznej strategii spin dyktatora, czyli udawania kompetentnego demokraty, uznawanego przez społeczność międzynarodową i dobrze wykonującego swoją pracę.

Pomyślałam o takim scenariuszu, patrząc na to, co dzieje się z Erdoganem. Wydaje się, że złagodził swój styl rządzenia: już nie ma takich dużych represji, a ostatnie wybory odbyły się bez masowego fałszowania, tak jakby jego retoryka również złagodniała. Co pan sądzi o jego transformacji?

– Ciężko powiedzieć. Myślę, że jak dotąd nastąpiło niewiele zmian i nie jest jasne, czy rzeczywiście zmienił swoją strategię w polityce wewnętrznej. Na przykład nie widzimy masowego uwalniania więźniów politycznych. Widzimy jednak, że Erdogan wykazuje nieco większą gotowość do negocjacji z Zachodem i poszukiwania rozwiązań korzystnych dla obu stron. Jest świetnym negocjatorem. Stara się uzyskać wszystko, co może, od Zachodu, Rosji i kogokolwiek innego, jeśli jest coś do zdobycia. Widzieliśmy to podczas negocjacji w sprawie przystąpienia Szwecji do NATO. Naciskał, naciskał i naciskał, a potem pokazał, że jest gotowy wycofać się trochę i poruszyć zupełnie inne kwestie. W ten sposób próbował zmienić kierunek negocjacji i zaskoczyć wszystkich ponownym poruszeniem kwestii dotyczą-

cych członkostwa Turcji w UE. Była to swego rodzaju gałązka oliwna dla Zachodu. To właśnie robią dyktatorzy, gdy tylko zaczynają mieć problemy – starają się poprawić stosunki z krajami zachodnimi. Fakt, że Erdogan ponownie poruszył kwestię członkostwa w UE, jest częścią tej strategii.

W książce pisze pan o tym, jak Zachód powinien radzić sobie ze spin dyktaturą. Że w perspektywie średnioterminowej jedyną opcją jest zintegrowanie ich ze społecznością światową, ale na specjalnych warunkach, co nazywa pan „wrogim zaangażowaniem”. Pewnie nie ma to już zastosowania do Rosji?

– Tak, oczywiście, nie dotyczy to przypadku otwartej agresji militarnej, ponieważ odpowiedzią na nią powinno być przede wszystkim odstraszenie militarne i wzmocnienie obrony. Poza tym Rosja, jak już mówiłem, jest obecnie dyktaturą strachu, a książka jest o tym, jak radzić sobie ze spin dyktaturą. Ale oczywiście musimy pamiętać, że każda spin dyktatura może się przekształcić i powinniśmy zwracać większą uwagę na bezpieczeństwo, skupiając się na przyszłości.

Wierzę jednak, że „wrogie zaangażowanie” jest najlepszym sposobem radzenia sobie ze spin dyktatorami, póki nimi są. Tacy przywódcy zawsze starają się wykorzystać korupcję zachodnich krajów i swoje powiązania gospodarcze z nimi dla własnych korzyści, a Zachód powinien bardziej aktywnie się przed tym bronić. Uważam, że USA i UE powinny zrobić znacznie więcej, aby

zamknąć kanały, przez które przepływają brudne pieniądze, a także ograniczyć sposoby, w jakie spin dyktatorzy czy dyktatorzy strachu wpływają na swoje społeczeństwa.

Należy uporać się z lobbystami, którzy działają w interesie dyktatorów. Dyktatorom powinno być trudniej ukrywać pieniądze na Zachodzie. Ponadto musimy bardzo uważać na to, w jaki sposób obce reżimy próbują wpływać na naszą politykę wewnętrzną. Nie musimy popadać w manię prześladowczą, ale musimy włożyć znacznie więcej energii w monitorowanie tego wszystkiego.

Oczywiście, gdy kraj taki jak Rosja prowadzi wojnę, społeczność międzynarodowa musi coś zrobić, aby temu przeciwdziałać. Ale kiedy wojna się skończy, nie powinniśmy raczej oczekiwać, że sankcje zostaną od razu zniesione, a izolacja Rosji dobiegnie końca. Tymczasem pan i Siergiej Guriew piszecie, że aby autokracje stały się mniej brutalne i pewnego dnia zostały zastąpione przez demokracje, konieczny jest przede wszystkim rozwój gospodarczy i społeczny, a to jest niemożliwe w izolacji. Co pan sądzi o nacisku sankcji i ogólnej izolacji Zachodu od Rosji?

– Uważam, że konieczne było i nadal jest, wywarcie jak największej presji na Rosję (z wyjątkiem bezpośredniej interwencji wojskowej NATO), aby Ukraina mogła się bronić, a Putin nie wyszedł z tej wojny zwycięsko i nie umocnił swojej władzy.

Nadzieja Rosji leży w porządku politycznym, który może zostać ustanowiony po Putinie. Jeśli obecny reżim w Rosji zmieni się i stanie się mniej niebezpieczny dla świata zewnętrznego, Zachód powinien być skłonny do ponownej integracji Rosji i zapewnienia, że bardziej nowoczesna, mniej agresywna i bardziej otwarta Rosja będzie mogła prosperować i rozwijać się jako część globalnej gospodarki i społeczności międzynarodowej.

Jest to niemożliwe w obecnym reżimie Władimira Putina. Jest to także mało prawdopodobne, jeśli reżim Putina zostanie zastąpiony przez bardzo podobny reżim, ale z innym przywódcą. Obecnie głównym zadaniem krajów zachodnich jest pomoc Ukrainie w obronie, ochrona samych siebie przed tymi zagrożeniami, które stwarza Rosja. I gotowość do wspierania rozwoju politycznego i gospodarczego kraju, gdy tylko nadarzy się okazja. ●

Lustrzane odbicie Jana Pawła II

Osoba w której moi znajomi katolicy pokładali wszystkie nadzieje, zachowuje się jak putinowski agent

CZYLI

Liczyłam, że dni poprzedzające zmiany na kluczowych stanowiskach w episkopacie będą ciche i pozwolą mi w spokoju zastanowić się nad wariantami przyszłości Kościoła w Polsce. Planowałam wykonać kilka rozmów z wiedzącymi więcej ode mnie, aby wspólnie wyciągnąć jakieś wnioski – weselne albo żałobne.

Przeliczyłam się. Albo inaczej, nie doszacowałam potencjału politologiczno-filozoficznego papieża Franciszka. Głowa Kościoła postanowiła odwrócić uwagę Polaków od zmian personalnych w ich Kościele i ogłosiła światu, że Ukraińcy powinni wywieść białą flagę.

Serce mi pękło. Pomyślałam o wszystkich znajomych, głęboko zaangażowanych w życie ich Kościoła, i pomyślałam, jak oni muszą się teraz czuć? Tak, jak ja bym się czuła, gdyby Donald Tusk nagle zaczął mówić językiem Putina.

Osoba, w której pokładali, może i nadal pokładają wszystkie nadzieje związane z ich wspólnotą religijną, z ich duchowym domem, duchową ojczyzną, wygłasza opinie i zachowuje się jak putinowski agent.

Wyobraźmy sobie, że po wyborach 15 października, kiedy wszyscy cieszymy się, że w ojczyźnie zajdą zmiany, na które czekaliśmy od tylu lat, nagle od naszego lidera słyszymy, że Ukraińcy powinni wywieść białą flagę.

Niedowierzanie, wstyd, zażenowanie – albo znacznie więcej: utrata nadziei i poczucie bezsensu. Tym to wszystko dla myślących i czujących katolików musi być trudniejsze, że Franciszek, przy wszystkich swoich skandalicznych, żeby nie powiedzieć ohydnych, opiniach wygłaszanych na temat tej straszliwej wojny, wykonał i wykonuje świetną robotę, jeśli chodzi o reformę Kościoła.

W tym sensie jest jak lustrzane odbicie Jana Pawła II, który świetnie wy-

czuwał politykę międzynarodową i stał się jedną z twarzy przemian politycznych w Europie i na świecie. Przede wszystkim jedną z twarzy upadku komunizmu, a jednocześnie zahamował soborowe reformy w Kościele i skutecznie zabetonował kurie rzymską. To przyniosło efekt w postaci skandalu finansowych i pedofilskich, które za jego pontyfikatu były zamiatane pod dywan. Franciszek wydaje się z tą patologią walczyć i odnotowuje sukcesy.

Dlatego wyobrażam sobie konfuzję zaangażowanych katolików i mogę tylko głęboko współczuć.

Tusk, zapytany o ocenę słów Franciszka odpowiedział: „Kiedy słyszymy

■
„Chciałoby się zatkać uszy”. To bardzo mocne słowa, jak na Tuska. Jednak dla mnie ciągle nazbyt dyplomatyczne

papieża mówiącego o Ukrainie i Rosji, to chciałoby się zatkać uszy”. To bardzo mocne słowa, jak na naszego premiera. Jednak dla mnie ciągle nazbyt dyplomatyczne. Rozumiem, że sprawując urząd premiera, nie może powiedzieć w zasadzie już nic więcej.

Publicystyka ma tu przewagę nad polityką. Dla mnie te słowa papieża dyskwalifikują go jako jednego z liderów wolnego świata. Dopóki nie przeprosi Ukraińców, powinien być traktowany jak persona non grata w każdym z krajów, które pomagają im wygrać z agresją Putina. Przecież jest tylko jednym z przywódców wielu wspólnot religijnych na świecie! Nad jego głową nie unosi się żadna aureola! Jeśli popełnia tego rodzaju błędy i realnie krzywdzi swoimi opiniami ludzi mordowanych z zimną krwią, to powinien ponieść konsekwencje w postaci międzynarodowego ostracyzmu w demokratycznym świecie – tak samo, jak inni putinowscy liderzy. ● **Magdalena Czyż**

Wolę panią Dulską

51 procent kanibali przegłosowało, że można zjeść pozostałe 49 procent. I co teraz?



Marcin Matczak

Są dwa rodzaje hipokryzji. Pierwsza – tradycyjna, w stylu pani Dulskiej. Ta nie obnosi się ze swoją dwulicowością, po prostu robi dobrą minę do złej gry. Czasem nawet budzi współczucie – jako dramatyczna próba ratowania pozorów, żeby świat się nie zawałił i żeby nawet, gdy sprawy idą w bardzo złą stronę, wydawało się, że nie jest tak źle.

Drugi rodzaj to hipokryzja posłów Suwerennej Polski w sprawie praworządności. Ta, która wrzeszczy publicznie, że wprawdzie, być może, przypuszczalnie za ich rządów zdarzały się jakieś niedociągnięcia (komu się one nie zdarzają, proszę ja ciebie), ale teraz, za Tuska, to jest już dramat. Wtedy były potknięcia na drodze do powszechnej szczęśliwości, dzisiaj praworządność się po prostu zarzyna.

Według nich głównym zarzynającym jest oczywiście Bodnar. Cóż, dentysta, który leczy, czasami wygląda jak rzeźnik, obryzgały krwią i manipulujący w naszych ustach ostrymi narzędziami. Te pozory panowie wykorzystują i oczerniają Bodnara, wybielając siebie. „Patrzcie – mówią – jego trzeba zamykać i sądzić, nie nas”. Ta hipokryzja nie zna wstydu, a im jest gorsza, tym wrzeszczy bardziej. Ma nadzieję, że pamięć ludzka jest krótka i że nowe fakty, właściwie zmanipulowane, przysłonią stare.

I jest w tej niemoralnej nadziei trochę racji. Jak pisze Jacques Ellul, „Współczesny człowiek nie myśli o bieżących problemach, on je odczuwa. Reaguje, ale ani ich nie rozumie, ani nie bierze za nie odpowiedzialności. Jedna myśl wypiera inną; nowe fakty gonią stare. Propaganda nie daje czasu na myślenie ani na refleksję”.

Nie dajmy się temu trendowi. Niech stara, dobra refleksja pozwoli nam się przed propagandą obronić. Weźmy ulubione tematy Suwerennej Polski – kiedyś Trybunał Konstytucyjny, dzisiaj prokuratora Barskiego.

W sprawie TK dzisiejsi hipokryci zastosowali w 2015 roku coś, co można nazwać szachową koncepcją ważności działań prawnych. W tej koncepcji czynności w prawie są jak ruchy w szachach. Jeśli w siódmym ruchu przesuniesz wieżę po szachownicy na skos, taki ruch jest nieważny i nie ma sensu wykonywać ruchu ósmego, tylko trzeba poprawić ten wadliwy, aby gra mogła toczyć się dalej.

Zbigniew Ziobro w 2015 mówił w TVN: „nasi eksperci w czasie prac nad tą ustawą [o TK] odkryli, że [posłowie] (...) nieprawidłowo ją zastosowali w praktyce, czyli nie zgłosili tych kandydatów na sędziów w ten sposób jak mówi ta ustawa, czyli przez Prezydium Sejmu oraz 50 posłów, a zgłosiło tylko Prezydium Sejmu. W związku z tym cały proces dalszego procedowania nad wyborem tych pięciu sędziów poprzedniej kadencji nie mógł być skuteczny, bo nieprawidłowo zostali zgłoszeni”.

Sejm VII kadencji, zdaniem Ziobry, popełnił więc błąd proceduralny. Dlatego Sejm

kadencji VIII uznał ruch w postaci powołania tych sędziów za niebyły i go poprawił, powołując do TK nowych. Wyborcy Kaczyńskiego zakrzyknęli wtedy „brawo!”.

Osiem lat później eksperci Bodnara uznali, że w sprawie Barskiego Ziobro „nieprawidłowo zastosował ustawę w praktyce” i że dlatego powrót Barskiego ze stanu spoczynku „nie mógł być skuteczny”. Na tej podstawie Bodnar uznał za niebyły ruch swojego poprzednika i poprawił go, powołując Bilewicza.

W tej bliźniaczej sytuacji elektorat PiS krzyczy: „zamach stanu!”, a prawicowi redaktorzy lamentują o stanie wyjątkowym. Ta sama metoda szachowa, proszę Państwa! Z jedną różnicą: PiS unieważnił wybór sędziów TK, którzy zgodnie z Konstytucją są nieusuwalni. Bodnar unieważnił powołanie Prokuratora Krajowego, a niezależności prokuratury Konstytucja nie chroni. Nie ma tam, jak w przypadku TK, specjalnego rozdziału jej poświęconego. Jeśli więc coś było zamachem stanu, to działanie PiS.

Ktoś powie, że to, co robiono kiedyś, nie ma znaczenia – Bodnar ma przestrzegać liter prawa i koniec. Ale dlaczego ma zgadzać się na trwanie bezprawia? Zamach na TK nie był zwykłym nadużyciem – był ustrojową zbrodnią. Trzeba pamiętać, że demokracja ma w sobie zaszytą wadę: system głosowania większościowego pozwala na to, aby w społeczności kanibali 51 procent przegłosowało zjedzenie pozostałych 49 procent. I historycznie takie ataki większości na mniejszość miał miejsce wielokrotnie. Dlatego właśnie powołaliśmy sądy konstytucyjne, aby chroniły mniejszość przed hegemonią większości i nie pozwalały naruszać ustawami ich praw.

Skok na TK spowodował, że w ostatnich ośmiu latach większość mogła wszystko. Ten sąd nie działa – w 2022 r. reagował głównie na wnioski większości rządzącej i wydał tylko 14 orzeczeń, pięć razy mniej niż TK Rzeplińskiego. Impotencja Trybunału powoduje, że system prawny zawiera całą masę niekonstytucyjnych liter prawa, których stosowania żąda beczelnie PiS. To prawo pozwala im nadal politycznie kontrolować prokuraturę. Przecież to jest kpina z Polski, że Ziobro może powołać na Prokuratora Krajowego świadka swojego ślubu. To nepotyzm, który budzi poważne podejrzenia, że ludzie władzy, którzy dopuścili się prawdopodobnie poważnych przestępstw, nadal mogą liczyć na parasol ochronny. Takiej Polski chcemy?

Czas na równość. Skoro jedna strona mogła interpretować prawo, może też druga. Każdą interpretację władzy oceniam ostatecznie sądy. Tak było w przypadku wyboru sędziów w 2015, tak będzie w sprawie Barskiego. Gdy jednak sądy za PiS oceniały coś niezgodnie z linią władzy, ta ściagała ich hejtem i postępowaniami dyscyplinarnymi. Obecna nie ściga, a wyroki szanuje. Tamta władza uciekała od odpowiedzialności, na przykład odmawiając przystąpienia do Prokuratury Europejskiej, żeby jej przekręty nie wyszły na jaw. Ta do niej przystępuje i sama będzie przez nią kontrolowana.

Jeśli więc macie wątpliwości, kto działa praworządnie, pomyślcie o podstawowej funkcji praworządności: ma ograniczać arbitralność władzy. Kto to lepiej zrobi? Druh z wesela Ziobry czy niezależny prokurator? Ktoś, kto poddaje się audytowi zewnętrznemu Prokuratury Europejskiej, czy ten, kto ucieka od odpowiedzialności i mydli ludziom oczy przemocowym cytatem z Dulskiej o brudach, które pierze się we własnym domu? Odpowiedź nawet dla nieprawników jest, moim zdaniem, jasna. ●

Afisz

Dobrze i źle urodzeni Polacy. Prezydent Andrzej Duda popiera tę segregację



Michał Rusinek

Przemówienie Andrzeja Dudy wygłoszone dwa tygodnie temu w Mławie mogło ująć naszej uwadze, a nie powinno było, gdyż zawierało ciekawe uwagi dotyczące genetyki.

Pan prezydent z iście prezydencką swadą używał w nim czasowników w pierwszej osobie liczby mnogiej – „potrzebujemy”, „widzimy”, „zapraszamy”, „stwarzamy” oraz „chcemy” – a ponieważ trudno nam go posadzić o posługiwanie się formą *pluralis maiestatis* na serio (tym bardziej *pluralis modestiae*), więc raczej forma ta miała za zadanie nas wszystkich skłonić do tego, byśmy potrzebowali, widzieli, oraz chcieli tego samego, czego chce pan prezydent. Warto zapytać, czego chcemy. Otóż „żeby Polska była uczciwie reprezentowana i uczciwie rządzona”. Zgodzi! Tu jednak *pluralis* nagle ustępuje miejsca *singularisowi*: „Ja wiem” – mówi pan prezydent – „mamy trudną historię, różne są rodziny, niektórzy popełnili czasem różne błędy – czasem z przekonania, czasem ze strachu, czasem z oportunizmu, czasem z konformizmu – szli na współpracę z komunistami, z tymi sowieckimi pacholkami, którzy tutaj przyszliznęli się Armii Czerwonej i zawłaszczyli nasz kraj”. „Nas”, czyli narodową wspólnotę o trudnej historii, jednym ruchem, po przecinku, sprowadza pan prezydent do sumy rodzin, których „niektórzy” członkowie „czasem” popełniali błędy. Nie ma obywateli: jest naród, a pod nim od razu rodzina.

Powiało grozą. Już sądziliśmy, że pan prezydent będzie piętnował, wykluczał i wyklinał. On jednak uśmiechnął się dobrotnie i rzekł: „Nie mam nic przeciwko temu, by tworzyli, współtworzyli dobrobyt naszej ojczyzny, żebyśmy żyli tutaj wszyscy razem i wszyscy razem dla Polski pracowali”. Czemu wprowadził wcześniej taki groźnie brzmiący ton? Bo wiedział, że łaskawość będzie wyrazistsza, jeśli pojawi się na tle groźby. W łaskawości tej pobrzmiewał kontekst polityki „grubej kreski” Tadeusza Mazowieckiego i „wspólnego domu” Ernesta Brylla, o który wspólnie trzeba dbać, nie bacząc na zaskość. Kontekst dość zaskakujący dla polityka wywodzącego się z partii ochoczo wzywającej do rozliczeń. Chyba nawet samego pana prezydenta kontekst ten zaskoczył, bo zaraz użył drugiego „ale” i logika jego wywodu wróciła na właściwe polityczne tory: „Ale nie jestem zwolennikiem tego, by reprezentowali Polskę.”

„Jeżeli ktoś w rodzinie ma historię oprawców” – rozpoczął kolejne zdanie pan prezydent i zwróćmy uwagę, że rozpoczął łagodnie, bo co innego znaczy „mieć w rodzinie oprawców”, a co innego, „mieć w rodzinie historię oprawców”. Prezydent nie namawia nas, żebyśmy wskazali swoich konkretnych przodków, którzy dopuszczali się niegodnych czynów, żeby nie budzić w nas zанаdто rodzinnych traum, więc opakuje ich eufemistycznie w „historię”. Ale dla podniesienia znów nastroju grozy mówi, o jakich przodkach chodzi: „którzy pa-

stwili się nad Polakami patriotami, którzy uczestniczyli w obławach na Polaków, którzy uczestniczyli w mordowaniu przez NKWD, którzy chcieli nam tutaj zbudować komunistyczny ustrój pod patronatem Sowietów”. Kiedy już jesteśmy pewni, że zostaniemy – w najlepszym razie – wygnani ze wspólnoty za grzechy przodków, znów nasz władca okazuje łaskawość mówiąc: „to niech sobie spokojnie pracuje”. Ulga. Tylko na chwilę, bo oto mamy trzecie już „ale” i trzeci zwrot akcji: „ale nie pcha się na afisz, bo nie ma na tym afiszu dla niego miejsca w wolnej Polsce. ”. Tako rzeczce pan prezydent.

Określenie „pchać się na afisz” może mieć dwa znaczenia. Po pierwsze – dosłowne. Mamy niedługo wybory samorządowe i Polska już jest coraz szczerlniej zaklejona plakatami kandydatów na radnych. Wśród nich, zdaniem pana prezydenta, nie powinno być ludzi, których przodkowie dopuścili się kolaboracji z Sowietami. Po drugie, „być na afiszu” to być na widoku, reprezentować wspólnotę jako osoba publiczna. I to znaczenie wydaje się bardziej adekwatne w kontekście wcześniejszego zdania pana prezydenta, że nie jest zwolennikiem, by tacy ludzie „reprezentowali polskie interesy”. Chodzi z grubsza rzecz biorąc o to, że jeśli miałeś w rodzinie grzesznika – to siedź cicho i nie pchaj się do polityki.

Gdyby ktoś chciał naiwnie zapytać dlaczego, niech sobie przypomni wywiad Jarosława Kaczyńskiego z 2015 roku, w którym powiedział: „W Polsce jest taka fatalna tradycja zdrady narodowej [...]. To jest jakby w genach niektórych ludzi, tego najgorszego sortu Polaków. Ten najgorszy sort właśnie w tej chwili jest niesłychanie aktywny, bo czuje się zagrożony, bo proszę zwrócić uwagę, że wojna, komunizm, później transformacja przeprowadzona tak, jak ją przeprowadzono, właśnie ten typ ludzi promowała, dawała mu wielkie szanse”. Używając określenia „gen”, Kaczyński sugerował swoje pojmowanie determinizmu: jeśli ktoś miał wśród przodków komunistę, to – nawet jeśli nie zna mrocznej historii swojej rodziny – jego kod genetyczny zawiera szczególnego rodzaju usterkę. Mamy więc segregację na dobre i źle urodzonych – i podział ten podtrzymuje po dziewięciu latach pan prezydent.

Andrzej Saramonowicz komentując na Facebooku przemówienie Andrzeja Dudy zauważył podobieństwa do rodzącego się w Niemczech antysemityzmu: „Tak zwana ustawa o odrodzeniu stanu urzędniczego z dnia 7 kwietnia 1933 r. zawierała pierwszy z szeregu słynnych paragrafów aryjskich – na podstawie tej ustawy pozbawiono prawa sprawowania urzędów osoby mające choćby jednego tylko żydowskiego dziadka. Tak zaczęło się prawodawstwo, najpierw ogólnoniemieckie, a potem wydawane na ziemiach włączonych do III Rzeszy i okupowanych, które pozwoliło w pierwszej kolejności na selekcję, natomiast później na wydanie na śmierć milionów Żydów”. Dodałbym jeszcze jedno skojarzenie. Wśród członków mafii, zorganizowanej przeciw właśnie wokół rodzin, istnieje zwyczaj stosowania odpowiedzialności zbiorowej, hańby przodka nie da się zmyć inaczej niż własną krwią.

Oczywiście pan prezydent nie nawołuje do krwawych wendet, a tylko sugeruje wprowadzić głęboką, bo genetyczną, ale w gruncie rzeczy niewinną lustrację rządzących. Do którego pokolenia wstecz? Według jakich kryteriów? I kto się nią zajmie? Nieistotne. Przecież nas, którzy nie pchamy się na afisz, ona w ogóle nie dotyczy. Przynajmniej na razie. ●

Ekspert ministra Bodnara o neosędziach i Trybunale Konstytucyjnym

DOSTALIŚMY BROŃ
ATOMOWĄ

RYŚ: HANNA PYRZYŃSKA

Z PROF. **MACIEJEM TABOROWSKIM***
ROZMAWIA WALDEMAR PAŚ

PROF. MACIEJ TABOROWSKI: – Nie wiem, czy pan wie, że rozmawia pan z osobą, która może być podejrzana o uczestnictwo w zorganizowanej grupie przestępczej.

WALDEMAR PAŚ: Jest pan chociaż w dobrym towarzystwie?

– Razem z premierem Tuskiem, ministrem Bartłojem Sienkiewiczem oraz adwokatami, którzy starają się przywrócić praworządność, używając możliwych środków prawnych – w tym przypadku poprzez przywrócenie mediom publicznym ich miejsca w społeczeństwie demokratycznym.

Komu podpadliście?

– Prokuraturę zawiadomił poseł Marcin Romanowski, były wiceminister sprawiedliwości u Zbigniewa Ziobry.

Podobno się znacie.

– W ramach Erasmusa przez rok byliśmy w Niemczech, w Ratyzbonie. Potem na tym uniwersytecie Romanowski zdobył tytuł, zdaje się, niemiecki, Magister Legum, L.L.M. Razem doświadczyliśmy w pozytywnym sensie możliwości, jakie daje Unia Europejska. Przez miesiąc podnajmowałem od Romanowskiego pokój w akademiku. Wówczas był to bardzo sympatyczny kolega.

I co się stało?

– Wyborcy powiedzieli „nie” reżimowi autorytarnemu. Stoimy przed zadaniem odwrócenia działań niszczących praworządność. Wyjątkowa sytuacja.

Trzeba głośno mówić o nadużyciach i błędach poprzedniej władzy.

– Zaczniemy od sądów, a konkretnie, co się wydarzyło 21 grudnia w Trybunale Sprawiedliwości UE. Zwolennicy demokratycznego państwa prawa, niezależności sędziowskiej zostali wyposażeni w broń atomową.

Czyli?

– TSUE odmówił neosędom odpowiedzi na pytanie prejudycjalne, które ma się toczyć tylko między niezależnymi sądami. Osoby z Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, które zadały to pytanie TSUE, nie są wystarczająco niezależne od władzy. Liczyły, że dostaną odpowiedź i będą mogły mówić – TSUE nam odpowiedział, to znaczy, że jesteśmy legalnym sądem, a w Polsce nie ma problemu z praworządnością.

Połowa Sądu Najwyższego nie powinna orzekać w zakresie zastosowania prawa unijnego. W tym w sprawach konsumenckich i frankowych

Na tym opierała się dotychczasowa narracja m.in. prof. Zaradkiewicza i prof. Manowskiej, że w sumie wszystko jest w porządku.

Wcześniej jednak TSUE odpowiedział na pytanie neosędziego Zaradkiewicza

– Tak, z ramienia RPO argumentowaliśmy w tej sprawie, że TSUE nie powinien prowadzić z nim dialogu, ponieważ został powołany wadliwie w świetle standardów europejskich. I wtedy TSUE zatrzymał się w połowie drogi. Z jednej strony ustanowił domniemanie, że jak sąd krajowy pyta, to wszystko jest z nim OK. Z drugiej jednak powiedział, kiedy można to domniemanie przełamać. I teraz w grudniu to się stało. Był już wcześniejszy wyrok Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, że jedna z tych osób nie jest sądem. Piękny dialog w wykonaniu trybunałów międzynarodowych.

W grudniu 2023 czas ostrzeżeń ze strony TSUE minął.

Dlaczego?

To, w kontekście sądu ostatniej instancji, jaką teoretycznie powinna być IKNiSP SN, wielki wyłom w prawie 70-letnim orzecznictwie TSUE.

Wcześniej myśleliśmy, że TSUE tego nie zrobi. Ale już tyle razy ostrzegał Polskę, że będzie źle. Aż włączył czerwone światło.

Co to była za sprawa?

– Chodziło o sędziego Sądu Okręgowego z Kielc. Izba Kontroli Nadzwyczajnej zadała pytanie prejudycjalne, zaczęło się postępowanie. Komisja Europejska wskazała, że skoro jest wyrok Strasburga, że coś z tą Izbą Kontroli jest nie tak, więc niech Trybunał w Luksemburgu to sobie rozważy. Wtedy sędziowie z Izby Kontroli Nadzwyczajnej wysmarowali pismo, że z nimi jest wszystko w porządku, że Trybunał w Strasburgu to tak naprawdę się pomylił, bo nie ma żadnych zastrzeżeń co do procedury ich nominacji. I takie pismo wysłali do Luksemburga.

To było w grudniu 2022 r., prawda?

– Wtedy w odpowiedzi ów sędzia z Kielc, posiłkując się m.in. naszymi argumentami z dokumentów RPO z tamtego czasu, przedstawił odpowiednią argumentację dla oba-

lenia domniemanie. Efekt: TSUE odmówił odpowiedzi na pytanie neosędziowskiej IKNiSP.

I co to oznacza dla Kowalskiego?

– Że mniej więcej połowa Sądu Najwyższego jest odcięta od kontaktu z TSUE i w związku z tym nie powinna orzekać w zakresie zastosowania prawa unijnego. Na przykład w sprawach konsumenckich, frankowych itp. Setki, tysiące spraw. To ta broń atomowa.

Nie byłoby prościej, gdyby sąd w Luksemburgu powiedział wprost: hej, neosędziowie, nie zwracajcie nam już głowy, bo nie jesteście sędziami.

– Przesłanie ogólne jest takie: proces nominacji do SN po 2018 r. był na tyle obciążony błędami, że prawo UE nie pozwala na to, by ci sędziowie orzekali. Komisja na tej podstawie mogłaby natomiast wszcząć postępowanie przeciwnaruszeniowe wobec Polski i wtedy TSUE mógłby wydać wyrok całkowity.

No i jakie skutki w takim układzie?

– W odpowiedzi na pytanie prejudycjalne TSUE zasadniczo nie może oceniać prawa krajowego, odmowa odpowiedzi jest w zasadzie najostrzejszą formą oceny: nie jesteś sądem, nie możesz mi zadawać pytań.

I dokładnie to się stało. Osoby zasiadające w IKNiSP wiedzą teraz doskonale, że nie spełniają europejskich wymogów sądu. Powiedział im to w grudniu wprost TSUE, a wcześniej już kilkakrotnie ETPCz. Już na pewno wiemy z kim mamy do czynienia.

Co z tego wynika w obecnej sytuacji, kilka miesięcy po wyborach?

– W normalnej sytuacji, gdyby była możliwość przeprowadzenia ścieżki legislacyjnej, należałoby natychmiast odsunąć od orzekania wszystkich sędziów SN, którzy są w podobnej sytuacji – i uzdrowić ich status, np. poprzez ponowny konkurs. Bo każdy wydany przez nich wyrok jest obecnie wadliwy.

A jak to zrobić w Polsce?

– Odpowiedzialne osoby powinny same się zastanowić, czy powinni dalej przychodzić do pracy w budynku SN. Istnieje duża przestrzeń do autorefleksji.

Podobną rolę miała odegrać uchwała sejmowa apelująca do sędziów-członków neoKRS powołanych niezgodnie z konstytucją o rezygnację. Nie poskutkowało.

– Uchwała opisuje stan prawny, wytwarza pewnego rodzaju presję i otwiera pole gry do działań innych organów państwa.

Sejm mógł powiedzieć sędziom w neoKRS: zostaliście źle powołani, więc dziękujemy, idźcie do domu. Tak się nie stało. W firmowanym przez ministerstwo sprawiedliwości projekcie ustawy naprawczej jest mowa o wygaszeniu ich kadencji. Można wnosić, że skoro jest kadencja, to powołano ich legalnie? To bardzo smuci środowisko sędziowskie.

– Z perspektywy unijnej proces nominacji do neoKRS jest tylko elementem kumulacji wszystkich naruszeń wobec praworządności w Polsce. Prawo unijne nie wskazuje, w jaki sposób państwo członkowskie powinno zapelniać miejsca w KRS ani tego, czy w ogóle taki organ powinien istnieć.

Czy z perspektywy Unii sędziowie zostali powołani do neoKRS legalnie?

– Z perspektywy czysto unijnej sam fakt, że sędziów do KRS powołuje Sejm, nie byłby najpewniej problemem. Problematiczne staje się to dopiero, jeżeli się to połączy z innymi naruszeniami w procesie nominacji, które wystąpiły po 2018 roku. Dlatego można różnicować sytuację nominacji do SN i do sądów powszechnych.

Czy nie mamy tu naruszenia montesquieszowskiego trójpodziału władzy?

– Nie z perspektywy UE. Są państwa, gdzie proces nominacji zgodnie z tradycją jest poddany czynnikom politycznym, np. w Niemczech. Sposób powołania sędziów do KRS to jest polski problem konstytucyjny, bo rozwiązanie przeforsowane przez PiS narusza konstytucję. Jednak gdy współwystępują inne naruszenia, na co wskazywała zresztą historyczna uchwała trzech połączonych izb SN i NSA w niektórych sprawach, ocena europejska wypada negatywnie.

Ale już dla ETPCz sam fakt nominacji przez obecny KRS wystarczył, żeby powiedzieć, że składy SN nie spełniają standardów Konwencji.

Co mamy zrobić z neoKRS? Czy dotychczasowa narracja środowisk demokratycznych jest nieprawdziwa?

– Jest prawdziwa, bo to niejedyny problem, który wystąpił. Chodzi też o przerwanie kadencji poprzedniej KRS, usunięcie kontroli sądowej jej uchwał w procesie nomina-

cji do SN, celowe obniżenie wieku przejścia sędziów w stan spoczynku w SN, ogłoszenie przez prezydenta nieważnych konkursów, bez wymaganej kontrasygnaty, chodzi też w końcu o zabezpieczenie nałożone przez Naczelny Sąd Administracyjny. Gdy to wszystko się weźmie razem, to daje efekt kumulacji naruszeń – a to właśnie bada TSUE.

Trybunał sprawdza, jak było, gdy państwo przystępowało do Unii, co się zmieniło, czy osłabiono gwarancje niezależności.

Gdybyśmy od 20 lat mieli system wyboru sędziów do KRS przez Sejm, to najpewniej nie byłoby tematu z perspektywy unijnej.

To na czym polegał błąd PiS?

– Na tym, że z tej perspektywy zrobili to jednak dość nieporadnie.

Uratowała nas nieporadność PiS i Solidarnej Polski?

– I nie do końca przemyślane poczynania. Może, na całe szczęście, po prostu nie znają się na prawie unijnym? Co nieco wiedzieli o niezgodności różnych działań z konstytucją. Ale wyroki Trybunałów w Luksemburgu i Strasburgu całkowicie ich zaskoczyły.

A to my, demokratyczna strona, wypracowaliśmy je w trudnych i żmudnych procesach sądowych.

Czy system konstytucyjny, gdzie pierwsza i druga władza są silniejsze wobec trzeciej, jest zgodny ze standardami unijnymi?

– Każde państwo kształtuje to po swojemu, z tym TSUE nie dyskutuje. Co innego, gdy pojawiają się wątpliwości co do bezstronności powołanego organu. A Polska ma poważny problem przede wszystkim w Sądzie Najwyższym.

W jednym z wywiadów powiedział pan, że jesteśmy już na rubieżach Unii.

– Czeką nas chaos, jeśli ten problem nie zostanie załatwiony. Orzeczenia polskich sądów będą weryfikowane przez sądy w innych państwach. Bo jacyś sędziowie orzekają, ale nie wiadomo czy dobrze, bo część nie ma prawa tego robić. Z góry jest to podejrzane, nie można mieć zaufania.

Nie wiemy dokładnie, jak to będzie wyglądało, praktyka pokaże.

Jakie to ma przełożenie na wydawanie środków z Krajowego Planu Odbudowy i innych funduszy unijnych?

– Te pieniądze muszą być efektywnie wydawane. A skoro połowa składu SN jest powołana z naruszeniem standardów europejskich, to czy możemy mówić o efektywnej kontroli wydatkowania? Będą wątpliwości.

A pana zdaniem?

– Zależy, kto dostanie sprawę, a to przecież tak nie powinno wyglądać. Dlatego bardzo dobry jest ruch ministra Bodnara o przystąpieniu do prokuratury europejskiej.

Co nam da członkostwo w prokuraturze europejskiej?

– Śledztwa będą mogły być prowadzone przez osoby, które, nieobjęte polskimi problemami, mają obiektywnie sprawdzić, czy było naruszenie prawa.

Jak teraz udało się doprowadzić do wypłaty pieniędzy z KPO?

– Udało się przekonać Komisję – to wielki sukces ministra Bodnara i całej grupy pracującej przy negocjacjach nad KPO. Obecny rząd podjął wszystkie możliwe środki ekwiwalentne do środków ustawowych, by wypełnić wszystkie kamienie milowe. Środki ustawowe, z uwagi na działalność TK i stanowisko prezydenta, w zasadzie nie wchodziły w grę. Ale rząd przedstawił plan działań legislacyjnych, aby uzdrowić sytuację w sądownictwie.

Czy Trybunał Przylębskiej jest Trybunałem Konstytucyjnym?

– Z perspektywy unijnej, jeżeli jego działanie przekładza w skuteczny przywracaniu państwa prawa, to można pominąć jego

orzeczenia, uznać je za niestosowalne. Dziś TK próbuje doraźnie blokować różne działania naprawcze. Widzimy, jak to się odbywa: np. szybkie złożenie skargi konstytucyjnej bez wyczerpania sądowej drogi krajowej. I wydawane jest natychmiast zabezpieczenie, np. przez prof. Pawłowicz.

Czy musimy słuchać pani Pawłowicz, skoro wiemy, że nie miała prawa wydawać postanowień?

– Komisja Europejska, ścigając sprawy naruszające praworządność, ma zastrzeżenia do tzw. sędziów dublerów. Wyroki wydane przez nich można pomijać, stosując prawo unijne i Europejską Konwencję Praw Człowieka.

Ale Komisja ma też wątpliwości co do niezależności i bezstronności całego TK, na przykład – dlaczego bez żadnych przyczyn zmieniano składy orzekające. Dlaczego pewne sprawy rozpatrywane są superszybko, a inne wolno? Istnieją też wątpliwości co do statusu prezes.

Skoro Trybunał nie jest sądem, to po co brać pod uwagę jego orzeczenia?

– Sąd krajowy może dokonać własnej analizy, czy dane rozwiązanie jest konstytucyjne i uznać albo nie uznawać argumentów TK. Na pewno nie mogą one stać na przeszkodzie rozwiązaniu prawidłowemu z perspektywy prawa europejskiego. Poza tym TSUE powiedział, że jeżeli sąd konstytucyjny nie jest prawidłowo ukonstytuowany, to sądy powszechne mogą pomijać jego orzeczenia jako niewiążące.

Największy problem jest z orzeczeniami, które coś derogują, np. uchylają jakiś przepis. Bo rodzi się pytanie, czy to uchylenie nastąpiło, czy nie? Na razie system nie znalazł jednolitej odpowiedzi na te pytania.

Dlaczego?

– Nie ma jednego organu, który o tym by definitywnie orzekał. Są różne sądy i różne poglądy, które dopiero muszą się zderzyć...

To będzie trwało wieki.

– Nie ma innej drogi. Chyba że zrobi to ustawodawca, do czego teraz nie ma możliwości przede wszystkim z uwagi na dotychczasowe stanowisko prezydenta. Parę dni temu minister Bodnar zaprezentował cały pakiet zmian dotyczący TK. Zobaczymy, jak się potoczą losy tych rozwiązań. To przykład współpracy ze społeczeństwem obywatelskim, projekty mają źródło w wieloletnich pracach Zespołu Ekspertów Prawnych Fundacji Batorego.

Dlaczego Sejm poprzez uchwałę nie może powiedzieć prof. Pawłowicz: droga pani profesor, było śmiesznie i strasznie, już dziękujemy, do widzenia.

– Zobaczymy, jak się sytuacja rozwine, choć akurat ta osoba jest powołana prawidłowo.

To pytanie nurtuje mnie od 15 grudnia, kiedy demokraci przejęli władzę.

– Nie jest powiedziane, że tak nie można zrobić. Ale musimy pamiętać, że może się znaleźć sąd, który odpowie: nie, tak nie wolno. Trzeba poruszać się więc w ramach prawa i konstytucji. A dodatkowo, co jest jednak już zadaniem polityków, trzeba liczyć głosy w parlamencie. To nie jest takie proste.

Prof. Maciej Kisilowski opowiadał w „Wyborczej” o ekstremalnym formalizmie polskich prawników, którzy stosując przepisy prawa zapominają, jakie są wartości demokratycznego państwa prawa.

– W moim przekonaniu sytuacja po rządach Zjednoczonej Prawicy uzasadnia twierdzenie, że znajdujemy się w fazie tzw. sprawiedliwości okresu przejściowego. To daje pewne aksjologiczne uzasadnienie, w prawie międzynarodowym jak i krajowym, do działań naprawczych.

Mamy systemowy problem z praworządnością i z elementami budującymi zdrową demokrację. Część instytucji jeszcze jest pod wpływem osób, które doprowadziły do tego problemu. Demokratyczna władza, któ-

Z perspektywy unijnej, jeżeli działanie Trybunału Konstytucyjnego przeszkadza w skutecznym przywracaniu państwa prawa, to można pominąć jego orzeczenia

ra chce przywrócić ład konstytucyjny, może się posługiwać nieco innymi narzędziami niż w normalnym czasie. To założenie leży u podstaw wszystkich działań, w których uczestniczę.

Nawet TSUE powiedział w pewnym wyroku rumuńskim, że w sytuacji naruszania strukturalnych zasad prawa unijnego, wobec takiego państwa nie działa zasada równości państw. Czyli to państwo można traktować inaczej niż pozostałe.

Stosujemy środki, które w normalnym okresie być może nie byłyby stosowane. Ale z uwagi na to, w jakiej sytuacji jesteśmy, są uzasadnione.

I tak było w przypadku TVP?

– W przypadku TVP mamy sytuację, w której Radia Mediów Narodowych z całą pewnością jest tworem niekonstytucyjnym. Wiemy też, jak działa Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji pod przewodnictwem pana Świrskiego. Jak złożymy to, co TVP robiło w ostatnich latach i jaka była reakcja władz odpowiedzialnych za ład medialny, to nie ma żadnej wątpliwości, że to nie są niezależne organy, o których mówi konstytucja.

W normalnych okolicznościach władza polityczna nie powinna mieć bezpośredniego wpływu na scenę medialną. Ale teraz, moim zdaniem, jest to jedyne wyjście, by doprowadzić do zgodnego z Konstytucją działania mediów publicznych – w okresie przejściowym.

Kto jest w radach nadzorczych?

– Minister powołał do rad nadzorczych adwokatów, apolitycznych profesjonalistów. Nie jestem członkiem żadnej partii, ministra Sienkiewicza w zasadzie nie znam, widziałem go przy okazji walnego zgromadzenia TVP, które zresztą odbyło się zgodnie ze wszystkimi regulami sztuki. Zostałem wybrany po to, i tak widzę swoją rolę, aby w tym czasie nadzwyczajnym, pomóc przywrócić ład medialny zgodny z konstytucją oraz prawem obywateli do rzetelnej informacji.

Dziennik i9.30 czy TVP Info nie wygląda, jak to było przez ostatnie osiem lat, to ma wielkie społeczne znaczenie.

Zdaję sobie sprawę, że to, co robimy, może natrafić na inną argumentację i odmienne stanowiska.

Przed nami apelacja od odmowy wpisu do rejestru rad nadzorczych, co ma charakter jedynie deklaratoryjny. Decydujący i konstytutywny charakter ma uchwała powołująca m.in. mnie do Rady Nadzorczej. Ona jest w mocy, nie została unieważniona. Jak sąd prawomocnie unieważni nasze uchwały, to będę to respektował i szanował.

Nawet jeśli sąd się pomyli przyjmując złą interpretację?

– Tak. Dyskusja z orzeczeniem odbywa się poprzez postępowanie odwoławcze. Ostatecznie to sąd bierze na siebie odpowiedzialność za skutki odrzucenia naszych argumentów i za to, że do TVP np. wrócą stare władze odpowiedzialne za seanse niewiści i wprowadzanie w błąd opinii publicznej.

Zaproponowaliśmy rozmówanie oparte o rzetelną argumentację i aksjologię konstytucyjną.

Jeśli sądy prawomocnie tę argumentację odrzuca, uszanuję to. Oczywiście, będzie to bardzo taki zły sygnał dla demokracji, bo nie ma wolności, demokracji, bez wolności słowa.

Trzeba przywrócić równowagę demokratyczną w państwie. Chcemy pokazać ludziom, sądom rzetelną argumentację prawniczą, jak wyjść z tego, co zgutowała nam antysystemowa siła. Pokazujemy światło. To jest droga. Jedyna możliwa, także dla naszych dzieci.

Jak długo konieczne będą takie nadzwyczajne działania w sprawie mediów publicznych?

– Do czasu, gdy będzie możliwość przyjęcia ustawy o przywróceniu niezależności organów medialnych, czyli ogłoszenia transparentnych konkursów, przywrócenia niezależności KRRiT, co będzie podlegać weryfikacji opinii publicznej.

Jak pan się znalazł w radzie nadzorczej TVP?

– Zostałem zapytany przez znajomych prawników, że jest sprawa do rozwiązania, czy bym się podjął. Analizowaliśmy opcje najlepsze, najgorsze. Inni członkowie rady to osoby, które w ostatnich latach poświęcały czas i wiedzę dla podtrzymywania zrębów demokracji. Tak jak przez ostatnie lata, nikt nie pracuje w radzie nadzorczej TVP, by czerpać z tego osobiste korzyści.

Z jakimi reakcjami się pan spotkał?

– Dostałem wiele pozytywnych sygnałów, odzywali się ludzie, których nie widziałem nawet kilkanaście lat, dziękując, że po raz pierwszy od dawna oglądali wiadomości, choć to oczywiście głównie zasługa Tomasza Syguta i jego zespołów. Sąsiad z góry przychodzi i mówi „słuchaj, jakbyś potrzebował czegoś to dzwoni”, mnóstwo ludzi chciało się zaangażować.

Wracałem 21 grudnia z Brukseli i mój starszy synek napisał mi, że obejrzał 19.30, że wprowadzie nie są perfekcyjne, ale warto usłyszeć prawdę po raz pierwszy od zawsze... To było bardzo wzruszające i budujące. Dla niego te osiem lat z jego dwunastoletniego życia rządów autorytarnych były „od zawsze”, bo on świadomie w TVP widział tylko te wiadomości w wydaniu a’la PiS.

Rozumiem, że część widzów będzie częścią niezadowolona, przerzuci się na inne stacje. Ale obiektywnie tak to powinno wyglądać. Publiczne media muszą być niezależne i wiarygodne.

Przyjaźnicie się z ministrem Adamem Bodnarem?

– My możemy się bardzo lubić i przyjaźnić, ale on w sprawach zawodowych jest raczej wymagający. Wiem to, bo pracowałem z nim kilka lat w Biurze RPO. Potrzebna mu jest moja wiedza ekspercka. A co do mnie wie, że ja nie właduję go na minę. Przyszedł do ministerstwa sprawiedliwości, które przez ostatnie osiem lat stało się miejscem raczej nieprzyjaznym, potrzebne jest wsparcie. ●

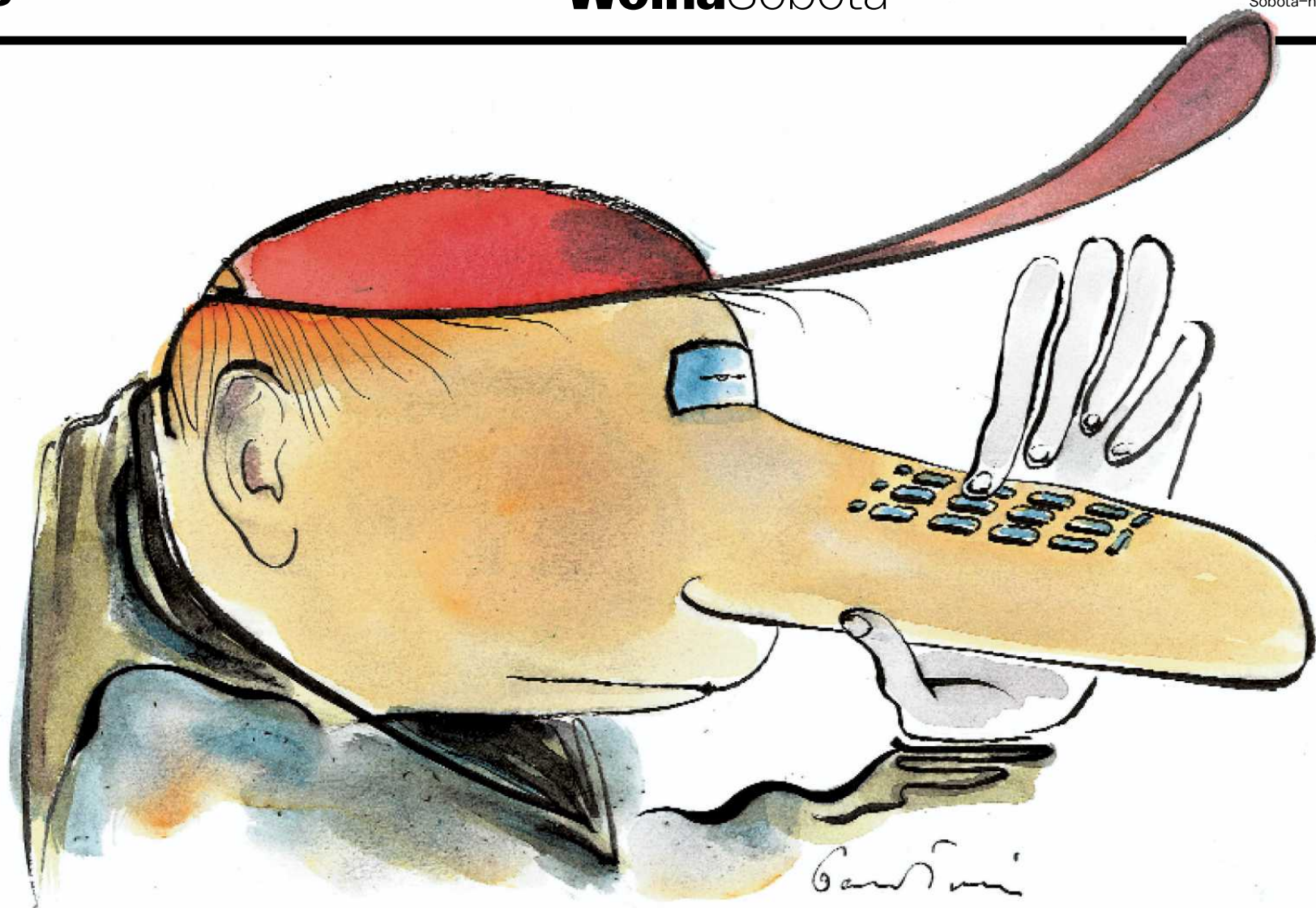
• Cała rozmowa na Wyborcza.pl/magazyn



FOT. #WOLNESADY / YOUTUBE

*Maciej Taborowski

• ekspert ministra sprawiedliwości Adama Bodnara, członek rady nadzorczej TVP Adwokat, dr hab. nauk prawnych, profesor Instytutu Nauk Prawnych PAN, współnik w kancelarii Hoffman, Taborowski i Wspólnicy; były zastępca Rzecznika Praw Obywatelskich Adama Bodnara (2019-22), laureat nagrody specjalnej Press Club Polska (2021) za działalność na rzecz ochrony praw i swobód obywatelskich, w tym wolności słowa.



RYS. JACEK GAWŁOWSKI

Zakaz komórek w szkole

GDZIE SIĘ PODZIAŁY SZCZĘŚLIWE NASTOLATKI

Smartfon zawsze przypomni ci, jak mało jesteś popularny

Kamil Fejfer

Smartfony miałyby zniknąć ze szkół już za sześć miesięcy, od początku nowego roku szkolnego. I to zupełnie, nie tylko z lekcji – uczniowie przed pierwszym dzwonkiem odkładaliby je do szafek uczniów albo w specjalnie wyznaczonym miejscu. Jedyne wyjątki – gdy telefon służy jako pomoc naukowa albo pomaga uczniom ze szczególnymi potrzebami edukacyjnymi. No i rzecz jasna sytuacje awaryjne, wymagające pilnego kontaktu z rodzicem. To propozycja lewicowego think tanku Instytut Spraw Obywatelskich zawarte w liście do ministru edukacji Barbary Nowackiej oraz do ministra cyfryzacji Krzysztofa Gawkowskiego. Uzasadnienie? Eksperti Instytutu przywołują światowe badania. „W 2020 r. zostało opublikowane badanie >>Structural and functional correlates of smartphone addiction<<, które pokazało ubytek istoty szarej mózgu u osób uzależnionych od telefonów komórkowych. Zachodzące zmiany były zbieżne z zaobserwowanymi wcześniej u narkomanów”.

Dlaczego nie wystarczy wyrugować telefony z lekcji? „Odłożenie telefonów w klasie nadal nie rozwiązuje problemu – fakt, że telefon leży w bliskiej przestrzeni, w zasięgu wzroku, aktywuje mechanizm ocze-

kiwania na powiadomienia, co utrudnia uczniom koncentrację. Dodatkowym problemem jest egzekwowanie przez szkoły wprowadzonych zapisów”. ISO podkreśla, że podobne ograniczenia już wprowadziły Holandia, Francja, Włochy, Grecja, Portugalia i Chiny.

Tylko czy taki zakaz naprawdę ma sens?

Istnieje sporo dowodów naukowych, które wskazują, że to właśnie smartfony są jednym z głównych winowajców pogorszonej kondycji psychicznej młodszego (i nie tylko) pokolenia – ale ograniczenie ich używania w szkołach raczej nie rozwiązałoby problemu. Przyjrzyjmy się liczbom i badaniom, które pozwolą nam zmapować problem.

Według zeszłorocznego raportu NASK „Co robią nasze dzieci w sieci” opartego o badanie „Nastolatki 3.0” przeprowadzonego w siódmych i ósmym klasach podstawówek oraz pierwszych i drugich klasach szkół średnich wynika, że w dni powszednie nastolatki korzystają z internetu ponad 5 i pół godziny w dni powszednie. To już kolejny taki raport głównego państwowego instytutu zajmującego się badaniem, monitorowaniem i administrowaniem sieci, co pozwala zauważyć trendy, które mówią nam najwięcej, jeśli chodzi o zjawiska społeczne. Otóż w porównaniu do roku 2020 średni czas spędzany „w necie” wydłużył się o prawie 50 minut. Oczywiście sporą część tego czasu zagospodarowały smartfony.

W dni wolne dzieciaki jeszcze były jeszcze bardziej zaangażowane w, jak to się kiedyś mówiło, cyberprzestrzeni. Przeciętny nastolatek spędzał tam średnio 6 godzin i 16 minut. Równocześnie ponad połowa

młodych osób „często lub bardzo często” wykonywała inne czynności. Czyli dzieciaki myjąc zęby, rozmawiając z kolegami, sprzątając, gotując korzysta ze smartfonów. Nie powinno to nas zresztą dziwić ani bulwersować – spójrzmy prawdzie w oczy, większość z nas postępuje tak samo.

Tutaj uwaga – nie należy się przywiązywać do konkretnych wartości z dokładnością do minut. Badanie miało formę ankietową i trudno oczekiwać, żeby odpytywane nastolatki precyzyjnie co do sekundy określały czas spędzony z telefonem. Istotne są przedziały wartości – młodzi naprawdę dużo czasu spędzają online – oraz trendy.

Dane, które zawierają dłuższe szeregi czasowe, możemy znaleźć na portalu Statista.com. Co prawda odnoszą się do Stanów Zjednoczonych, jednak trend tam widoczny jest właściwy dla wszystkich krajów rozwiniętych. W 2008 r. przeciętny Amerykanin spędzał w telefonie około 20 minut, w 2018 już około 4 godzin. To mniej więcej tyle, ile w 2008 roku statystyczny Smith „był podłączony” do sieci tak w ogóle. A ile czasu „surfowanie” zabierało mu w 2018 roku? Dziennie ponad 6 godzin. Prawdopodobnie obecnie liczby te jeszcze wzrosły, choć raczej nieznacznie, ponieważ ludzie muszą mieć czas na sen, jedzenie i pracę.

Ten trend wynikał oczywiście z wysycenia się rynku smartfonami. Widać to wyraźnie: znaczna większość wzrostu czasu spędzanego w internecie przypada na telefony. Według Statista.com w 2011 r. „jedyne” 35 proc. dorosłych Amerykanów miało smartfony. W 2021 r. już prawie 85 proc. Owe 15 proc. to w większości osoby albo sędziwe, albo takie, które nie są w stanie ich obsługiwać oraz niewielka grupka rebeliantów, która może lub chce sobie pozwolić na luksus bycia odciętym od sieci. I znów

– to trend światowy. Niemal wszyscy mamy smartfony, również dzieci. Według danych Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, w 2022 r. w Polsce z urządzeń tych korzystało ponad 40 proc. dzieci w wieku 4-9 lat. W grupie 10-15 lat – 91,5 proc.

Jakie to ma znaczenie? Zerknijmy najpierw na korelacje. Klarownie pisze o nich Jean Twenge w książkach „iGen” (2019) oraz „Pokolenia” (2023). Psycholożka z Uniwersytetu Stanowego w San Diego przygląda się w nich między innymi kondycji psychicznej młodych osób. I co zauważa? Bardzo wyraźny związek pogarszających się wskaźników i wysycenia rynku smartfonami.

Twenge opisuje trendy, które można dostrzec w badaniach Monitoring The Future powtarzanych cyklicznie od połowy lat 70. w USA. Mniej więcej od roku 2010 wyraźnie spada odsetek nastolatków, którzy deklarują się jako „bardzo szczęśliwi”. W tym samym okresie zanurkował odsetek uczniów, którzy twierdzili, że są „zadowoleni z życia ogółem”. O ile w 2010 roku z takim twierdzeniem zgadzało się około 73 proc. ankietowanych, tak już w 2014 było to o mniej więcej 10 punktów procentowych mniej. 2014 był pod tym względem najgorszy od początku badań, czyli od 1976 r.! Podobny proces zaszedł w przypadku pytania o zadowolenie z siebie. Jednocześnie wzrósł odsetek tych, którzy twierdzili, że czują się samotni i wykluczeni.

Niedawno John Burn-Murdoch w „Financial Times” przyjrzał się badaniom ze Stanów Zjednoczonych oraz Wielkiej Brytanii. Opisał ten sam trend, co Twenge. O ile na Wyspach w okolicach roku 2010 nastoletnie dziewczyny osiągały około 10 punktów w 100 stopniowej skali symptomów

depresyjnych, tak w 2021 roku było to już 20 punktów.

To prawda, że był to specyficzny, covidowy czas, jednak przełamanie krzywej trendu nastąpiło znacznie wcześniej – w momencie początku upowszechniania się smartfonów. Podobne zjawisko widoczne jest też wśród chłopców, choć mniej gwałtowne. Taki sam proces, badany tą samą skalą, można dostrzec również w USA. W Wielkiej Brytanii wzrósł również odsetek nastolatków, które nie zgadzają się z twierdzeniem „jestem osobą, którą da się lubić” oraz tych, którzy twierdzili, że „są nieudacznikami”. Bardzo przybyło podkreślających, że „często się martwią”.

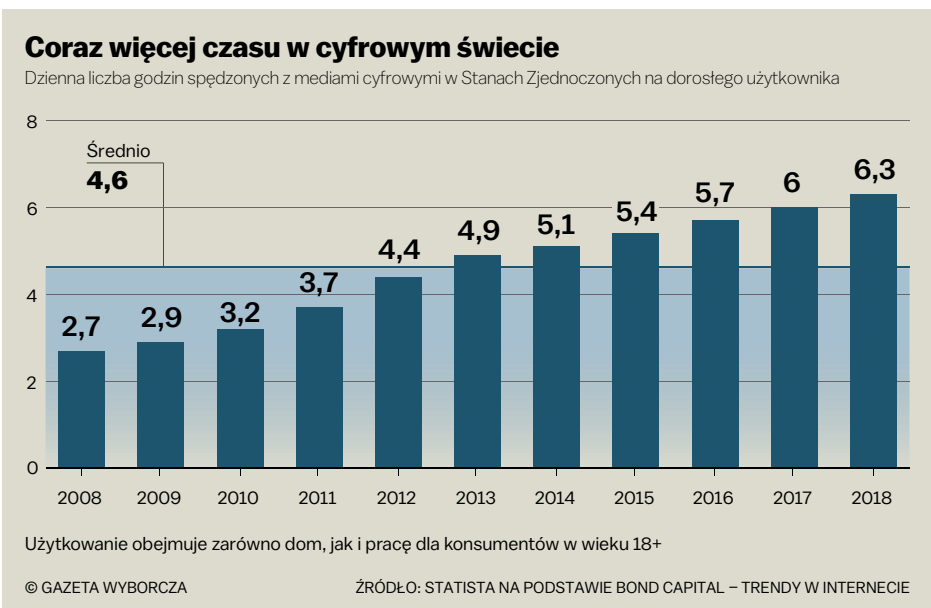
Zerknijmy jeszcze na kilka wskaźników. Od 2010 r. w Wielkiej Brytanii wzrósł procent nastolatków, które „często czuły się nieszczęśliwe”. W USA w tym samym czasie zaczął rosnąć odsetek młodych osób, które twierdzą, że „nie potrafią zrobić niczego dobrze”. Coraz więcej nastolatków uważa, że „życie często wydaje się pozbawione sensu” – w 2010 r. tak uważało około 13 proc. dziewczynek i chłopców, w 2021 już 23 proc. chłopców i niemal 30 proc. dziewczyn.

Podobne zjawiska są widoczne niemal w całym rozwiniętym świecie. Obecnie młodzi ludzie są bardziej nieszczęśliwi niż młodzi w przeszłości. A negatywny treny rozpoczął się mniej więcej w tym samym czasie – w okolicach roku 2010, kiedy zaczęły się rozprzestrzeniać smartfony oraz social media. Dzisiaj zresztą jedno od drugiego trudno oddzielić – smartfony to urządzenia nie do dzwonienia, ile do przeglądania Instagrama i Tik Toka (oraz Facebooka wśród nieco starszych).

Ale może – powiedzą niektórzy – mamy do czynienia jedynie z większym otwarciem się na mówienie o swoim gorszym samopoczuciu psychicznym? Może ludzie, zwłaszcza młodzi, zawsze czuli się źle, a teraz po prostu zwiększyło się społeczne przyzwolenie na to, żeby o tym mówić? Cóż, to nie takie proste, bo pogorszenie się wskaźników kondycji psychicznej widoczne jest nie tylko w ankietach budowanych w oparciu o deklaracje. Widać to również – co opisuje Jean Twenge – w obiektywnie obserwowanych zjawiskach takich jak samookaleczenia czy próby samobójcze. Co warto odnotowania – trendy pogarszania się kondycji psychicznej widać wyraźniej wśród dziewczynek niż wśród chłopców. To nie znaczy, że tych drugich zjawiska te nie dotyczą. Dotykają, ale w nieco mniejszym stopniu.

Skąd miałyby się brać te zjawiska? Badacze obstawiają, że to wynik nadmiernego korzystania z social mediów. A jaki jest mechanizm tego procesu? Platformy społecznościowe są idealnym ekosystemem, wchodzą w nasze potrzeby społeczne jak nóż w masło. Jako ludzie potrzebujemy życia społecznego, plotek, ocen i porównywania się. Problem jest taki, że media społecznościowe stanowią z jednej strony tylko protezę realnych interakcji – brakuje w nich istotnego dla nas obcowania twarzą w twarz – z drugiej strony są rodzajem relacji na sterydach.

Przez swój system ocen „socjale” silnie stymulują naszą potrzebę możliwie dobrego pokazania się przed znajomymi. Ci, którym się nie udaje zebrać odpowiedniej liczby serduszek, lajków i repostów, czują się po prostu wykluczeni. Przed erą smartfonów oczywiście też mieliśmy do czynienia z tą paskudną skłonnością dzieci (ale przecież nie tylko) do wykluczania innych dzieci. Jednak dzisiaj apki społecznościowe powodują, że od poczucia wykluczenia nie ma ucieczki. Przed erą iPhone’a z toksycznie działającego środowiska szkolnego mogliśmy uciekać w mniejsze grupki znajomych albo po prostu do domu. Dzisiaj nie ma schronienia, nie ma ucieczki z czarnej dziury wykluczenia, ponieważ zawsze w kiesze-



Im więcej godzin spędzonych w smartfonie, tym więcej dzieciaków deklaruje: często się martwię, nie jestem osobą, którą da się lubić, jestem nieudacznikiem, niczego nie potrafię zrobić dobrze

ni mamy smartfon, który przypomni nam, jak mało jesteśmy popularni.

Do tego social media nie pokazują całej prawdy o naszym doświadczeniu. Pokazują tylko tą jego część, którą chcemy ujawnić. A chcemy ujawniać głównie to, co uważamy za społecznie pożądane. I niekoniecznie chodzi o rzeczy, które zrzedliwym dorosłym kojarzą się z internetowym celebryctwem – drogie wycieczki, ciuchy ekskluzywnych marek, sukcesy towarzyskie, bycie fit.

One są oczywiście istotne – ale społeczne pożądanie jest płynne i ewoluuje. Przecież wielu influencerów i influencerów wcale nie musi wieść życia milionerów; często ich kapitałem społecznym są właśnie ich problemy psychiczne czy zwyczajność. Powody „fejmu” mogą być różne, prawdziwym kapitałem w mediach społecznościowych jest uznanie.

No dobrze, ale ciągle doszywamy interpretacje do pewnych korelacji. Skąd w zasadzie wiadomo, że to smartfony odpowiadają za kryzysy psychiczne osób młodych? Być może pod spodem istnieje jakaś inna zmienna? Niewykluczone. Pogorszenie się jakości zdrowia psychicznego zaczęło się krótko po kryzysie finansowym 2008 roku, który odcisnął piętno na kondycji ekonomicznej młodych ludzi, co rzecz jasna pogorszyło ich dobrostan. Problem z tym wyjaśnieniem jest taki, że światowa gospodarka już dawno odrobiła straty. Wbrew temu, co spora część z nas sądzi, pokolenie milenialsów jest zamożniejsze niż ich rodzice w analogicznym wieku. Również zetki mają się całkiem nieźle. Mało tego, wielki kryzys był niemal 15 lat temu. A zdrowie psychiczne młodzieży pogarszało się – uśredniając – z roku na rok, osiągając, co oczywiste, mroczne apogeum w czasach pandemii.

Jedno z najbardziej przekonujących badań, które jako głównego podejrzanego odpowiedzialnego wskazuje właśnie social media, przeprowadził zespół badaczy pod

kierownictwem Luca Braghieriego z Bocconi University.

Przypomnijmy, że Facebook początkowo rozprzestrzenił się na kolejnych kampusach uniwersyteckich w USA. Badacze mogli więc sprawdzić, jak zmieniały się wskaźniki zdrowia psychicznego na uczelniach, na które wdzierała się platforma Marka Zuckerberga. Jako że mieli do dyspozycji świetną grupę kontrolną – inne podobne uniwersytety, które jeszcze nie zostały do Facebooka podpięte – mogli wyciągnąć klarowne wnioski.

Co się okazało? Pojawianie się platformy w społeczności studentów powodowało pogorszenie się wskaźników kondycji psychicznej. Dostęp do tego medium powodował wzrost odsetka osób odczuwających symptomy depresyjne o 7 proc., a zaburzenia lękowe o 20 proc. Badacze uważają, że pogorszenie się samopoczucia brało się głównie z efektu społecznych porównań.

Sięgnijmy jeszcze po wyniki badania opublikowanego w prestiżowym czasopiśmie „Journal of Experimental Psychology”. Otóż ograniczenie czasu korzystania ze smartfona poprawia nasz dobrostan: zwiększa zadowolenie z życia, zmniejsza objawy depresyjne i lękowe, zwiększa aktywność fizyczną. Ta ostatnia jest istotną zmienną pozytywnie wpływającą na zdrowie psychiczne. Tymczasem im więcej czasu spędzamy z nosami w telefonach, tym mniej czasu mamy na bieganie, pływanie, rower czy sporty zespołowe.

Jean Twenge w „Pokoleniach” zwraca uwagę na jeszcze jeden istotny aspekt: im więcej czasu spędzamy w telefonach, tym mniej mamy czasu na interakcje twarzą w twarz. A to właśnie osobiste kontakty wyrażnie podnoszą jakość naszego samopoczucia, zaś ich brak badacze wiążą z depresją. Psycholożka tym wyjaśnia, fakt, że wśród osób o poglądach liberalnych w USA trend wzrastających symptomów depresyjnych rozpoczął się wcześniej niż w przypadku

osób o poglądach konserwatywnych. Osoby o usposobieniu liberalnym są bowiem (na co są liczne badania naukowe) bardziej otwarte na świat. W tym na nowinki technologiczne. To oni – stawia hipotezę Twenge – zaczęli wcześniej korzystać ze smartfonów i mediów społecznościowych. To oni więc szybciej „przepłynęli” do sieci i szybciej zrezygnowali z części kontaktów społecznych. To u nich więc w końcu pogorszenie się stanu psychicznego było widoczne wcześniej.

Ale kontakty twarzą w twarz, zwłaszcza wśród młodzieży, są istotne z jeszcze jednego powodu. W ich trakcie młodzi ludzie uczą się, w jaki sposób obsługiwać swoje i cudze emocje. Uczą się, jak mogą odgryźć osobom, które je nieuprzejmie traktują, jak znosić dyskomforty, jak stawiać i negocjować granice. W świecie wirtualnych kontaktów to niemożliwe.

Ale smartfony przekładają się nie tylko na pogorszenie zdrowia psychicznego. Negatywnie wpływają też na skupienie uwagi. Być może słyszeliście o efekcie „koncentracji złotej rybki”. W tym pop-psychologicznym micie mówi się, że ludzka zdolność skupiania uwagi w ostatnich latach spadła poniżej poziomu zdolności koncentracji złotej rybki. Otóż to nie udowodniony naukowo fakt, tylko piarowy slogan, po raz pierwszy użyty w jednej z prezentacji Microsoftu w 2015 r. Dziennikarze BBC, którzy próbowali dotrzeć do źródła tego newsa, ponieśli porażkę. Nic dziwnego – trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób mielibyśmy porównywać koncentrację ludzi i ryb.

Faktem jest jednak, że nasza uwaga jest „podkradana”. I na to dane już są. A złodziejami są social media, które przyzwyczaiły nas do sprawdzania powiadomień. To z kolei przekłada się na pogorszenie naszych zdolności kognitywnych. Dzieje się tak dlatego, że ludzie w dużej części wcale nie potrafią robić wielu rzeczy jednocześnie. Aby wykonywać zadanie w sposób efektywny, musimy mieć w pełni skupioną uwagę.

Polski Instytut Ekonomiczny przytacza badania, z których wynika, że „studentci, których telefony były wyłączone w czasie wypełniania testu, mieli o 20 proc. lepsze wyniki niż studenci, których telefony były aktywne i otrzymywały smsy w czasie testu”. Mało tego! „Badanie opublikowane przez Uniwersytet Chicagowski pokazało, że nawet kiedy telefony są wyłączone i odłożone na bok, sama ich obecność ogranicza zdolności poznawcze” – czytamy w raporcie.

Podobne wnioski znajdziemy w raporcie „Smartfon? Tak, ale z głową” Instytutu Pokolenia. Przytaczany tam eksperyment przeprowadzony w mazowieckich szkołach mówi sam za siebie. Uczniowie zostali losowo przyporządkowani do dwóch grup – pierwsza miała wyłączone telefony, druga włączone, a eksperymetatorzy w pewnym momencie wysyłali na nie wiadomości komunikatorem Messenger. W tym samym czasie nauczyciel podawał istotną informację. Uczniowie z wyłączonymi telefonami znacznie częściej potrafili odpowiedzieć na pytanie odnoszące się do przekazywanych treści. W pierwszym przypadku 80 proc. uczniów poprawnie przytoczyło informację, w drugim jedynie 20 proc.

Jak widać, nie brakuje argumentów za ograniczeniem dostępu dzieci do smartfonów. Regulacja zaproponowana przez Instytut Spraw Obywatelskich jest krokiem w dobrym kierunku: młodym ludziom przydałoby się trochę więcej kontaktów twarzą w twarz z kolegami i koleżankami i nauki interakcji w grupie rówieśniczej. Ale ministra Nowacka ani minister Gawkowski, ani żaden pojedynczy średniej wielkości kraj nie rozwiąże problemu definitywnie bez ponadpaństwowych regulacji uderzających w sam model biznesowy cyfrowych gigantów – czyli w behawioralne uzależnienie nas od ich feedów. ●

Z **MIROSŁAWEM WLEKŁYM**, AUTOREM KSIĄŻKI „NIE NASZ PAPIEŻ. PONTYFIKAT JANA PAWŁA II NA ŚWIECIE” ROZMAWIA **ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI**

W Polsce tak naprawdę nigdy nie odbyła się poważna, merytoryczna dyskusja o pontyfikacie Jana Pawła II. Rzadko pojawiały się głosy krytykujące jego decyzje, choć w innych częściach świata dosyć odważnie zwracano uwagę na błędy, jakie popełnił Karol Wojtyła. Dlaczego taka debata była niemożliwa?

– Z różnych powodów. Na pewno był traktowany przez Polaków jako autentyczny zbawca naszego narodu, nawet komuniści czuli respekt przed Janem Pawłem II. Był niekwestionowanym autorytetem, najważniejszą postacią XX-wiecznej historii Polski. Poza tym trzeba przyznać, że miał udział w zmianie ustroju w 1989 roku, choć od razu zaznaczmy, że nieco przeceniany. Gdyby nie determinacja polskiej opozycji, nie zawsze przeciw katolickiej, gdyby nie dojście do władzy w ZSRR Michaiła Gorbaczowa, nawet Wojtyła by nie pomógł. Poza tym Kościół w Polsce, szczególnie, kiedy prymasem został Józef Glemp, stał się we wspieraniu walki z komunizmem umiarkowanie zachowawczy. Ale i wcześniej. Otwarcie opowiadał o tym choćby Bogdan Borusewicz, wspominając niechętny odprawianiu mszy w trójmiejskich stocznich podczas strajków 1980 roku kler. Jednak z całą pewnością papież starał się rzucać wszystkie siły do walki o wyzwolenie Europy Wschodniej z komunizmu. I był to jeden z najważniejszych celów tego pontyfikatu, co nam, nad Wisłą, wydaje się w oczywisty sposób naturalne. Żyjąc w państwie komunistycznym identyfikowaliśmy zło z marksizmem, czy szeroko pojmowaną Rosją, z kolei w Ameryce Łacińskiej zupełnie inaczej podchodzono do dokładnie tych samych haseł czy ideologii. Tam, z pomocą Watykanu, którym zarządzał Wojtyła, zwalczano przez dziesięciolecia księży, biskupów i zwykłych katolików, którzy reprezentowali tzw. teologię wyzwolenia, a mówiąc bardziej obrazowo – Kościół ubogi, za Spizową Bramą jednoznacznie kojarzony z komunizmem, choć dzisiaj zrehabilitowany przez papieża Franciszka. Wojtyła błogosławił i wspierał walkę z tym odłamek teologii, przy udziale agentów CIA i polityków USA.

Niektórzy uważają wręcz, że między amerykańską administracją a Wojtyłą została zawarta umowa: my pomożemy finansowo polskiej opozycji antykomunistycznej, a Kościół nie będzie wtrącał się do naszej polityki w Ameryce Południowej. Ile jest w tym prawdy?

– O współpracy między Amerykanami a Watykanem z czasów Jana Pawła II mówi się głośno od wielu lat. Są na to dowody zgromadzone po stronie amerykańskiej, chociażby w biografiach czy zapiskach Ronalda Reagana. Jeden z autorów Carl Bernstein nazywa to wręcz „Świętym Przymierzem”. I przytacza informacje podane przez Vernona Waltersa, amerykańskiego sekretarza do spraw bezpieczeństwa, który deklaruje, że w latach 1981–1988 spotykał się z papieżem mniej więcej co pół roku. Bez dwóch zdań Jan Paweł II, jak żaden wcześniejszy papież, miał stałe kontakty z prezydentami Stanów Zjednoczonych. Działo się stale łączy telefoniczne łączące Watykan ze Stanami Zjednoczonymi, papież na bieżąco rozmawiał o tajnych informacjach, które przekazywał mu wywiad amerykański. Amerykanom było to bardzo na rękę, znaleźli w Watykanie wielkiego sojusznika do walki z największym wrogiem Stanów Zjednoczonych, czyli z komunizmem reprezentowanym przez Związek Radziecki. Wojtyła też znalazł się w komfortowej sytuacji, ponieważ na horyzoncie pojawiało się wybawienie dla jego ojczyzny, ale też całej Europy Wschodniej.

Amerykanie finansowali poprzez Watykan „Solidarność”?

– Tak i nie ma w tym nic oburzonego. Bardziej zastanawiające jest pochodzenie innych pieniędzy, które przechodziły przez Watykan i miały trafiać do polskich opozycjonistów. Do dzisiaj toczy się na ten temat dyskusja na przykład we włoskiej prasie.



JAN PAWEŁ II ZLAICYZOWAŁ EUROPE

Kiedy Wojtyła powołał we Francji, czy Niemczech konserwatywnych biskupów, ludzie błyskawicznie zaczęli odwracać się od Kościoła. To samo dziś widzimy w Polsce

FOT. WOJCIECH OLIŚNIK / AGENCIA WYBORCZA.PL

A mówiąc konkretnie?

– Wszystko wskazuje na to, że do „Solidarności” miały trafić pieniądze wyludzone chociażby przez o. Marciela Maciela od bogatych wdów, z handlu narkotykami w Kolumbii, czy interesów włoskiej mafii. Jan Paweł II nie miał oczywiście o tym pojęcia, nie wiedzieli o tym również opozycjoniści w Polsce. Nie jest też do końca udowodnione, że te pieniądze, które były zbierane na rzecz „Solidarności”, ostatecznie trafiły do naszego kraju. Wątki związane z mafią pojawiły się we włoskiej prasie już osiem lat temu, część z nich została udowodniona, wiele jednak faktów jest do dzisiaj owianych tajemnicą. Maciel wprost przyznawał, że wysłał do Watykanu miliony dla „Solidarności”, a kardynał Alfonso Lopez Trujillo nie krył, że Kościół brał na „szczytne cele” od Pablo Escobara, bo nie miał pojęcia, kim był ten człowiek. Trzeba jednak przypomnieć, że Wojtyła nie miał ręki do najbliższych współpracowników, którzy wykorzystywali jego zaufanie i naiwność. W trakcie jego pontyfikatu wielu z nich zgromadziło oszalamiające fortuny. Wyżej wymienieni są tego najlepszym przykładem, ale w wielkim przepychu żyli też inni. Jak Angelo Sodano, osoba numer dwa w Watykanie. Nie ulega wątpliwości, że w trakcie sprawowania przez niego stanowiska sekretarza stanu wszechwładna kuria rzymska sprzyjała wyciszaniu afer i ukrywaniu przestępstw, a także przepływowi podejrzanych pieniędzy. Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiał: Jan Paweł II z dobrej woli pomagał „Solidarności”, jednak bywało, że ludzie, którzy mieli mu w tym pomóc, zebrane pieniądze po prostu sobie przywłaszczali. W żadnej mierze nie zmienia to oceny zasług i papieża, i polskiej opozycji demokratycznej.

Wróćmy do powodów braku debaty publicznej o pontyfikacie Wojtyły.

– Trzeba wziąć też pod uwagę konserwatywny charakter katolicyzmu w Polsce, zamknięty na świat i trendy po Soborze Watykańskim Drugim. Kardynałowie i biskupi, którzy brali w nim udział, zdawkowo przekazywali polskiej opinii publicznej wnioski z tego najważniejszego wydarzenia z historii Kościoła. Polacy nie wiedzieli, że w ich Kościele dokonuje się rewolucja, która przewróciła do góry nogami dotychczasowe podejście do pobożności. W tamtym czasie rozprowadzono chociażby rady parafialne, zachęcano osoby świeckie do udziału w działalności parafii. Do dzisiaj w wielu miejscach na całym świecie świeccy rządzą parafiami, proboszczowie są oddelegowani do zadań typowo kapłańskich. Poza tym w Ameryce Południowej i Afryce działalność rozpoczęły podstawowe wspólnoty chrześcijańskie, które aktywizowały świeckich i wzmacniały lokalne więzy pomiędzy katolikami. Słowem: rewizji poddano rozumienie chrześcijaństwa, zakwestionowano przywileje i przestarzałe rytuały. Zwrócono się przy tym ku Ewangelii, od której – jak uznano – Kościół coraz bardziej odchodził. I wyruszone w świat, bo dotąd zainteresowanie Kościoła instytucjonalnego skupiało się głównie na Europie Zachodniej. Wydaje się, że nasi duchowni nie bardzo rozumieli, co wówczas wydarzyło się w Watykanie, dlatego kiedy Karol Wojtyła został papieżem, polski katolicyzm był na zupełnie innym etapie niż na przykład lokalne Kościoły na Zachodzie Europy.

Takim przykładem była Szwajcaria. Co konkretnie tam się wydarzyło?

– Szwajcaria była w awangardzie zmian, jeśli chodzi o funkcjonowanie Kościoła katolickiego. Tam już w latach 70. mówiono o jak najszybszym dopuszczeniu kobiet do ołtarza w charakterze diakonek, czy w przyszłości jako księży. Powstawały rady parafialne złożone ze świeckich, świątynie były pełne młodych ludzi. W tym samym czasie niektóre lokalne Kościoły na Zachodzie przeżywały prawdziwy renesans, wręcz odbijały pole protestantom. Wszystkie te zmiany zostały zahamowane przez Jana Pawła II, co zdaniem ekspertów znacznie przyspieszyło postępującą już w tamtych rejonie świata sekularyzację. Szwajcaria jest o tyle cieka-

wa, że biskup wysłany tam przez Wojtyłę żyje do dzisiaj, jest emerytowanym arcybiskupem Lichtensteinu. Wolfgang Hass miał jeden cel: zatrzymanie wszystkich tych przemian i wprowadzenie konserwatywnej agendy. I faktycznie, udało mu się, zahamowano udział świeckich w życiu parafii, nie dopuszczono kobiet do ołtarza nawet w charakterze lektorów czy ministrantek. Dzisiaj do katedry przychodzi 20 osób na mszę z arcybiskupem, inne kościoły są niemal całkowicie puste. Ludzie całkowicie odwrócili się od zinstytucjonalizowanego Kościoła, a inni w ogóle od katolicyzmu.

Skoro nurt progresywny był związany z udziałem świeckich w procesach decyzyjnych, to jak można scharakteryzować konserwatystów? Na czym im zależało?

– Na dowartościowaniu mężczyzn i całkowitym wyeliminowaniu kobiet z życia Kościoła. Te miały zajmować się sprzątaniem i ukła-

daniem kwiatów na ołtarzu, nie mogły czytać Pisma Świętego, ani udzielać Komunii, co dzisiaj jest powszechną praktyką w krajach Ameryki Łacińskiej. Konserwatyści tak samo, jak nie cierpieli kobiet, tak samo nie cierpieli świeckich. W Szwajcarii mogli razem studiować z przyszłymi duchownymi, poznawać zagadnienia teologiczne i filozoficzne, na równi dyskutować z duchownymi na te tematy. To też nie mieściło się w głowach konserwatystów. Kiedy Haas doszedł do władzy, natychmiast odciął świeckich od studiowania teologii. Teologię mogli studiować tylko i wyłącznie przyszli duchowni. Konserwatyści chcieli za wszelką cenę wrócić do średniowiecza, wszystkie ustalenia z Soboru Watykańskiego Drugiego były dla nich ciosem. Do dzisiaj wielu z nich nie pogodziło się z mszą odprowadzianą w językach narodowych. Można od razu zapytać, dlaczego Wojtyła stał się konserwatystą? Jego wczesna dorosłość przypadła na czasy rozpędzającej się rewolucji seksualnej, której nie rozumiał i którą opisywał w kategorii zła. Uważał, że seks opętał ludzi, a jedynym ratunkiem dla świata są wartości związane z rodziną i tradycją.

Sądzis, że konserwatywny zwrot z czasu pontyfikatu Wojtyły przyczynił się do laicyzacji Europy Zachodniej?

– Nie do końca. Laicyzacja Europy Zachodniej trwała na wielką skalę już od lat sześćdziesiątych. Natomiast wszyscy moi rozmówcy, których spotykałem w Lichtensteinie, Szwajcarii czy w Holandii, twierdzili, że pontyfikat Jana Pawła II znacznie ją przyspieszył. Część osób czuła, że wiara i Kościół katolicki są im potrzebne. Sądziли też, że Kościół, wraz ze zmieniającym się światem, powinien w bardziej progresywny czy przyjazny sposób odpowiadać na nowe wyzwania i konteksty kulturowe. Kiedy Wojtyła powołał we Francji, Niemczech czy w krajach Beneluxu konserwatywnych biskupów, to ludzie w błyskawicznym tempie zaczęli odwracać się od Kościoła. To samo dziś widzimy w Polsce. Polski Episkopat w przeważającej większości ukształtowany przez Wojtyłę też zamyka oczy na zmiany obyczajowe, ekonomiczne czy społeczne, a jednocześnie na grzechy wewnątrz własnej instytucji, dlatego kościoły pustoszeją. Widać więc wyraźnie, że taktyka papieża przyniosła odwrotny skutek.

Dlaczego Wojtyła postanowił de facto zlikwidować teologię wyzwolenia?

– Ponieważ jednoznacznie kojarzy się z lewicą, a w Watykanie – jak już wspomniałem – z komunizmem, a mówiąc konkretnie

z ludźmi, którzy chcieliby w swoich krajach wprowadzić ten system. W czasie, kiedy Wojtyła został papieżem, na dalekim kontynencie Ameryki Południowej trwała wielka ofensywa Stanów Zjednoczonych przeciwko zapędom komunistycznym i lewicowym. Wówczas za amerykańskie pieniądze i przy pomocą agentów CIA lewicowi politycy i organizacje były sukcesywnie zwalczane. Stosowano przy tej okazji brutalną przemoc, wspierano zamachy stanu i wojskowych. W miejscu socjaldemokratów i komunistów pojawiali się zwolennicy wolnego rynku w wydaniu neoliberalnym. Działania Amerykanów łączyły się z kierunkami polityki Watykanu, który wspierał działania zmierzające do obalenia komunizmu w Europie Wschodniej. Zbieg okoliczności, osób i miejsc sprawił, że powstał ten zaskakujący sojusz między USA a Watykanem. Dla nas oznaczał wybawienie, dla mieszkańców Ameryki Południowej – przekleństwo.

Do „Solidarności” via Watykan miały trafić pieniądze wyludzone chociażby przez o. Marciela Maciela od bogatych wdów, z handlu narkotykami w Kolumbii, czy interesów włoskiej mafii.

Jedną z ofiar polityki Wojtyły jest s. Ivone Gebara. Opowiedz proszę o niej.

– To jedna z najbardziej znanych w tej chwili na świecie zakonnic i myślicielka związana z teologią wyzwolenia. W szczytowym momencie swojej kariery, w latach osiemdziesiątych, kierowała wydziałem teologii w Recife najbardziej progresywnym uniwersytecie w całej Ameryce Łacińskiej, z którego wychodzili znani księża, ale też świetnie wykształceni świeccy teologowie. Kierowała nim w czasach, kiedy kobiety nie miały dostępu do tak zaszczytnych stanowisk w kościelnym świecie. Szybko dał się słyszeć krzyk konserwatywnych duchownych, którzy doprowadzili do odwołania s. Gabor, została zastępczynią dyrektora instytutu. Od tamtego czasu rozpoczęło się powolne jej piętnowanie i karanie za postępowe poglądy. Z czasem Watykan zaczął wytykać jej błędy teologiczne, musiała ponownie napisać doktorat. Na tym przykładzie widać doskonale, że ludzie Wojtyły na wszelkie możliwe sposoby potrafili uprzykrzyć innym życie.

Jakie były inne sposoby?

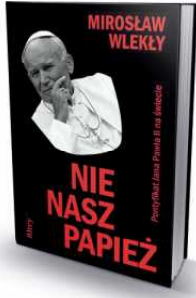
– Pozytywnym bohaterem rozdziału, którego akcja dzieje się w Kolumbii, jest ksiądz Federico Carrasquilla. Doktorat obronił w Rzymie, mógł robić w Kościele wielką karierę, wybrał jednak prace w biednych dzielnicach Medellin. To wystarczyło, by znaleźć się na czarnej liście arcybiskupa Lópeza Trujillo. Prześladował go przez całe życie, w końcu pozbawił parafii i środków do życia. I tak miał szczęście, bo niektórzy duchowni, którzy nie podobałi się arcybiskupowi, w tajemniczych okolicznościach ginęli.

Podsumowując: Wojtyła jest słusznie uważany w Polsce za bohatera narodowego, szczególnie do 1989 roku, kiedy sprzyjał

opozycji demokratycznej. Na Zachodzie zdania co do jego roli są mocno podzielone. W dosyć zawężony sposób, nie zwracając uwagi na odmienny kontekst polityczny, traktował teologię wyzwolenia. W krajach afrykańskich, o czym nie powiedzieliśmy, zakazał używania prezerwatyw, co skutkuje do dzisiaj śmiercią wielu katolików. W Europie Zachodniej jego decyzje przyspieszyły w znaczący sposób procesy laicyzacyjne. Taki bilans przedstawiasz w książce i w naszej rozmowie.

– Tak. W Europie Zachodniej pontyfikat Karola Wojtyły jest opisywany jako rozczarowujący. W Ameryce Południowej przyjęto z ulgą wybór Jorge Bergolio na papieża. Mówisz tylko o epoce do 1989 roku, ale w latach 90., kiedy Watykan nie miał z kim walczyć, na tapecie pojawiła się nieco zapomniana narracja o „zgniłym Zachodzie”, opętanym seksem i zabijającym nie-

narodzone dzieci. To jedna strona medalu. O drugiej mało kto pamięta. Wojtyła zaczął w latach 90. Dość mocno krytykować kapitalizm. Wypowiada wówczas słowa, z którymi mogliby się zgodzić jego przeciwnicy z Ameryki Łacińskiej. Było jednak za późno, teologia wyzwolenia dogorywała, księża i biskupi usunięci z Kościoła przez Jana Pawła II pozostawali w cieniu. Papież nigdy nie miał ochoty rehabilitować tych osób, choć zaczął używać ich argumentacji. Co do Afryki, to nie możemy winić bezpośrednio papieża za miliony śmierci spowodowanych epidemią AIDS. Przyczyną bezpośrednią oczywiście był wirus HIV. Natomiast wielka ofensywa, jaką przeprowadzili ludzie Jana Pawła II w latach 80. przeciwko prezerwatywom i antykoncepcji, pośrednio przyczyniła się do rozprzestrzeniania się tej epidemii. Choć szef dyksterii ds. rodziny, który stał za szerzeniem tych wszystkich „mądrości”, jak podejrzewają niektórzy w Kolumbii i Watykanie, sam umarł na AIDS. Bo co do jego seksualnej rozwiązłości i tego, że sam nie używał prezerwatyw, nie ma wątpliwości. ●



Mirosław Wleki jest reporterem, autorem takich książek jak „All inclusive. Raj, w którym seks jest bogiem”, „Tu byłem. Tony Halik”, „Raban! O Kościele nie z tej ziemi”, „Górski. Wygramy my albo oni”.

wyborcza magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA	
REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik; PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;	ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Mikołaj Chrzan, Bartosz T. Wielirski; WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski GRAFICY: Paweł Kapusta, Tomasz Lebioda, Jakub Piotrowski FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44 Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl, 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

200 lat neutralności – i koniec

DWIE TRZECIE SZWEDÓW
JEST GOTOWYCH
WALCZYĆ Z ROSJĄ

Tylko w 2022 – pierwszym roku wojny w Ukrainie – Gwardia Narodowa otrzymała 29 tys. zgłoszeń, to był 700-proc. skok. Teraz do łask wraca koncepcja „obrony totalnej”. Ale opozycja uważa, że prawicowy rząd przesadza z podsycaniem poczucia zagrożenia.

Carlos Torralba

KORESPONDENCJA
ZE SZTOKHOLMU

EL PAIS

Dwudziestu mężczyzn i trzy kobiety na komendę przyjmują pozycję, opierają karabin nieruchomo i celują w tarcze o kształcie ludzkiej sylwetki. Wszyscy są ochotnikami ze szwedzkiej Gwardii Narodowej, a większość z nich musiała na to szkolenie czekać 20 miesięcy, odkąd złożyli podanie o przyjęcie do sił rezerwowych. „Co za ambitną grupę mam tu dzisiaj!”, wykrzykuje jeden z instruktorów po pierwszej serii wystrzałów.

Ci w większości zupełnie zieloni rezerwiści ćwiczący w temperaturach poniżej zera na poligonie Kungsängen, 30 kilometrów na północny zachód od Sztokholmu, należą do dziesiątek tysięcy Szwedów, którzy wykazali zainteresowanie udziałem w ochotniczej obronie kraju – koncepcji, która po raz pierwszy została wprowadzona w życie podczas II wojny światowej, kiedy Szwecja zachowywała status neutralny, a po dekadach sięgnięto po nią z powodu rosyjskiej inwazji na Ukrainę.

„Nie ma miejsca na pacyfizm, Rosja jest za blisko”

„Nie waham się ani chwili. Jak tylko na miasta w Ukrainie zaczę-

ły spadać pociski, było dla mnie jasne, że muszę wiedzieć, na czym polega obrona kraju z bronią w ręku. Rosja jest za blisko, żeby myśleć inaczej”, mówi Max Grimborg, 23-latek z grupy odbywającej w tym tygodniu pierwsze szkolenie w bazie Centralnego Okręgu Wojskowego.

Pierwszego dnia ochotnicy mają zajęcia teoretyczne. „Np. wykład o tym, co pociąga za sobą członkostwo w NATO [sformalizowane po niemal dwóch latach procedur akcesyjnych w zeszły czwartek] i o rodzajach zagrożeń stwarzanych przez Rosję”, relacjonuje Grimborg. Kolejnych kilka dni to nauka podstawowej obsługi broni, a dzień ostatni poświęcony jest niemal wyłącznie na... sprzątanie obiektów w bazie.

Grimborg, który pracuje w branży gier wideo, wstąpiwszy do oddziałów rezerwy armii, jest teraz zobowiązany do spędzania co najmniej dziewięciu dni w roku na szkoleniach „doskonalejszych umiejętności wojskowych”. Pochodzi ze Sztokholmu, ale czuje się swobodnie w wojskowych warunkach – podobnie jak część innych nowych gwardzystów, ma już doświadczenie z regularnej służby wojskowej.

Magnus Lüning, dowódca Centralnego Okręgu Wojskowego, twierdzi, że Gwardia Narodowa

nie jest w stanie przyjąć wszystkich chętnych obywateli. Energetyczny kapitan z 40-letnim doświadczeniem w marynarce wojennej, tłumaczy, że brakuje infrastruktury, instruktorów i sprzętu do szkolenia ochotników, którzy zgłosili się w ciągu ostatnich 24 miesięcy. Tylko w 2022 – pierwszym roku wojny w Ukrainie – gwardia otrzymała 29 tys. zgłoszeń, to był 700-proc. skok względem roku poprzedniego.

Szwecja po zakończeniu zimnej wojny zredukowała armię o 90 proc.

Lüning uważa, że był najwyższy czas – wyjaśnia, że po upadku ZSRR szwedzka armia została w kilka lat zredukowana do minimum, siły lądowe o 90 proc. personelu zawodowego, a marynarka i lotnictwo o prawie 70 proc. Roczne wydatki na obronność spadły z 3 proc. PKB do ok. 1 proc. „Teraz trend ten został całkowicie odwrócony, z tym że zwrot na taką skalę wymaga czasu” – zastrzega kapitan Lüning, który oczywiście należy do tych Szwedów, którzy są entuzjastycznie nastawieni do pomysłu przystąpienia kraju do Sojuszu, co de facto kończy długą, mniej więcej 200-letnią erę neutralności Szwecji.

Cywilna rezerwa tworząca Gwardię Narodową to jeden z fila-

rów szwedzkiego systemu „obrony totalnej”. Kristina Syk z działającego od 125 lat Szwedzkiego Stowarzyszenia Obrony (Allmänna Försvarsföreningen, AFF) spędziła ostatnią dekadę na rozwijaniu i przystosowywaniu tej koncepcji do realiów XXI wieku. „Kiedy zaczynałam tę pracę, był to martwy zapis na papierze. Podstawa prawna istniała nieprzerwanie od lat 30., ale nikt nie zaprztał sobie głowy wcielaniem tej koncepcji w życie, a większość wręcz zapominała o jej istnieniu” – mówi. Dodaje, że jeszcze w połowie ubiegłego wieku „cała populacja Szwecji była świadoma, że musi się aktywnie zaangażować w przypadku wojny”. Potem przez lata dominowało raczej przekonanie o trwałym status quo w Europie i nastąpił wzrost nastrojów pacyfistycznych. Ale 10-milionowy kraj nie ma wyboru, musi polegać – oprócz profesjonalnej i nowoczesnej, ale przecież nielicznej armii – także na pospolitym ruszeniu.

O „obronie totalnej” zaczęto znów mówić na poważnie w 2014 r., gdy Rosja z użyciem „zielonych ludzików” zaanektowała Krym i rozpoczęła stan „przewlekłego konfliktu” w Donbasie.

Obowiązkowa służba wojskowa dla mężczyzn i kobiet została przywrócona trzy lata później,

• Jeden z żołnierzy armii szwedzkiej, którzy wzięli udział w manewrach NATO w Norwegii, dzień po przystąpieniu kraju do Sojuszu

FOT. REUTERS / HEIKO JUNGE / NTB



choć obecnie dotyczy jedynie niewielkiego odsetka młodych mężczyzn i kobiet z każdego kolejnego rocznika, którzy po osiągnięciu pełnoletności są selekcjonowani do służby na podstawie różnych kryteriów. Rząd planuje jednak, że liczba poborowych będzie stopniowo wzrastać przynajmniej do 2035 roku.

Nowe ministerstwo: Obrony Cywilnej

Prawicowy rząd, który przejął władzę jesienią 2022, nadał nowy impuls koncepcji „totalnej obrony”. Ulf Kristersson, centroprawicowy premier, wkrótce po objęciu urzędu oświadczył, że „cywilne elementy naszej koncepcji obrony zostały całkiem zaniedbane” i ogłosił, że jego rząd będzie promował „odporność ludności na zagrożenia hybrydowe, od cyberataków po dezinformację”. Wyrażenie zmiany podejścia było utworzenie nowego resortu: Ministerstwa Obrony Cywilnej, co jest wyjątkowym ruchem na tle reszty UE, przez Kristinę Syk określanym jako „kluczowy”.

38-letni szef tego resortu, Carl-Oskar Bohlin, podkreśla, że jego celem jest zapewnienie, że w razie potrzeby „całe społeczeństwo zjednoczy się w oporze wobec agresora”, a odpowiednie procedury i skoordynowane działania

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

zapewnią wtedy „ciągłość istnienia państwa”. Pod koniec stycznia Bohlin ogłosił np., że młodzi ludzie z branży produkcji i przesyłu energii elektrycznej będą musieli przejść odpowiednie kursy, aby byli w stanie odpowiednio wesprzeć lokalne władze w przypadku wybuchu wojny.

Kristersson, Bohlin i inni członkowie rządu powtarzali w ciągu ostatnich trzech miesięcy, że istnieje już całkiem realne ryzyko konfrontacji militarnej z Rosją w nadchodzących latach. Premier posunął się do dość ostrych słów: „Jeśli nie chcesz bronić Szwecji, zrezygnuj z jej obywatelstwa”, oświadczył w styczniu, dodając, że „szwedzki paszport to nie tylko dokument, który pozwala swobodnie podróżować po świecie”.

Liderka opozycji, była socjaldemokratyczna premier Magdalena Andersson, skrytykowała alarmistyczny ton komunikatów rządu, które jej zdaniem jedynie „generują wiele niepokoju”, zwłaszcza wśród młodych ludzi. „Sytuacja jest bardzo poważna, zgoda, ale musi być dla wszystkich jasne, że przecież wcale nie stoimy na krawędzi wojny”, zaznacza Andersson.

Obecnie w Szwecji obowiązuje prawo, które pozwala rządowi – w razie obcej agresji – zmobilizowanie od ręki każdego obywatela w wieku od 16 do 70 lat, wydłużenie godzin pracy do 60 godzin tygodniowo, zawieszenie urlopów i wszelkich usług publicznych innych niż podstawowe.

Szwedzki rząd ogłosił już, że inwestycje w siły zbrojne wzrosną w tym roku o 30 proc., osiągając wreszcie 2 proc. PKB, czyli minimalny cel ustalony przez NATO. Z badania opinii publicznej przeprowadzonego na początku roku przez resort obrony wynika, że ponad 80 proc. Szwedów popiera to zwiększenie budżetu wojskowego.

Co więcej, ostatnie sondaże dowodzą, że obaj nowi członkowie NATO, Finlandia i Szwecja, to także dwa kraje unijne, w których największa część populacji byłaby skłonna „walczyć za kraj” – tak deklaruje ok. 65 proc. badanych w obu państwach skandynawskich. To ponad trzy razy większy odsetek niż w Niemczech, Włoszech czy Hiszpanii.

NATO nie ma w planach rozmieszczania ani broni nuklearnej, ani grup bojowych na terytorium Szwecji, co podkreśla zarówno sekretarz generalny Sojuszu, Norweg Jens Stoltenberg, jak i premier Kristersson, którzy wspólnie obserwowali, jak flaga Szwecji – po ostatecznie udzielonej na to zgodzie niż w Niemczech, Włoszech czy Hiszpanii.

NATO nie ma w planach rozmieszczania ani broni nuklearnej, ani grup bojowych na terytorium Szwecji, co podkreśla zarówno sekretarz generalny Sojuszu, Norweg Jens Stoltenberg, jak i premier Kristersson, którzy wspólnie obserwowali, jak flaga Szwecji – po ostatecznie udzielonej na to zgodzie niż w Niemczech, Włoszech czy Hiszpanii.

Obecnie na wschodniej flance Sojuszu działa osiem wielonarodowych grup bojowych: od 2017 r. w Estonii, na Łotwie, Litwie i w Polsce, a od 2022 r. również w Bułgarii, na Węgrzech, w Rumunii i na Słowacji. ●

tłum. Łukasz Grzymisławski



Chiny silniejsze od kryzysu

Kurs Wielkiego Sternika

Dlaczego Zachód martwi się wskaźnikami ekonomicznymi Chin bardziej, niż Xi Jinping?

Robert Stefanicki

Jego władza jest tak pełna, że może lepić Chiny po swojemu, ignorując prawa ekonomii i poświęcając całe segmenty społeczeństwa, które nie pasują do jego planu. A jednak nie jest to powtórka z Mao Zedonga.

Czy leci z nami pilot

Zakończone w poniedziałek do- roczne posiedzenie chińskiego parlamentu, ciała pozbawionego prawdziwej decyzyjności, nie byłoby godne uwagi, gdyby nie to, że Chiny są tak mało przejrzystym reżimem, że analitycy muszą czytać nawet z bezruchu warg.

Najdonioślejszym wydarzeniem tej sesji obwołano brak konferencji prasowej premiera, co ma potwierdzać, że przewodniczący Xi Jinping rządzi Chinami jednoosobowo i coraz mniej transparentnie.

Posiedzenie obserwowano głównie pod kątem tego, czy rząd przedstawi plany wyjścia z zastoju gospodarczego i zażegnania wi- szących nad Chinami kryzysów.

Analitycy byli rozczarowani. Obietnicę utrzymania 5-proc. wzrostu PKB uznali za zbyt ambitną, biorąc pod uwagę, że reszta świata stoi na krawędzi recesji. W raporcie premiera Li Qian- ga zabrakło strategii naprawienia sytuacji na rynku nieruchomości (w lutym sprzedaż nowych miesz- kań spadła o 60 proc. w porówna- niu z rokiem poprzednim). Niko- go nie przekonała zgoda na emi- sję obligacji jako recepta na zadłu- żenie duszące samorządy lokalne. Nie podano szczegółów, jak Pekin zamierza ustabilizować rynki ka- pitałowe. Trwająca od trzech lat bessa na giełdzie dobitnie pokazu- je brak ufności inwestorów w to, że za sterami chińskiej gospodar- ki siedzi przytomny pilot.

Zagraniczni analitycy lubią wypatrywać oznak załamania go- spodarczego Chin – lecz ono ni- gdy nie nadchodzi. Złe wieści z poszczególnych sektorów są jak fale, które rozbijają się o okręt – bujają nim, ale nie są w stanie go wyrzucić.

W 2023 r. USA odnotowa- ły 2,5 proc. wzrostu PKB, Unia Europejska – średnio 0,5 proc., a Chiny – 5,2 proc. Nieźle, choć to tempo umiarkowane jak na ten kraj, zaś eksperci oczekują, że nie da się go utrzymać, ponieważ za- paść w nieruchomościach mia- dzy inwestycje, a konsumenci ograniczają wydatki. Jednak kry- zys na rynku nieruchomości trwa od lat i wydaje się, że jest rozma- sowywany w czasie: władze to do- sypią pieniędzy, to pozwolą na bankructwo jakiegoś dewelope- ra. Nie ma mowy o załamaniu tak gwałtownym, jakim było pęknię- cie bańki w USA w 2008 r. Zna- czenie nieruchomości w gospo-

darce Chin maleje, a absurdal- nie wysokie ceny mieszkań spa- dają, co jednych martwi, ale in- nych cieszy.

Jednocześnie rząd stara się uciec do przodu, zasilając pie- niężdmi fabryki z wybranych branż, zwłaszcza energii słonecz- nej, aut elektrycznych i baterii. Chiny są w nich liderem, z ponad 50-proc. udziałem w światowym rynku. Oferują sprzęt w cenach, przy których produkcja w bogat- szych krajach nie jest opłacal- na. Mamy więc rodzaj powtór- ki sprzed ćwierć wieku, kiedy to „chińska tandeta” zalała świat. Tylko teraz odbywa się to na wyż- szym poziomie technologicznym.

Przemysł czystej energii jest głównym motorem gospodarki – odpowiada za 40 proc. zeszło- rocznego wzrostu, czyli kompen- suje uwiąd rynku nieruchomości,

Xi godzi się na wolniejszy, ale bardziej zrównoważony wzrost PKB, bo w Pekinie plany dojścia do mocarstwowości są rozpisane na dekady

który w chińskim PKB miał od lat zdecydowanie zbyt wysoki udział. Zarazem w przeciwieństwie do Japonii czy Korei Południowej, które porzuciły tanią produk- cję w miarę przechodzenia na eksport o wyższej wartości, Chi- ny utrzymują wiodącą pozycję w sektorach niskokosztowych.

Drugim strategicznym impe- ratywem Xi jest zmniejszanie za- leżności gospodarki od USA i ich sojuszników. Druga strona też do tego dąży. W Ameryce postrze- ganie Pekinu jako groźnego ry- wała łączy oba bieguny politycz- ne, a niekiedy ociera się o histerię. Ostatnio Kongres przestrzegł, że chińskie dźwigi używane w ame- rykańskich portach mają mon- towane modemy do zdalnej ko- munikacji, nieudokumentowa- ne w umowie, co budzi obawy, że mogą zostać wykorzystane do śle- dzenia lub sabotażu. Z kolei pre- zydent Biden oskarżył Chiny o to, że chcą zalać amerykański rynek swoimi samochodami, „stwarza- jąc zagrożenie dla naszego bez- pieczeństwa narodowego”.

Rozdzielanie Chin od reszty świata już widać

Zachodnie rządy dają miliardy wsparcia dla branż uznawanych za strategiczne i blokują chiński import cłami, pragnąc zapobiec powtórce z początku XXI wieku, kiedy tanie chińskie towary do- prowadziły do upadku wielu fa-

bryk. Jednak trudno będzie zastą- pić ogromne moce produkcyjne, jakie oferują Chiny. Działa tam na przykład 76 terminali kontenero- wych, a w Indiach – tylko 26.

Rozdzielanie gospodarek jest już widoczne w statystykach. Handel chińsko-amerykański spadł w ub. roku o 11,6 proc., lecz i tak był to trzeci najlepszy rok w historii. Wymiana handlowa między Chinami a Europą odno- towała niewielki, jednoprocen- towy spadek. Pekin kompensuje to sobie na rynkach wschodzących: w Indiach, Rosji, Azji Południo- wo-Wschodniej, Ameryce Łaciń- skiej i Afryce. Te regiony wchła- niają coraz więcej chińskich to- warów i inwestycji. Widoczny jest za to wyraźny spadek inwe- stycji zagranicznych w Chinach i wycofywanie się części między- narodowych korporacji, jednak trudno powiedzieć w jakim stop- niu jest to motywowane polity- ką, a w jakim ogólnym schłodze- niem gospodarek. Za ten spadek odpowiadają głównie USA, ale już np. inwestycje Niemiec w ChRL były w 2023 r. rekordowe. Coraz więcej inwestują tam firmy z In- dii, Indonezji czy Singapuru. Pod- czas sesji parlamentu rząd obie- cał zniesienie ograniczeń dla in- westycji zagranicznych w sekto- rze produkcyjnym i zliberalizo- wanie dostępu do rynku usług ta- kich jak telekomunikacja i opieka medyczna.

Xi nie musi liczyć się z opinią ludu

W Chinach pojawiają się ozna- ki niezadowolenia społecznego, widoczne głównie we wpisach w mediach społecznościowych, bo tam udaje się na moment oki- wać cenzurę. Chińczycy wyrzeka- ją na bezrobocie, niskie zarobki. Jednak kontrola reżimu nad spo- łeczeństwem jest już tak ścisła, że krytyka nie staje się paliwem ru- chu antysystemowego.

Ostatnim testem były prote- sty przeciwko restrykcjom pan- demicznym. Przeciąganie suro- wego lockdownu było, jak się wy- daje, największym błędem Xi. I jedynym przypadkiem, kiedy się w końcu ugiął przed kryty- ką, choć do błędu nie przyznał. A protestujący zostali namierze- ni i zastraszeni. Ten przykład po- kazuje, że Xi może sobie pozwolić na eksperymenty i nakazowe de- cyzje, które nie przeszłyby w kra- ju choćby półdemokratycznym, jak w 2021 r., gdy zakazał korepe- tycji, jednym ruchem zmiatając sektor wart 120 mld dol. rocznie. Wielki Sternik nie musi się liczyć z elektoratem. Dla wyższego celu jest gotów poświęcić jakąś grupę – czy będą to Ujgurzy, korepety- torzy, czy inwestorzy – bo wie, że poszkodowani mogą co najwyżej krzyczeć w poduszkę.

Na korzyść Chin działa też to, że część niekorzystnych zjawisk makroekonomicznych niweluje się wzajemnie. Po wybuchu woj- ny na Ukrainie nie było tam sko-

ku inflacji, co jest korzystne dla lu- dzi, choć deflacja z zasady jest zła dla gospodarki, bo hamuje wzrost – koronnym przykładem Japonia.

Kolejny sygnał alarmowy do- tyczy wysokiego, 20-proc. bezro- bocia wśród młodych ludzi. Ale firmy narzekają, że nie ma komu pracować. Liczba ludności w Chi- nach po raz pierwszy w histo- rii zaczyna spadać, co budzi oba- wy o starzenie się społeczeństwa – lecz osłabia niepokoje dotyczą- ce bezrobocia.

Fałszywe analogie z ZSRR

Chiny doświadczają typowych kłopotów związanych z transfor- macją do modelu wysoko rozwi- niętego: spadek przyrostu natu- ralnego i wzrost odsetka pracow- ników wykształconych, których gospodarka nie od razu jest w sta- nie wchłonąć.

Analitycy wąpiący w powo- dzenie polityki Xi uważają, że sta- bilność dynamiki gospodarczej Chin jest zagrożona przez wyłą- czną państwową własność gruntów, państwowy monopol w sekto- rze bankowym, brak niezawisło- ści sądów, dyskryminację sektora prywatnego i niedostatek popy- tu wewnętrznego. Kraj centralnie sterowany (coraz bardziej) i kne- blujący krytyków (coraz mocniej) nie ma prawa być wydajny – ar- gumentują sceptyczni wobec mo- delu Xi – bo nie potrafi się dosto- sować do warunków rynkowych tak szybko, jak w systemie liberal- nym. A jak kończy się monopolis- tyczna kontrola partii nad każ- dym aspektem społeczeństwa, w tym gospodarką – pokazu- je upadek ZSRR. To jednak oczy- wiście fałszywa analogia. ZSRR był znacznie mniejszą gospodar- ką niż Chiny dziś i był znacznie mniej zintegrowany z globalnymi łańcuchami dostaw. Chińskie kie- rownictwo w latach 90. dokład- nie przestudiowało przyczyny upadku ZSRR. Nacionaliści prze- konywali, że przyczyną było na- śladowanie modelu zachodniego przez ekipę Gorbaczowa, realiści precyzowali, że było tam za mało pierestrojki, a za dużo głośności. Pekin wziął się więc za restruktu- ryzację – wedle recepty własnej, a nie Jeffreya Sachsa – natomiast z otwartości zrezygnował.

Możemy to potępiać, ale mo- del ograniczonej wolności go- spodarczej w połączeniu z re- presjami politycznymi spraw- dza się w Chinach już od półwie- cza. Centralizacja jest faktycznie mniej wydajna, lecz zdolność do szybkiej zmiany jest większa niż w modelu liberalnym: wystarczy jeden ruch palca Sternika. Cho- ciaz niekoniecznie będzie to ada- ptacja do warunków rynkowych, tylko do autorskiej wizji władcy.

O ile po upadku ZSRR nastą- pił światowy boom, o tyle upadek Chin wywołałby globalny kryzys i tylko ignorant może takiemu scenariuszowi kibicować. Chcąc nie chcąc, płyniemy z rywalem w jednej łódce. ●

Jarek Gryz

Jedną z kluczowych strategii populisty XXI wieku, czy to jest Putin, Erdogan czy Kaczyński, jest sojusz z lokalną hierarchią religijną. Oczywiście, żeby taki sojusz był opłacalny dla polityków, wydatna część społeczeństwa musi być religijna i iść za głosem duchowych przywódców. Tak właśnie jest w USA, a najbarwniejszy ze współczesnych populistów wie, jak to wykorzystać.

Spółeczeństwo amerykańskie bardzo się różni pod względem religijności od innych państw wysoko rozwiniętych. W 2016 roku aż 89 proc. Amerykanów przyznawało się do wiary w Boga (niekoniecznie chrześcijańskiego), gdy w Europie Zachodniej prawie nigdzie nie jest to więcej niż połowa.

Ale może nawet ważniejsza niż zakres jest intensywność ich wiary. Aż jedna czwarta Amerykanów twierdzi, że za sprawą Ducha Świętego doznało w życiu objawienia polegającego na duchowym odrodzeniu („born again”) w bezpośrednim kontakcie z Jezusem. Tyle samo wierzy w istnienie współczesnych proroków, a aż 40 proc. w ponowne nadejście Jezusa przed 2050 rokiem. Grupą najbardziej fundamentalistyczną są tzw. ewangelicy, stanowiący specyficznie amerykańską wersję protestantyzmu.

Amerykańscy przywódcy religijni ostrzegają już od pół wieku, że wprowadzenie przez Sąd Najwyższy w 1962 roku zakazu modlitwy w szkołach, legalizacja aborcji, akceptacja homoseksualizmu, pornografii i narkotyków wzbudzi gniew boży. Jego oznaki już widać, poczynając od zamachów 11 września 2001 roku aż do prezydentury Obamy, który dla milionów ewangelików był Kenijczykiem i ukrytym muzułmaninem mianowanym przez samego szatana. Hasła „Ameryka nad przepaścią” i „chrześcijaństwo na celowniku” stały się mantrą tej religii – a słowa Ameryka” i „chrześcijaństwo” nieprzypadkowo występują obok siebie.

Wielu Amerykanów wierzy bowiem, że ich kraj jest szczególnie, bo wybrany przez Boga. Niektórzy wręcz twierdzą, że Bóg zawarł z Ameryką przymierze, tak jak kiedyś zawarł je z Izraelem. Jim Jordan, kongresmen z Ohio, oznajmił: „Najlepsza rzecz jaka się przytrafiła światu – poza Jezusem – to Stany Zjednoczone”. Przeprowadzone w 2023 r. przez Brookling Institution badanie pokazało, że dwie trzecie białych ewangelików popiera albo sympatyzuje z tzw. chrześcijańskim nacjonalizmem.

Ich zdaniem rząd powinien ogłosić chrześcijaństwo religią państwową, bo Bóg chce, aby chrześcijanie sprawowali władzę nad całym społeczeństwem. Aż 90 proc. spośród nich uważa, że „Bóg chciał, aby Ameryka była nową ziemią obiecaną rządzoną przez białych chrześcijan”. Chrześcijański nacjonalizm nie jest ideologią niszową; co najmniej trzy obecne kongresmeni otwierają się do niego przynajmniej. W badaniu przeprowadzonym w 2022 roku aż 61 proc. wyborców Republikanów poparłoby formalną deklarację rządu, że Ameryka jest „narodem chrześcijańskim”.

Kazania głoszone co niedziela w wielu kościołach ewangelickich to groteskowe tyrady polityczne. Oto Greg Locke, pastor z Tennessee, którego Global Vision Bible Church znany jest w całej Ameryce. Sławę przyniosło mu samodzielnie nagrane wideo (18 milionów odsłon), w którym krytykował przepisy jednej z sieci handlowych dotyczące używania ubikacji przez osoby transpłciowe. W jego kościele od początku pandemii obowiązywał zakaz noszenia maseczek. Wielu parafian przechodzi na nabożeństwo z bronią u boku. Locke organizuje publiczne palenie



NAJLEPSZY przyjaciel JEZUSA

Jak to możliwe, że fundamentaliści wsłuchujący się stale w głos Boga popierają człowieka, który fantazjuje na temat seksu z własną córką

FOT. SOPA IMAGES LIMITED / ALAMY STOCK PHOTO / BE&W

książek, takich jak „promujący okultyzm” „Harry Potter”. W kazaniach otwarcie głosi najbardziej skrajne poglądy – oczywiście prot럼프owskie – nie stroniąc od teorii konspiracyjnych. I tak, „Biden to kundel opętany przez diabła, a jego syn Hunter powinien być rozstrzelany”. Tom Hanks i Oprah Winfrey to pedofile. Światem rządzi tajny anty-chrześcijański reżim. I tak dalej.

Co tydzień jego kazania słucha kilka tysięcy ludzi, a on sam ma 2,2 miliona obserwujących na Facebooku. Locke jest pastorem protestanckim, a więc nie ma zwierzchnika, który mógłby mu narzucić jakiegokolwiek poglądy. Mówi dokładnie to, co chce usłyszeć jego kongregacja i właśnie dlatego jest tak fenomenalnie popularny. W 2020 r. sam prezydent Trump zaprosił Locke’a na konwencję Partii Republikańskiej.

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu ci najbardziej fundamentalistycznie nastawieni Amerykanie nie byli zainteresowani polityką. Zmienił to Jerry Falwell i założona przez niego w 1979 r. organizacja Moralna Większość. Falwell był założycielem religijnego uniwersytetu Liberty Baptist College (gdzie Trump jest teraz częstym gościem) i jednym z najpopularniejszych kaznodziejów telewizyjnych. A przy tym organicznie nienawidził prezydenta Cartera, który choć bardzo religijny, był też niestety Demokratą.

Cele Moral Majority były dość oczywiste: obrona tradycyjnych wartości rodzinnych, wprowadzenie zakazu aborcji i homoseksualizmu, przywrócenie modlitwy w szkołach. Organizacja skupiała konserwatywnych chrześcijan, którzy uważali, że reprezentują większość Amerykanów. W szczycie swej działalności była największą konserwatywną organizacją w USA, liczącą ponad cztery miliony członków i dwa miliony darczyńców. Moralna Większość poparła Ronalda Reagana, jeszcze zanim dostał nominację Republikańską i wspierała go finansowo podczas całej kampanii prezydenckiej.

Organizacja Falwella zaczęła rozpadać się pod koniec prezydentury Reagana. Powołana na jej miejsce przez telekaznodzieję Pata Robertsona Koalicja Chrześcijańska nie odniosła już tak spektakularnego sukcesu politycznego. Wspierany przez Christian Coalition Robertson nie uzyskał nawet nominacji Partii Republikańskiej do startu w wyborach prezydenckich. Sama organizacja targana wewnętrznymi niesnaskami i problemami finansowym traciła znaczenie.

I znowu, jeden z jej założycieli Ralph Reed utworzył w 2009 r. Koalicję Wiary i Wolności, uważając ją za „21-wieczną wersję poprzedniczki”. Ale cele Reeda były ambitniejsze niż jego poprzedników. Wybór Billa Clintona na prezydenta w 1992 r. był dla wielu ewangelików dowodem na to, że Republikanie stracili wigor i nie są w stanie niczym porwać wyborców. Reed uważał, że nie umiarkowanie, ale właśnie ekstremizm polityczny może dać im zwycięstwo. Ewangelicy nie mieli być pomocnikami Partii Republikańskiej, oni mieli być tą partią.

Reed jest zręcznym organizatorem. W kampanii wyborczej do Kongresu w 2022 r. aktywiści Faith and Freedom Coalition odwiedzili 8 milionów domów, wykonali 10 milionów telefonów i przekazali instrukcje do głosowania do 100 000 kościołów. W bazie danych zebrano informacje o 40 milionach zadeklarowanych wyborców republikańskich, gdy Koalicja Chrześcijańska w apogeum swej działalności miała ich 8 milionów. Nic dziwnego, że przy takich możliwościach mobilizacji elektoratu, każdy polityk prawicowy zabiega o poparcie Reeda. Od 2010 r. Koalicja organizuje doroczną konferencję, na której pojawiają się najważniejsi politycy prawicowi. W zeszłym roku pojawili

się tam wszyscy republikańscy kandydaci nadchodzących wyborów prezydenckich. Trump przemawiał tam po raz pierwszy już w 2011 r.

Jak to jednak możliwe, że fundamentaliści religijni wsłuchujący się stale w głos Boga skłonni są popierać człowieka, który fantazjuje na temat seksu z własną córką? Co myślał o religijności Trumpa, który odczytuje nazwę rozdziału biblij jako „Dwóch Koryntian” („2 Korinhtian”) zamiast „Drugi [list] do Koryntian”? Przez dekady religijna prawica przykładała surową miarę do polityków. Z wielką zaciekleścią atakowano Clintona za jego dwulicowość i cudzołóstwo twierdząc, że taka postawa moralna dyskwalifikowała go jako męża stanu. Dla bogobojnych Amerykanów tylko polityk o kryształowym charakterze mógł być ich prezydentem. Tymczasem Trump to wręcz recydywista w popełnianiu siedmiu grzechów głównych i zasługuje na piekło znacznie bardziej niż Clinton. Moralne kalectwo Trumpa jest zbyt widoczne by je zignorować.

Dwie trzecie białych ewangelików uważa, że rząd powinien ogłosić chrześcijaństwo religią państwową, bo Bóg chce, aby chrześcijanie sprawowali władzę nad całym społeczeństwem

Ale religijni poplecznicy Trumpa wpadli na szatański pomysł: zamiast wybierać, postanowili go zaakceptować z całym dobrodziejstwem inwentarza. I tak oto, w czasie spotkania z grupą prominentnych pastorów i działaczy chrześcijańskich w czasie kampanii prezydenckiej w 2015 r., Trump został przedstawiony jako jeden z tych wielu ułomnych mężów stanu, którzy są jednak narzędziami w ręku Boga i realizują Jego plany. Niektórzy z uczestników porównywali wręcz Trumpa do biblijnych postaci Dawida i Salomona, którzy mimo wielu osobistych przywar czczeni są jako wielcy mężowie stanu. Strategia genialna, bo nie tylko nie pozwalała kwestionować charakteru przyszłego prezydenta, ale nawet uchylała jako bezzasadne pytanie o to, czy w ogóle wierzy w Boga! Jeden z fundamentalistycznych pastorów z Tennessee, Greg Hood, mówi to wprost: „Niekoniecznie chcę chrześcijańskiego prezydenta. Nie potrzebujemy nauczyciela religii. Potrzebujemy byka w składzie porcelany”. A Stephen Strang, właściciel domu wydawniczego zielonoświątkowców Charisma Media, wyjaśnia: „Żeby pokonać świeckość, potrzebujemy człowieka, który ze świeckiego świata pochodzi”.

Amerykańscy chrześcijanie mogli więc z czystym sumieniem na niego głosować. W 2016 roku na Trumpa głosowało 81 proc., a w 2020 78 proc. ewangelików.

•

Prezydent Trump w dużej mierze spełnił oczekiwania fundamentalistów. Jego najbardziej rozpoznawalne hasło „Przywróćmy Ameryce wielkość” („Make America Great Again”) to wyraz nostalgii za białą, patriarchalną, tradycyjnie chrześcijańską Ameryką. Niemal każda jego decyzja polityczna służyła przywracaniu dawnego ideału. Najbardziej chyba istotną było mianowanie trzech konserwatywnych sędziów do Sądu Najwyższego, co dało konserwatystom zdecydowaną większość. Sędziowie pełnią funkcję dożywotnio (chyba że sami zrezygnują) co oznacza, że na długie lata ten najważniejszy sąd amerykański będzie podejmował decyzje korzystne dla religijnej prawicy.

Pierwszym tego dowodem było uchylenie ustanowionego w 1973 r. federalnego prawa do aborcji i oddanie decyzji w tej sprawie w ręce poszczególnych stanów. Niemal natychmiast kilkanaście wprowadziło prawie całkowity zakaz przerywania ciąży. Drugim, równie symbolicznym gestem, było uchylenie przez Sąd Najwyższy ustawy stanu Nowy Jork ograniczającej jego mieszkańcom prawo do broni palnej.

•

Innym ważnym roszczeniem, jakie wysuwali wobec Trumpa fundamentaliści, to uchylenie tzw. poprawki Johnsona z 1954. Ten akt prawny zakazuje instytucjom korzystającym z ulg podatkowych – głównie organizacjom charytatywnym i religijnym – prowadzenia jakiegokolwiek kampanii politycznej. „Born again” nie mogą zapomnieć administracji federalnej długoletniej batalii sądowej, jaką toczyła z urzędem podatkowym Koalicja Chrześcijańska o status tax-exempt.

Dla prawicy to nie było nic innego, jak otwarta walka z religią. Trump nie miał dość poparcia w Senacie, by poprawkę odrzucić, ale wydał rozporządzenie, które frywolnie opisał jako „promujące wolność słowa i swobodę religijną”, zakazujące administracji ścigania organizacji religijnych za nieprzestrzeganie poprawki Johnsona. Pastorzy amerykańscy mogą już bez obaw otwarcie wspierać konserwatywnych polityków.

•

Trudno znaleźć jakąkolwiek dziedzinę, w której religijna prawica miałaby inne zdanie niż Trump. Ocieplenie klimatu to lewackie brednie, transplciowość to pedofilia, nielegalna imigracja to próba zastąpienia białych Amerykanów kolorowymi, a uczestnicy ataku na Kapitol w styczniu 2020 to prawdziwi patrioci. Trump wybierze raczej hipokryzję niż otwar-

cie przeciwstawi się religijnej prawicy. Na przykład według jego osobistych doradców był bardzo zaniepokojony rozwojem pandemii, ale publicznie bagatelizował jej skutki. Do dziś wielu ludzi nie wierzy, że były prezydent zaszczepił się przeciwko COVID-19.

Czego się zatem można spodziewać po Trumpie w drugiej kadencji? Kontynuacji pierwszej, ale bardziej skutecznie.

Trump był zwycięstwem w 2016 r. nieco zaskoczony i nie był przygotowany do rządzenia. Nie dość, że nie miał dość oddanych ludzi, aby obsadzić w administracji choćby tylko stanowiska polityczne, to jeszcze wiele z jego decyzji było sabotowanych przez nieusuwalnych urzędników średniego szczebla. Jedno i drugie teraz się zmieni. Po pierwsze, tuż przed końcem kadencji Trump wydał rozporządzenie zmieniające status urzędników administracji – po to, by móc ich łatwo usuwać. Po drugie, od czterech lat pracują na jego rzecz dwie poważne instytucje, America First Policy Institute i Heritage Foundation. Obie zatrudniają w sumie kilkaset osób, z których kilkadziesiąt to byli ministrowie i doradcy Trumpa. Ich zadaniem jest przygotowanie aktów prawnych dla nowej administracji oraz znalezienie lojalnych i posłusznych ludzi do rządzenia krajem.

Religijna prawica ma oczywiście kolejne żądania. Jednym z nich jest wprowadzenie całkowitego zakazu aborcji na poziomie federalnym. Trump nie ma dość głosów w Senacie, by przeprowadzić taką ustawę, ale może skorzystać z niemal zapomnianego dziś przepisu sprzed 150 lat. Comstock Act przyjęty został w 1873 r. do walki z występkiem i rozpustą. Zakazuje on przesyłania pocztą – co obejmuje też przesyłki kurierskie – wszelkich „artykułów czy rzeczy, które można wykorzystać do przeprowadzenia aborcji”. Według prawników zakaz ten może być stosowany nie tylko do nadawców, ale także odbiorców i producentów pigulek i narzędzi używanych do zabiegów. Od 1973 r., czyli od kiedy obowiązywało federalne prawo do aborcji, przepis ten był nie do wyegzekwowania. Ale po uchyleniu tego prawa w 2022 r. Comstock Act może stać się wygodnym instrumentem do wprowadzenia zakazu aborcji tylnymi drzwiami.

•

Amerykanów czekają cztery lata cywilizacyjnego regresu. Ale trendy społeczne – choć opóźnione – są w USA podobne do tych w Europie i coraz więcej ludzi porzuca religię. W 2021 r. 63 proc. Amerykanów identyfikowało się jako chrześcijanie, gdy dekadę wcześniej 75 proc. Zapewne już niedługo poparcie religijne stanie się dla polityków obciążeniem, a nie atutem. To może być ostatni taki Trump. ●



„**Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka**” – książka reportersko-eseistyczna, w której Maciej Jarkowiec płynie statkiem angielskiej ekspedycji kolonialnej z XVI wieku, podróżuje przez Kolorado, odwiedza kosmopolityczny Nowy Jork i Dolinę Krzemową, gdzie już dziś można kupić wieczne życie – dostępna na [Kulturalnysklep.pl](https://kulturalnysklep.pl) oraz w formie e-booka **na Publio.pl**

A już wkrótce ukazuje się książka Macieja Jarkowca o Hollywood.

Adam Michnik poleca Jaka kultura po PiS-ie

OTWARCI NA DIALOG? SPRAWDZAM!

Na czym polega pojednanie w życiu literackim?

Przecież nie na tym, że wszyscy zaczynają myśleć, mówić i pisać tak samo. Nasze sprzeczne racje muszą się ze sobą konfrontować

Zbigniew Mentzel*

Tekst to mowa, której fragmenty wygłosiłem podczas otwartego spotkania z zespołem miesięcznika „Twórczość” 15 grudnia 2023 r. 5 stycznia redakcja go odrzuciła z uzasadnieniem, że „wywraca całą naszą koncepcję pisma będącego przestrzenią wolną od politycznego jazgotu” i „ma charakter quasi-programowy, a tego też unikamy, czując inflację takiego dyskursu”.

Nie myślę się chyba, że wśród obecnych tu czytelników, autorów i redaktorów jestem osobą najstarszą. O istnieniu „Twórczości” dowiedziałem się z górą pół wieku temu. Wkrótce zacząłem regularnie ją kupować i czytać wszystko, co tam publikowano. Było to jeszcze „za Gomułki”, dwa lata po „wydarzeniach marcowych” 1968 r. Od niedawna studiowałem na wydziale polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Współczesne życie literackie było dla mnie jak nieznany ląd, na którym stawiałem pierwsze kroki. Przeważał tam krajobraz pustynny. Co go kształtowało, zrozumiałem nie od razu.

Na pustyni łatwiej jest przetrwać ze świadomością, że gdzieś w pobliżu znajduje się oaza z życiodajnym źródłem. W jałowym życiu literackim PRL-u takimi oazami było dla mnie kilka pism, przede wszystkim „Twórczość” wydawana nieprzerwanie przez długie lata, ale również pismo nowe – „Teksty”, dwumiesięcznik Instytutu Badań Literackich (nakład 850 egzemplarzy!).

Chodziły słuchy, że cenzura nie dopuszcza go do druku, bo w pierwszym numerze jest rubryka zatytułowana „Chłosty”, gdzie druzgoczącej krytyce poddano szarą emnencję warszawskiej polonistyki, Jana Zygmunta Jakubowskiego. Ten wyjątkowo marudny belfer był ważnym działaczem partyjnej organizacji kombatanckiej i cieszył się poparciem „narodowców” Moczara, którzy w 1968 r. jako „prawdziwi polscy patrioci” walczyli o władzę z „kosmopolitami”.

Los „Tekstów”, od początku niepewny, zawisł na włosku, gdy jakiś dygnitarz z ambasady sowieckiej poczuł się obrażony zamieszczonym tam esejem Ryszarda Przybylskiego o „Biesach” i politycznych mitach XIX-wiecznej Rosji. Każdy kolejny numer „Tekstów” mógł być ostatnim. Takie czasy.

„Twórczości” na szczęście likwidacja nie groziła. Redaktor naczelny, Jarosław Iwaszkiewicz, był postacią zbyt ważną, aby komuniści mogli się z nim nie liczyć. Znakomity pisarz o monumentalnym dorobku, przyjaciel Picassa, Nerudy, Aragona, podejmowa-



ny z honorami przez wpływowe gremia na Zachodzie, do tego laureat Wielkiej Nagrody Leninowskiej, rozpiął nad „Twórczością” parasol, pod którym chroniło się wielu pisarzy i krytyków źle widzianych przez władzę. Redakcja publikowała ścisłą czołówkę autorów współczesnej literatury, nie stroniła też od ekskluzywnych tekstów ze sfery filozofii czy socjologii.

Niektórzy mówili, że „Twórczość” jest piśmie snobistycznym. Zapewne takim była. Ale snobizm na jej czytanie doskonalili, budził zmysł hierarchii, uczył respektu dla wartości. Przekonywałem się o tym podczas lektury numerów bieżących i dawniejszych.

W domowej bibliotece miałem skarb – 13 kompletnych roczników miesięcznika z lat 1956-68. Zdobyłem je w osobiwych okolicznościach. Przez kilka miesięcy 1969 r. pracowałem jako goniec w dwutygodniku „Teatr”. Redakcja mieściła się w dużej kamienicy na Puławskiej. Jedno piętro zajmowały tam Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe z własną biblioteką.

Pisma literackie utrzymywane przez mecenat państwowy, a więc całe społeczeństwo, powinny publikować zarówno to, co tradycyjne, klasyczne, jak i to, co awangardowe

Któregoś dnia dowiedziałem się, że pani Zenia, dyżurująca na korytarzu „etażna”, wynosi na makulaturę stare czasopisma. W bibliotece na polecenie sekretarza POP przeprowadzano czystkę. Wszystkie usuwane numery „Dialogu”, „Pamiętnika Teatralnego”, „Twórczości” wpadały w chciwe ręce etażnej.

Intuicja mówiła mi, że muszę te pisma ratować. W punktach skupu za kilogram makulatury płacono złotych. Podbiłem cenę do dwóch złotych i pani Zenia zgodziła się na korzystną dla siebie transakcję. Tak oto wszedłem w posiadanie bezcennych roczników.

Cóż to była za radość przeglądać je numer po numerze. Cóż to była za rozkosz odkrywać tam eseje Leszka Kołakowskiego („Kaplan i blazen”, „Pochwała niekonsekwencji”, „Epistemologia strip-teasu”), „Trójkąta kulinarny” Levi-Straussa, „Wstęp do metody Leonarda da Vinci” Paula Valéry’ego, nowe opowiadania Iwaszkiewicza, „Robaki” Marka Nowakowskiego, wiersze Herberta, fragmenty „Miazgi” Andrzejewskiego, o której Jan Błoński pisał z nadzieją, że być może kryje w sobie tajemnicę polskiego „Faustusa” albo „Czarodziejskiej góry”...

A później, po paru latach, coś to była za duma zobaczyć na łamach „Twórczości” własne nazwisko. Dzięki rekomendacji Tadeusza Drewnowskiego, jeszcze jako student, zacząłem publikować recenzje w najlepszym polskim piśmie literackim! Nie trwało to długo. Ciągnęło mnie do tygodników i na własne życzenie przerwałem z „Twórczością” współpracę. Ale dwa, może trzy lata co miesiąc szedłem do redakcji

na Wiejskiej, schylałem się w ukłonie przed biurkiem potężnego Iwaszkiewicza, podchodziłem do mniejszego biurka Henryka Berezy i wręczałem mu recenzję.

Proszę o wybaczenie. Zebrało mi się na wspomnienia z bezpowrotnie minionej młodości. Domyślałem się, że takich wspomnień sprzed pół wieku słuchacie Państwo tu i teraz jak „Baśni o Aladynie i o lamie cudownej”. „Złóż się, złóż się, duchu złoty i rozjaśnij tę ciemność, która mnie otacza”...

Iwaszkiewicz zmarł w marcu 1980 r., na kilka miesięcy przed rewolucją „Solidarności”, która w Polsce zmienić miała wszystko, także pisma literackie. Ale już o wiele wcześniej „Twórczość” przestała być dawną „Twórczością”. W połowie lat 70., po raz pierwszy od czasu likwidacji zbrojnego podziemia i niekomunistycznych partii, powstała w PRL-u jawna opozycja. Jednym z owoców jej odważnej działalności był alternatywny „drugi obieg” – książki i pisma wydawane poza cenzurą. Największym prestiżem cieszył się „Zapis”.

W pierwszym numerze Stanisław Barańczak wyjaśniał, że pismo publikować będzie teksty autorów przeświadczonych o prawie i obowiązku pisarza ZAPISYWANIA wszystkiego, co ma dla niego wartość prawdy. „Tej prawdy – być może błędnej, mylnej, źle rozpoznanej – nie wolno ukrywać, tłumić w sobie, poddawać autocenzurze, zmiękczać, przesłaniać aluzykami, godzić się na okrojenia i okaleczenia. Należy ją wiernie zapisy-

wać – choćby po to, aby można ją było konfrontować z innymi prawdami, poddawać krytyce i wzbogacać zgodnie z własnym sumieniem i rozeznaniami”.

„Twórczość”, choć łagodniej niż inne oficjalne pisma traktowana przez cenzurę, nie mogła stworzyć pisarzom takich możliwości.

Po czterech latach od powstania KOR-u i późniejszych organizacji ruchu opozycyjnego wybuchła na Wybrzeżu sierpniowa rewolucja. „Ludzie, ziemia i maszyny razem stanęły dęba i żaden bat, nawet największy, już na to nie pomoże” – mówił Andrzej Kijowski, dobrze znany czytelnikom „Twórczości” pod pseudonimem Dedal. Wypowiedział te słowa 11 grudnia 1981 r., w pierwszym dniu obrad niezależnego Kongresu Kultury Polskiej. Dnia trzeciego warszawski Teatr Dramatyczny, gdzie Kongres się odbywał, od rana był zamknięty. W Polsce wprowadzono stan wojenny.

Rok później Kijowski, zastanawiając się, jakie zmiany zaszły w świadomości polskich pisarzy pod wpływem wydarzeń, które doprowadziły do powstania PRL-II – państwa wojskowo-policyjnego z podziemiem politycznym i kulturalnym, państwa represji i konspiracji – utrzymywał, że jeszcze ciągle przeżywają oni jedność narodową i emocjonalną, tworzącą się „w atmosferze religijno-patriotycznego uniesienia na miarę największych insurekcyjnych chwil historycznych”.

Pisarze polscy – ta ich część, która ode-rwała się ostatecznie od partyjnego establishmentu za rządów Gierka – „musieli znaleźć wspólny język z milczącą większością, w imieniu której występowali ze społecznymi i politycznymi rewindykacjami”. Milcząca większość wierna była „pewnym zasadom życia narodowego i wartościom ludzkim, które przetrwały właśnie tam, we wzgardzonej »masie«, w pospolitości życia powszedniego”.

Zawierając nowe przymierze z tą rozbudzoną do życia większością – nierzadko sobiepańską, sentymentalną, zaściankowo-konserwatywną – pisarze przyjmowali na siebie „obowiązek znalezienia dla niej właściwej, odpowiadającej jej charakterowi formy wolności”.

Czy w czasie „normalizacji” po odwołaniu stanu wojennego, a zwłaszcza później, po roku 1989, kiedy komunistyczna władza w Polsce zmuszona została ogłosić upadłość, redaktorzy i autorzy pism literackich do takiego obowiązku się poczuli? Czy próbowali znaleźć dla społeczeństwa nową „formę wolności”? Czy szukała jej „Twórczość”?

Po śmierci Iwaszkiewicza naczelnym pisma został Jerzy Lisowski, tłumacz, autor wielotomowej antologii poezji francuskiej, nad którą pracował kilkadziesiąt lat. Ale to nie z osobą Lisowskiego kojarzono „Twórczość” post-iwaszkiewiczowską. Odpowiedzialność za politykę redakcyjną pisma przejął Henryk Bereza.

Krytyk ten miał własną, oryginalną wizję rozwoju literatury polskiej, przede wszystkim prozy, której działem, zawsze w „Twórczości” najważniejszym, kierował od roku 1978, jeszcze więc za życia autora „Sławy i chwały”. Bereza proklamował „rewolucję artystyczną”, odwrót od kanonu współczesnej prozy ustalanego przez „literacki salon”.

W swoim „manifestie rewolucyjnym” zatytułowanym „Dopowiedzenia” wyjaśniał: „Rewolucja artystyczna w prozie polskiej na tym głównie polega, że martwe piękno normy zastępuje się w niej żywym pięknem tworzenia w języku”. Wybitnym rewolucjonistą był w mniemaniu krytyka dwudziestoparoletni Marek Stryk, autor „ogromnych rozmiarów” powieści „W barszczu przygód”, którą w „Twórczości” wydrukowano w kilku odcinkach.

W krótkim czasie Bereza stał się autorytetem dla młodych nieznanych prozaików, których utwory, nadsyłane mu tuzinami z całej Polski, omawiał w rubryce

„Czytane w maszynopisie”. Ponieważ forma ciekawiła go bardziej niż treść, częściowo uniezależnił swoją działalność krytyczną od cenzury. Jak wiadomo, sztuka oddana awangardowym eksperymentom co najmniej od 1956 r. była raczej w PRL-u popierana przez władze, bo odwracała uwagę od polityki. W warunkach upolitycznienia wyobraźni zbiorowej – zwracał na to uwagę Miłosz – ujawnia się jednak wewnętrzna sprzeczność właściwa sztuce wyzwolonej z obowiązków społecznych: „Utworom »oderwanym« grozi wegetariańskość, tak że nie tylko mogą być oskarżone o stosowanie uników, ale sama siła ich formy na tym cierpi”.

Cóż na to wszystko pryncypał Berezy – Lisowski? Iwaszkiewicz nazywał go w swoim „Dzienniku” „behradnym Jurkiem”. Wyrzucony z PZPR po 1968 r., Lisowski czuł, że jego pozycja w zależnym od partii czasopiśmie nie jest mocna. Politycznie bezpieczna działalność Berezy mogła być mu na rękę.

Podzielałam przekonanie, że pisma literackie utrzymywane przez mecenat państwa, a więc całe społeczeństwo, powinny publikować zarówno to, co tradycyjne, klasyczne, jak i to, co awangardowe, szukające dopiero nowych rozwiązań artystycznych. I że utrzymywanie napięcia między autorami, którzy bronią tradycji i przeciw niej się buntują, to rodzaj zobowiązania, jakie ze szczególnego statusu tych pism wynika wobec czytelników o bardzo zróżnicowanych upodobaniach. Rola, w której występować powinien każdy naczelny takiego pisma, jest rolą moderatora – prowadzącego, a wcześniej inspirującego dyskusję.

Lisowski roli takiej odegrać nie potrafił. Dla świętego spokoju oddał inicjatywę Berezie i chyba nawet do głowy mu nie przychodziło, żeby jego racje zderzyć z racjami innych krytyków, np. Błońskiego, który dla wielu początkujących pisarzy pozostawał nie mniejszym niż Bereza autorytetem.

W latach 80. w cenzurowanym piśmie trudno było rzecz jasna prowadzić dyskusję serio, ale przecież po bankructwie komunizmu i zniesieniu cenzury Lisowski pozostawał naczelnym „Twórczości” jeszcze przez 15 lat. Doskonałym punktem wyjścia zasadniczej dyskusji mógł być wtedy artykuł Miłosza „Szlachetność, niestety”, stawiający pytanie, czy w dzisiejszych czasach daje się jeszcze wierzyć w trwałą wartość literatury niezależną od jej bezpośrednich obowiązków wobec społeczeństwa. Tekst Miłosza pisany był w 1984 r., dekadę później pozostawał aktualny.

Upadek komunizmu nie tylko nie rozjaśnił krajobrazu naszego życia społecznego, ale przeciwnie, krajobraz ów zaciemnił i zagmatwał, pozbawiając go sensu określanego przez wyrazistą opozycję: totalitaryzm – demokracja. Miłosz, pisząc o „powierzchni złudnego ładu”, pod którą czai się horror, myślał o antydemokratycznej energii – poważnym zagrożeniu dla demokracji.

Lisowski zmarł w 2004 r.; podobno na łożu śmierci wskazał swego następcę: Bohdana Zadurę (rocznik 1945), poetę, a także prozaika, krytyka i tłumacza.

W znakomitym eseju „Cały ten zgiełk”, poświęconym sytuacji młodej poezji, Marian Stala zwrócił uwagę, że przez poetów lat 90., którzy odrzucili wcześniejszy o dekadę kanon poetycki, odwracając się od wierszy Herberta czy Miłosza, właśnie Zadura ceniony był najbardziej, bo próbował opisać to wszystko, co konstytuowało ich świadomość w okresie wielkiej zmiany. Świadomość ta – zauważył Stala – po roku 1989 ujawniła się poprzez liczne gesty negacji.

Nikt nie starał się jednak uzasadnić swego sądu. Chodziło wyłącznie o niechęć do „starych”. Rzecz jasna: „gesty negatywne, tak silnie obecne w młodej poezji ostatnich lat, można traktować jako punkt zerowy, początek drogi, której celem jest odnalezienie rozwiązań pozytywnych”.

FOT. ROBERT ROBASZEWSKI / AGENCIA WYBORCZA.PL



WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Kazimierz Brakoniecki*

Ogień

Ogień. Bóg Abrahama, Bóg Izaaka, Bóg Jakuba, a nie filozofów i uczonych

Pascal

Jak podpalano stos heretyka Jana Husa, poświęcony chrust podrzuciła pobożna staruszka.

Jak palono potępione książki w Berlinie, aryjski chłopiec wrzucił w ogień rodzinną Biblię.

Ognisko na Syberii ułożono z rękopisów wierszy, wrzucono Mandelsztama na podpałkę ofiarnej pieśni.

W Izraelu krzakiem ognia zakrzyczała Tora, garścią ziemi obiecanę ugaszono twarz Boga.

W Gazie w płomieniach bomby zginęła rodzina, w tunelach Koranu zwęgliła się dobra nowina.

W Moskwie patriarcha poślinił prochem ikonę i skierował ją na Kijów ognistym dronem.

Ogień. Bóg Abrahama, Mojżesza, Jezusa, Mahometa, a nie Osipa, Aiszy, Zofii, Jana, Noemi.

***Kazimierz Brakoniecki** - ur. w 1952 r. Debiutował tomem wierszy „Zrosty” (Olsztyn 1979, Pojezierze). Ostatnia książka: „Lekcja poezji dla zaawansowanych” (Mikołów 2023). Ostatnie przekłady: Kenneth White: „Ciało absolutu”, „Przymierze z Ziemią” (Forma 2022-23). Wiersz wcześniej niepublikowany.

Przypominam Państwu te ważne słowa, mając na uwadze nie tylko sytuację poezji. Negacja. Punkt zerowy. Początek drogi, której celem w życiu literackim jest odnalezienie rozwiązań pozytywnych, idei zmiany równie doniosłej jak przeobrażenia w życiu społeczno-politycznym – wszystko to powinno być obecne w myśli o polityce redakcyjnej pism takich jak „Twórczość”. Ileż możliwości, ile sposobów inicjowania i prowadzenia ważnej dyskusji dawało Zadurze chociażby to jedno zdanie Stali: „młoda poezja ostatnich lat, zawieszona pomiędzy żądaniem autentyczności doświadczenia a przeświadczeniem, iż wszystko jest tylko grą, ta właśnie młoda poezja rozpatrywana jako całościowa wypowiedź o świecie, sprawia wrażenie maszyny produkującej chaos”.

Spośród wielu wierszy publikowanych w „Twórczości” cytowany był często wiersz Zadury „Wożą, wożą generała” – zręczna parodia stylu pisania (i myślenia) Jarosława Marka Rymkiewicza. Wiersz dotyczył ekshumacji zwłok gen. Władysława Sikorskiego i wyprzedzał późniejszą sprawę „docho-dzenia do prawdy” o katastrofie smoleńskiej: „Niechaj naród wie że będzie trwać w niewoli/ Nim go prawda ekshumacji nie wyzwoli”.

Tragedia pod Smoleńskiem połączyła Polaków, pozwalając im przeżyć jeszcze jedną chwilę narodowej jedności. Tym razem była to chwila naprawdę krótka. Już z powodu pogrzebów ofiar, a zwłaszcza pochówku prezydenta Lecha Kaczyńskiego na Wawelu staliśmy się świadkami i uczestnikami konfliktu, który z czasem doprowadzić miał do głębokich podziałów i coraz ostrzejszej walki politycznej. Dwa stronnictwa, dwie partie, każda z wiernym elektoratem, toczyć zaczęły brutalne boje nie tylko o władzę, ale i o coś ważniejszego: o przyszłość narodo-

wej wspólnoty, o polski patriotyzm, polską historię, przede wszystkim zaś – o PRAWDĘ.

Tak ostry antagonizm musiał mieć wpływ na wszystkie dziedziny życia społecznego, także więc na życie literackie. Najszybciej, oczywiście, nastąpiło to w jego wymiarze instytucjonalnym. Literatura bowiem – pisał niegdyś Błoński – musi istnieć niezależnie od tego, czy ma cokolwiek do powiedzenia. „Instytucja zaś, istniejąc, powołuje do istnienia rację własnego istnienia”, w szczególności wytwarza „zarządy, redakcje, związki, wydawnictwa i wszelkiego rodzaju kolegia”.

Tak było w PRL-u, tak może być i w III RP. Rządząca większość parlamentarna kieruje się często zasadą rodem z XVI wieku: cuius regio, eius religio. Kiedy, wygrywając wybory, zdobywa władzę, dokonuje, gdzie tylko może, personalnych zmian. W życiu literackim to nie sama literatura budzi wtedy namietności, ale unoszący się nad nią wielki etatowy balon.

Wydawcą „Twórczości” jest Instytut Książki podległy Ministerstwu Kultury. W 2020 r. Bohdan Zadura przeszedł na emeryturę w niezdrowej atmosferze konfliktów zarówno zewnętrznych – z wydawcą, jak i wewnętrznych – w samym zespole redakcyjnym. Na czym te drugie polegały, próbowałem się dowiedzieć z obszernej rozmowy, jaką niedawno przeprowadziła z Zadurą Barbara Klicka („Dialog Puzyry” – numer specjalny poświęcony „przejmowaniu” instytucji kultury przez rządzący osiem lat PiS). Niestety, wypowiedzi byłego już naczelnego „Twórczości”, podobnie jak pytania jego interlokutorki, odznaczają się wybitną niejasnością. Zapis rozmowy spowija mgła niedopowiedzeń, w której toną a to jacyś „chłopcy przebiegający nogami”, a to „autorzy prężący muskuły”.

Zadura przyznaje, że redagowana przezeń „Twórczość” była pismem eklektycznym. Gdyby chciał robić pismo zgodne ze

swoimi przemyśleniami, musiałby „wymie-
nić połowę redakcji albo i trzy czwarte”. Klic-
ka dodaje, że w zespole „Twórczości” gołym
okiem widać było od lat „pęknięcia”, które
wydawca pisma „umiejętnie i właściwie roz-
poznał (...) i równie umiejętnie podsycił”.

O jakie pęknięcia chodziło, jakie prze-
myślenia miał redaktor naczelny – tego już
z rozmowy dowiedzieć się niepodobna. „By-
ły czasy, kiedy coś tam myślałem i na te-
mat swojej poezji, i na temat poezji w ogó-
le” – bąka niewyraźnie Zadura. Progra-
my i zjawiska artystyczne, które nie zosta-
ły zdefiniowane, zmierzają ku nieistnieniu.
Na znowę niewyraźności zewnętrzni ob-
serwatorzy reagują znową obojętności. Nic
w tym dziwnego. Dlaczego coś, co nie istnie-
je nawet połowicznie, ma ich obchodzić?

Winien jestem Państwu krótką samopre-
zentację. Dwie sprawy mam zwłaszcza
na uwadze.

Sprawa pierwsza – tożsamość ideowa.
Jestem konserwatywno-liberalnym socja-
listą. Jak wiadomo, określenie takie nar-
zucił światu Leszek Kołakowski. Był zda-
nia, że ten na pozór sprzeczny wewnętrznie
zbiór idei wcale nie musi zawierać sprzecz-
ności, a więc być konserwatywno-liberal-
nym socjalistą jest rzeczą możliwą. Kiedy
myślimy, jak liberal, że „dawna zasada, we-
dle której zadaniem państwa jest troszczyć
się o bezpieczeństwo, pozostaje w mocy”,
a „pojęcie bezpieczeństwa rozszerza się tak,
iż obejmuje ono nie tylko prawną ochro-
nę osób i własności, ale także różne zabez-
pieczenia społeczne”, nie znaczy to, że myli
się nam bezpieczeństwo z wolnością. „Pań-
stwo zapewnia wolność nie przez to, że coś
robi i coś reguluje, ale przez to, że nie ro-
bi nic i pozostawia różne dziedziny życia
bez regulacji. W rzeczywistości bezpieczeń-
stwo bywa pomnażane tylko kosztem wol-
ności”. Myśląc tak, możemy bez obawy po-
dać prawicę konserwatyście i ucisnąć lewicę
socjalistę.

Sprawa druga – sympatie i antypatie po-
lityczne. W ostatnich wyborach parlamen-
tarnych nie po raz pierwszy oddałem głos
na Koalicję Obywatelską i jej lidera Donalda
Tuska, polityka europejskiego formatu. Oce-
niając dwa najsilniejsze stronnictwa wal-
czące w Polsce o władzę, Zjednoczoną Pra-
wicę i jej przeciwników, zastanawiam się za-
wsze, w jakiej mierze instytucje i formy ży-
cia zbiorowego, które każde z owych stron-
nictw preferuje, wyzwalają, a w jakiej krę-
pują najżywotniejsze siły twórcze w spo-
łeczeństwie – ekonomiczne, intelektualne, ar-

*Przejęcie „Twórczości” przez nominatów Zjednoczonej Prawicy
wywołało oburzenie „środowiska”, w którym pisma tego
dawno już na ogół nie czytano. Mateusz Werner, nowy naczelny
miesięcznika, nie zasłużył sobie na drwiny*

tystyczne. Pod tym względem nie mam wąt-
pliwości, że mój wybór jest właściwy.

W 2021 r. przejęcie „Twórczości” przez no-
minatów Zjednoczonej Prawicy wywoła-
ło oburzenie „środowiska”, w którym pisma
tego dawno już na ogół nie czytano. Bliska
mi „Wyborcza” opublikowała na ten temat
płytki, arogancki artykuł poety, Krzyszto-
fa Siwczyka (rocznik 1977). Czytamy w nim:
„Henryk Bereza na szczęście umarł przed
destrukcją jego ukochanej redakcji”.

Destrukcją? Niezależnie od tego, co my-
ślimy o polityce kulturalnej byłej władzy,
Mateusz Werner, nowy naczelny miesięcz-
nika, nie zasłużył sobie na drwiny, jakich
mu Siwczyk nie szczędził. W ciągu dwóch
lat redagowana przez Wernera „Twórczość”
ogłosiła wiele materiałów interesujących,
np. „Dziennik 1970” Juliana Strykowski-
ego, nieznane listy Gołubiewa, Tuwima, Stachu-
ry, Adama Tarna, esej Andrzeja Franasz-
ka o „trudnej przyjaźni” Miłosza z Iwaszkie-
wiczem czy kilka tekstów Jarosława Kuisza,
naczelnego „Kultury Liberalnej”.

Dla Siwczyka jest to dowód na „diabo-
liczność pomysłu” – „wychować nie hunwe-
binów, nie wierszokletów i topornych pro-
pagandystów, ale w miarę wyrafinowanych,
i przez to tym groźniejszych, intelektualis-
tów”. Jednym zdaniem, im lepsze jest pi-
smo Wernera, tym gorzej.

Historię i teraźniejszość pism (a także in-
nych instytucji) „przejętych” przez Zjedno-
czoną Prawicę warto rozpatrywać, pamię-
tając o różnicach, jakie je dzieliły i dzielią.
„PRZEJĘTE – czytamy w „Dialogu Puzyry”
– czyli takie, w których na stanowiskach kie-
rowniczych obsadzono osoby bez społecz-
nej i środowiskowej legitymacji, narzucone
przez Ministerstwo Kultury. Takie, w któ-
rych zarządzanie zespołowe zamieniono
na autokratyczne, i takie, w których z daw-
nego rozmachu programowego nie zosta-
ło ani śladu”.

Czy Mateusz Werner – krytyk filmo-
wy i eseista, doktor nauk humanistycz-
nych (doktorat o nihilizmie i nowoczesno-
ści obroniony w IBL-u), tłumacz Heideggera

– to „osoba bez społecznej i środowiskowej
legitymacji”? Czy „Twórczość”, zanim zosta-
ła „przejęta”, miała wyrazisty program i to
realizowany z „rozmachem”? Przywoływa-
na już rozmowa z poprzednim redaktorem
naczelnym pisma świadczy o czymś zgo-
ła przeciwnym.

Sytuacja „Twórczości” zasadniczo róż-
ni się od sytuacji „Dialogu” – miesięcznika,
w którym rozmach programowy rzeczywi-
ście był widoczny. Dobrze, że jego zespół re-
dakcyjny ma dzisiaj świadomość, że „oczy-
wistą stawką myślenia o przejęciach jest to,
jak wyobrażamy sobie odzyskiwanie”.

Podoba mi się stara anegdota o Talleyran-
dzie. Patrząc z balkonu na zrewolucjonizo-
waną ulicę paryską, miał klasnąć w dłonie
i zawołać: „Nasi górą!”. „Jacy – nasi?” – spy-
tano go. „A to – zobaczy się jutro”.

Kim są w czasie zimnej wojny polsko-
polskiej „moi”, wiem dzisiaj, ale wiedzia-
łem wczoraj i przedwczoraj. „Twórczość”,
pismo, w którym z dawnej „Twórczości”
Iwaszkiewicza została już chyba tylko ru-
bryka „Książki nadesłane”, z pewnością nie
była „moja”. Werner i jego zastępca, Prze-
mysław Dakowicz, mają zupełnie inną niż
ja tożsamość ideową i polityczną. Dlaczego
zatem – mógłby ktoś zapytać – po 50 latach
nieobecności zapragnąłem znowu w tym
miesięczniku publikować? Odpowiadam:
ależ właśnie dlatego. Dlatego, że jesteśmy
tak różni, że tak wiele nas dzieli.

Po 15 października 2024 r. szczęśliwie
znalazłem się wśród tych, którzy wygrali wy-
bory i partię Kaczyńskiego odsunęli od wła-
dzy. Taka wygrana do czegoś zobowiązuje.

Mówimy dużo o potrzebie rozliczenia,
naprawienia krzywd i – rzecz najważniej-
sza – pojednania. Na czym polega pojedna-
nie w życiu literackim? Przecież nie na tym,
że wszyscy zaczynają myśleć, mówić i pi-
sać tak samo. Wprost przeciwnie. Pojed-
naniu służy każde forum, na którym nasze
sprzeczne, być może mylne, racje konfron-
tują się, a nie mijają wrogo albo obojętnie.

Jedną ze swych książek, wybór „wypo-
wiedzi programowych”, Dakowicz zatytuło-

wał „Obcowanie”. Bylbym rad, powiada, gdy-
by czytelnik dostrzegł postawę, która pozwo-
liła je ogłosić – „otwarcie na dialog, gotowość
do uczestniczenia w sporze o wartości zasad-
nicze, tęsknotę za czymś, co usiłuje nazwać
paradoksalne słowo widniejące na okład-
ce książki”.

Pełna zgoda. Ja także uczestniczyć pra-
gnę w sporze o wartości zasadnicze. Ja
również odczuwam tęsknotę za OBCO-
WANIEM. Kłopot w tym, że otwarty dia-
log znacznie łatwiej zalecać, niż go prakty-
kować. Konieczna jest w tym celu nie tylko
zmiana języka, ale i zmiana mentalna: odej-
ście od chronicznej nieufności, przekona-
nia, że adwersarz chce nas oszukać, potrak-
tować instrumentalnie, wykorzystać dla ce-
lów politycznych.

Czy takie zmiany są obecnie możliwe?
Odpowiedź twierdząca świadczyłaby o na-
iwności. Próbować jednak warto i swoją wy-
powiedzią, której druk „Twórczości” na po-
czątek proponuję, mówię: sprawdzam. Czy-
nię to bez złudzeń, ale nie bez nadziei.

Kazimierz Wyka, pierwszy naczelny „Twór-
czości”, mówił, że gdy niszczone są instytu-
cje kultury polskiej mające piękne tradycje,
odczuwa fizyczny ból. Niszczyć, likwidować
jest najłatwiej. Zmienić, ale utrzymać, to za-
danie trudne.

Miesięcznik „Twórczość” powstał
w 1945 r. Jego wiek jest podeszły, piękny.
Urodzony w połowie minionego stulecia,
wiem, że również po siedemdziesiątce moż-
na zmienić życie na lepsze, ciekawsze, bar-
dziej dla drugich pożyteczne. Potrzebna jest
do tego silna wola zmiany – przywilej du-
chów niespokojnych. ●



*Zbigniew Mentzel

• ur. w 1951 r., prozaik, eseista i krytyk. Wydał
m.in. powieść „Wszystkie języki świata” (finał
Nagrody Nike), dwa tomy rozmów z Leszkiem
Kołakowskim „Czas ciekawy, czas niespokojny”
i jego biografię „Kołakowski. Czytanie świata” wy-
różnioną Nagrodą im. Jana Długosza za najlepszą
książkę z zakresu humanistyki w roku 2021.

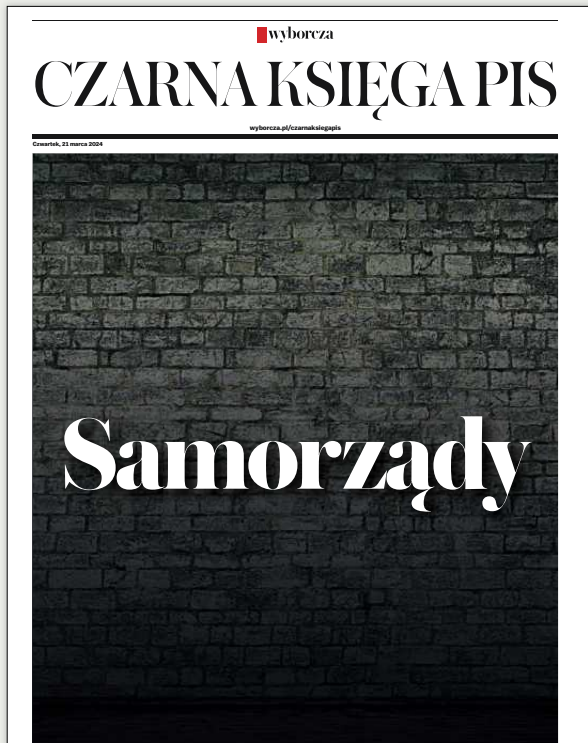
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KRAJ/34307260

W CZWARTEK W „WYBORCZEJ”

CZARNA KSIĘGA PIS Samorządy

- Jak PiS próbował rozkochać w sobie samorządy
- Jak PiS wykańczał finansowo samorządy



Co mnie urzekło

Biała armia

Szusując na nartach w tureckiej Anatolii zobaczyłem nagle dziwne miasteczko ze śniegu

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK

Turcja kojarzy się Polakom głównie z letnim wypoczynkiem na plaży nad ciepłym morzem. A przecież większość powierzchni Anatolii pokrywają wysokie góry, w których jest co robić również zimą. Nie chodzi tylko o odwiedzin w bajkowej Kapadocji z labiryntami wykuwanymi przez stulecia w przedziwnych ostańcach skalnych. Zima to bowiem sezon narciarski, któremu Turcy poświęcają w ostatnich latach coraz więcej uwagi, a nawet pasji wypoczynkowej. Tamtejsze ośrodki dla amatorów zjeżdżania po śniegu są coraz lepiej zorganizowane i nie odbiegają od często przereklamowanych, a na pewno dużo bardziej zatłoczonych, słynnych ośrodków alpejskich. Wiem, bo poznałem jedno i drugie. Tym razem jednak szusowaniu ze stoków wygasłego od niemal siedmiu tysięcy lat stratowulkanu Erciyes Dağı, który jest najwyższym szczytem środkowej Anatolii (3917 m n.p.m.), towarzyszyła obserwacja sytuacji zupełnie zaskakującej. Zaraz po przyjeździe naszą uwagę zwróciła niewielka dolinka częściowo zapełniona labiryntem rozmaitych konstrukcji zbudowanych ze śniegu. Gdyby były to trwałe budowle kamienne, to od dawna byłyby obiektem badań archeologicznych, jako pozostałość tajemniczej prastarej cywilizacji.

Ale to był tylko śnieg przemyślnie spiętrzony w przedziwne konstrukcje. Żeby nie ich wielkość, to można by go uznać za wielki plac zabaw. Nie pojawiło się tam jednak ani jedno dziecko, tym bardziej że teren był trudno dostępny. Obsługa hotelowa niejasno wiązała to miejsce z wojskiem, ale przypisywanie armii zabawy w śniegu brzmiało niepoważnie.

Tymczasem to było właściwe wyjaśnienie tego niezwykłego miejsca. Trzeciego dnia teren zapełnił się bowiem ludźmi ubranymi w czerwono-czarne kombinezony. Przytaszczyli wielkie plecaki, do których przywiązane były karimaty i krótkie łopaty. Okazało się, że to żołnierze, a dokładniej żandarmi tureccy, którzy odbywali obowiązkowe ćwiczenia z przetrwania w trudnych warunkach zimowych. Zapewne to oni dzień wcześniej uczyli się z determinacją trudnej sztuki jazdy na nartach. Tym razem mieli założyć doraźny obóz zimowy.



FOT. PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK

Najpierw rozbili rząd otoczonych murkami śnieżnymi małych namiotów, które stanowiły zaplecze magazynowe i alternatywę mieszkalną. Potem zaczęli naprawiać starsze budowle śnieżne i dostawiali do nich ścianki zasłaniające wejścia przed wiatrem. Najciekawsza była jednak technika budowy domków mieszkalnych. Niska jakość tamtejszego śniegu uniemożliwia wznoszenie konstrukcji słynnego typu „igloo”, stosowanego przez grenlandzkich Inuitów. W tureckich górach nie da się bowiem wycinać ze zbitego śniegu precyzyjnie ukształtowanych cegiełek, z których można by ustawiać koliste ściany zwieńczone mini kopułą.

Podpatrzona tu technika też jest ciekawa. Polega na zgarnianiu śniegu i usypywaniu go w utwardzany deptaniem kopiec. Głębokość śniegu sprawdzał dowódca oddziału, wbijając w szczyt kopca tyczkę służącą normalnie do poszukiwania ofiar lawin. Po osiągnięciu odpowiedniej wysokości kopca, zaczynało się jego wydrążanie od

dołu. W jego podstawie pracował na kolanach żołnierz uzbrojony w krótką łopatę, wycinając okrągły otwór wejściowy. Następnie wkopywał się coraz dalej w głąb kopca, kształtując w jego wnętrzu małą powierzchnię mieszkalną. Z wyrzucanego ze środka śniegu jego koledzy budowali półokrągłą ściankę, chroniącą wejście przed zasypaniem przez ewentualną wichurę śnieżną.

Jeszcze tylko na środku obozu przygotowano miejsce na otoczone niskim murkiem ognisko dla nocnej warty i można było pójść spać. Wczesną nocą po dwóch, trzech żołnierzy wczolgiwało się do śnieżnych domków. Niestety, nie mogłem zajrzeć do środka, ani sprawdzić, jaka panowała tam temperatura, kiedy na zewnątrz było – 6 st. C. Ale bezchmurna księżycowa noc pozwalała obserwować pilnowane cały czas przez grzejących się przy ognisku wartowników obozowisko.

Zaraz po świcie, około siódmej rano, mieszkańcy śnieżnych domków zaczęli wypelzać ze swoich legowisk. Nie wyglądali na zmarzniętych, za to na bardzo z siebie zadowolonych. Zdali przecież ważny test przetrwania nocy w warunkach dobrze symulujących śnieżną głuszę. Po trzech dniach przyjechał następny oddział przetrwanio- wy. Nie mając już zbyt wiele prac konstrukcyjnych, żołnierze skupili się na estetyce obozu i pokryli powierzchnie budowli siatką linii, które z daleka udawały grenlandzkie konstrukcje cegiełkowe.

Ciekawe, czy nasza armia organizuje podobne ćwiczenia z przetrwania? ●

Zaraz po świcie, około siódmej rano, mieszkańcy śnieżnych domków zaczęli wypełzać ze swoich legowisk. Nie wyglądali na zmarzniętych, za to na bardzo z siebie zadowolonych

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

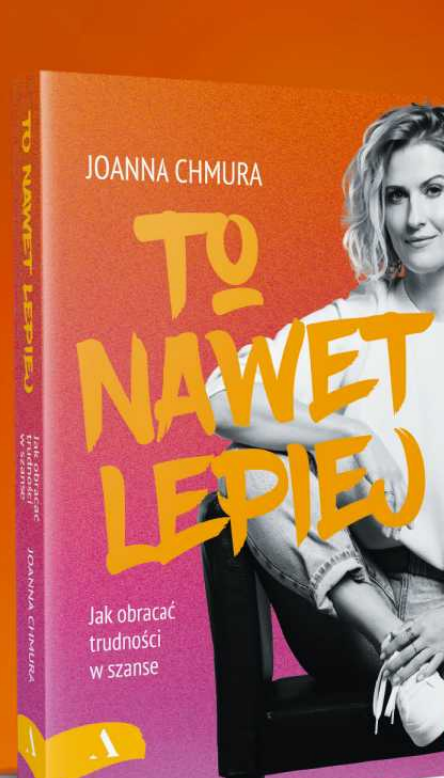
KRAJ/34295976



Jak w zmianach i nieoczekiwanych sytuacjach widzieć szanse, a nie trudności?

„Kiedy dzieje się coś nowego, zaskakującego, trudnego albo pięknego, lęk ma prawo się pojawić. To, do czego, nie ma prawa, to kierować naszym życiem.”

JOANNA CHMURA



JOANNA CHMURA

TO NAWET LEPIEJ

Jak obracać trudności w szanse



FOT. ARTUR WIDAK / NURPHOTO / VIA AFP



Upadanie IWSTAWANIE

Noblistka: kiedy jesteś w przemocowym związku, nawet kiedy z niego wychodzisz – boisz się mężczyzn. Ale gdy dotrzesz do siebie – nie boisz się już nikogo.

– Czy jeśli muzułmanka zostanie zgwałcona, jej ból będzie inny od chrześcijanki? Czy jeśli zginie jej dziecko, będzie cierpieć inaczej? – pyta mnie Leymah Gbowee, aktywistka, która dostała nagrodę Nobla. Za gniew.

Kiedy wychodzi na scenę, zazwyczaj jest w pełnym „rynsztunku”: ma na sobie barwną suknię i turban lub wymyślny tekstylny zawój, szpilki ze szpicem, wielkie kolczyki (podczas naszej rozmowy w załomach jej dekoltu i w uszach błyszczą zawieszki w kształcie Afryki), kolorowe oprawki okularów. Tak też wyglądała na scenie w Dworze Artusa w Toruniu, dokąd przyleciała na finałowe spotkanie Roku Mikołaja Kopernika. Opowiadała o specyficznej „kopernikańskiej rewolucji” – o tym, jak można zmienić świat uwalniając pasję, twórczość i inteligencję dziewcząt – czym zajmuje się jej fundacja.

UBRAŁY SIĘ NA BIAŁO I ZASIADŁY PRZED UZBROJONYMI ŻOŁNIERZAMI

To jednak nie za edukację dziewcząt ta rozsadzająca swoją energią pomieszczenia, storytellerka dostała w 2011 Pokojową Nagrodę Nobla. Dostała ją za gniew. Za to, że nie mogąc już znieść dyktatury w Liberii, nie mogąc znieść wojny, w której ginęły dzieci-żołnierze, a gwałt był narzędziem, wojny, która sprawiła, że jej najlepsza przyjaciółka naznaczona była jako jej wróg tylko dlatego, że pochodziła z innej grupy etnicznej – zmobilizowała tysiące kobiet różnych wyznań i grup etnicznych by opowiedziały się za pokojem, co doprowadziło do ostatecznego zaprzestania działań wojennych i wyboru pierwszej w Afryce kobiety – Ellen Johnson Sirleaf – na głowę państwa.

– Gdy rozpoczynałyśmy protesty w 2003 roku, 13 lat po rozpoczęciu wojny, nie miałam pojęcia, dokąd to zmierza – śmieje się noblistka. Mówi, że przed rewolucją przeczytała tylko jakiś artykuł o tym, jak kobiety różnych wyznań w Bośni i Hercegowinie się zjednoczyły, by odzyskać poczucie godności. I postanowiła budować ruch kobiet na współczuciu. Miała też sen: w tym śnie coś kazało jej się modlić z kobietami o pokój. A nie była wtedy grzeczną chrześcijanką – jak mówi, dzieci miała z nieprawego łoża, a piwa potrafiła wypić morze. Zebrała siedem kobiet, które tak jak i ona chciały zakończyć piekło Liberii, a potem ich grupa rosła i kiedy dobiły do 250 przekonanych chrześcijanek i muzułmanek ubrały się na biało i zasiadły przed uzbrojonymi żołnierzami strzegącymi siedziby prezydenta modląc się – czasem poszcząc (ja nie pościłam, bo lubię lubić jedzenie) – pisząc oświadczenia i rozsyłając je do gazet i ambasad. – Czy kula żołnierza, trafiając, zna różnicę między chrześcijaninem a muzułmaninem? – komentuje noblistka pytana o fenomen zjednoczenia kobiet różnych religii.

OJCIEC DAŁ

Dlaczego to właśnie ona została liderką tych protestów? – Nie mam pojęcia – Gbowee opędza się od ta-

kich pytań – No i przecież zrezygnowałam z tej funkcji z tysiąc razy!

Bo zanim to wszystko się zdarzyło, Gbowee zyskała, straciła i znów zyskała swój głośny, śpiewny i pełen mocy głos.

Gbowee: – Pytano mnie już o wszystko: jak rozwiązać problemy palące świat, o moją wiarę, o mój toksyczny związek i życie miłosne. Życie człowieka, który z dnia na dzień staje się liderem czy liderką – zwłaszcza globalnym – wymaga przejrzystości. Jeśli będziemy coś ukrywać jest taka szansa, że ktoś to odkryje i zacznie nas tym szantażować – lepiej jest więc zawsze mówić prawdę.

Wyrastała w biednej części stolicy Liberii, była jedną z pięciu siostr (wtedy musiałyśmy się nauczyć, jak dawać kuksańce”). Obok domu jej rodziców mieszkała babcia – kapłanka i jej pierwsza nauczycielka niezależności, tolerancji i feminizmu („wydano ją za mąż w wieku lat 13 i niedługo później urodziła dziecko, a kiedy mąż ją uderzył, wyszła z jego domu opuszczając dziecko, a potem wychodziła za mąż jeszcze trzy razy...”). Zmarła niedawno w wieku 115 lat.

Jak mówi Gbowee, jest córką wielu plemion i społeczności, w tym Chreścijan i Muzułmanów. Wszyscy w ich sąsiedztwie razem opiekowali się dziećmi i obchodzili swoje święta – Boże Narodzenie czy Ramadan, nie było różnicy. – Dorastałam w poczuciu Ubuntu – mówi. Ubuntu to afrykańskie słowo przypominające, że „jestem tym, kim jestem, dzięki temu, kim wszyscy jesteśmy”.

– Ja właściwie zawsze miałam głos – opowiada mi w Toruniu, podczas gdy dwójka jej dorosłych dzieci siedzi z tyłu na kanapie i przysłuchuje się głosowi matki. – Tylko nie zawsze go używałam. Ludzie czasem myślą – i może słusznie – że w Afryce dziewczynki mogą być widziane, ale nie powinny być słyszane: to nie było moim udziałem. Mój ojciec, który był jedynakiem, był zachwycony, że ma dużo dzieci: to on właśnie nam dał głos. Gdy wpadałyśmy w tarapaty, za każdym razem pytał: wytłumacz mi dlaczego to zrobiłeś/zrobiłaś. Strasznie mnie to denerwowało, ale już jako dorosła osoba zrozumiałam: on nas nie „przepytawał”, on nam dawał odpowiedzialność. „Pogadajmy o tym” – mó-

wił, więc kiedy poszłam do liceum, zawsze miałam swoje zdanie na każdy temat. A potem przyszła wojna – Leymah się zasępia. – Przemoc, śmierć, okropne rzeczy. Po raz pierwszy zobaczyłam martwą osobę na ulicy, do tej pory mieszkalam w takiej bezpiecznej grupie, wszyscy chronili dzieci – smarowano nam specjalny znak na czole, który miał nas chronić przed widzeniem złych duchów. I pierwsza śmierć, którą zobaczyłam w wieku lat osiemnastu to ta osoba, którą na ulicy rozrywały psy. Do tego momentu byłam naprawdę wychowywana w bezpieczeństwie, w mocy – nie byłam więc typową „afrykańską dziewczynką”.

– Powiem ci więcej: w mojej grupie etnicznej dokonuje się FGM – mówi, a ja czuję jak oddech mi przyspiesza, FGM to bowiem skrót na okrutny proceder zwany też niesłusznie „obrzezaniem”, czyli female genital mutilation – nacinanie lub usuwanie niektórych lub wszystkich części żeńskich narządów płciowych – I kiedy przyszła nasza kolej, mój ojciec powiedział: „nie”.

MAŻ ODEBRAŁ

Ale potem przyszła wojna. – A ja obraziłam się na cały świat: po co chodzić do szkoły, na uniwersytet, jeśli jedna kula może przekreślić lata twoich starań, skoro wszystko, w co wierzyłam, było nieprawdą? – opowiada. – Z tej złości weszłam w związek, który był przemocowy, miałam trójkę dzieci ot tak – Leymah pstryka palcami – a potem jeszcze czwarte. To przez wojnę i ten związek straciłam głos, pewność siebie, poczucie tego, kim jestem – opowiada.

– Kiedy wyszłam z tej przemocowej relacji, nie miałam wykształcenia, byłam „tylko” matką czwórki dzieci. Zajął mi chwilę powrót do jakiegś samooceeny, do siebie samej. Myślę, że właśnie zwieńczeniem tej podróży było to, że zostałam liderką protestów w naszym kraju. Bo wiesz, kiedy jesteś w przemocowym związku i nawet kiedy z niego wychodzisz – boisz się mężczyzn. A jak docierasz do siebie, do swojej siły – nie boisz się już nikogo: patrzyłam na mężczyzn z bronią, którzy mogli zrobić mi krzywdę i się ich nie bałam.

Chcę zostać komisarką
Organizacji Narodów
Zjednoczonych.
Żeby nią potrząsnąć

Opowiada o spotkaniu z nieznaną kobietą, która zobaczyła ją płaczącą nad swoim losem i nowonarodzonym dzieckiem. Podczas gdy Gbowee rozplywała się w swej bezradności, ta najpierw zaopiekowała się nią, a potem solidnie ochrzaniła i kazała się uczyć, rozwijać po to, żeby dać lepszą przyszłość dzieciom. Po latach noblistka podkreśla – Bardzo łatwo mówi się „nie potrafię, nie umiem” – i opowiada kolejną historię, która wzbudziła jej głos. – Poszłam więc do szkoły i uczyłam się, żeby zostać pracownicą społeczną, ale przez cały semestr nie udzielałam się na lekcjach. Jednak gdy przyszło do pisanie pracy semestralnej, wiedziałam, że moja jest na A. Jednak dostałam F. Poszłam do profesora i powiedziałam, że niesprawiedliwie mnie ocenił, pewnie dlatego, że nie widział mojej aktywności na zajęciach – rozsierdziło go to, ale przeczytał moją pracę i przyznał mi rację. Kiedy wychodziłam z jego gabinetu powiedziałam do siebie „Leymah, nikt cię nie oceni na podstawie twojego milczenia”.

Ale uściśla: – Słyszymy od ekspertów: „wysłij tę dziewczynkę do szkoły – dasz jej nowe życie”. Takie myślenie zakłada, że jeśli tylko dziewczynka trafi do klasy, już ma moc. A to nieprawda: owi eksperci nie biorą pod uwagę jej religijnych czy duchowych rozterek, nie biorą pod uwagę bitew socjoekonomicznych, które musi stoczyć jej ro-

nować, podczas gdy te dobre będą prowadziły do transformacji. I właściwie w każdym społeczeństwie kiedy kobiety są złe, dochodzi do przemian.

Ustalamy, że kiedy mówimy: „przyszłość jest kobietą”, nie mamy na myśli dyskryminacji mężczyzn, lecz pewne cechy, zwane kobiecymi. – Chodzi o to, żeby był to świat, który przywraca godność – mówi Gbowee. – Ludzie często mi mówią „o, bo kobiety są bardziej spokojne”, odpowiadam „o nie! ale są bardziej rozważne!”. Widzę to tak: jeśli to kobiety są odpowiedzialne za dzieci i inne osoby, muszą działać innymi metodami niż mężczyźni, którym zależy czasem na konflikcie i władzy. Ludzie tłumaczą sobie to jako „spokojne” – o nieee! – nie zgadza się cała soba noblistka. – To rozważność, namysł, odpowiedzialność, troska, które przywracają ludziom godność. Pokój przywraca ludziom godność. Kobiety chcą pokoju. I jeśli będzie ich faktycznie więcej przy władzy i będą dbać, by ludzie czuli, że są wolni, że mają głos, że mogą się uczyć, że mogą marzyć i że przynależą – wtedy obniża się frustracja i prawdopodobieństwo, że będą przemocowi, że będą odrağowywać.

Dlatego musimy dawać kobietom miejsce przy stołach gdy toczą się negocjacje pokojowe, bo one nie będą tylko dbały o reparację, lecz o to, jak odbudować wspólnotę. – podkreśla Gbowee.

która została utworzona w 2006 roku przez sześć laureatek: Mairead Corrigan Maguire, Rigobertę Menchú Tum, Jody Williams, Shirin Ebadi, Tawakkol Karman oraz właśnie Gbowee w celu wspierania kobiet pracujących na całym świecie na rzecz pokoju, sprawiedliwości i równości. W czerwcu 2022 roku Gbowee, Karman z Jemenu i Jody Williams z USA – przyjechały do Krakowa, a potem pojechały do Ukrainy. Podczas tamtej wizyty Williams, wspinała hipiska która otrzymała Pokojową Nagrodę Nobla w 1997 roku za pracę na rzecz zakazu stosowania min przeciwpiechotnych tak opowiadała mi w wywiadzie dla Gazeta.pl o ich pracy: – Sensem działania naszej organizacji jest używanie wszelkiego wpływu i zasobów, które mamy ze względu na otrzymaną nagrodę, żeby zwrócić światła reflektorów na pracę kobiet. Przede wszystkim w strefach konfliktu, bo to tam mężczyźni biegają ze swoją bronią i wysokim testosteronem, a kobiety starają się zbudować jakieś bezpieczne życie, zachować, uratować to życie na wszelkie sposoby. No wiesz, nadal nie mamy równości bo mężczyźni nadal myślą, że rządzą światem i to przekonanie trudno będzie zmienić.

Pytam Gbowee o wojny. – Powiem ci coś: brak przebaczenia jest zabójczy. Taki koncept, że „nigdy nie możemy odpuścić tej grupie ludzi” jest tak zabójczy, jak chęć ze-

– Jeżeli tylko nie jestem w podróży, biorę sobie dzień wolny i spędzam go na czym tylko mi się podoba. No dobrze, niektórzy twierdzą, że to nadal praca, bo znalazłam sobie nową posługę, opiekuję się nowonarodzonymi dziećmi w szpitalach, ale ja to kocham – mówi z emfazą. – A o to chodzi w moim self-care, żebym robiła rzeczy, które kocham: bez towarzystwa kamer, zawierania umów, przemawiania. No i są takie dni wolne, które spędzam z przyjaciółmi, czasem ze starszą, ale są też takie, kiedy idę do SPA czy na zakupy.

Ma wiadomość, że większość aktywistów, też w Polsce, nie jest godziwie opłacana, są czymś, co nazywam „ociękami gąbkami”. Znam ten przykład: Leymah pokazuje go na chusteczce – lejąc na nią wodę i ją przelewając. Demonstruje, że nie można chłonać (traumy, problemów innych ludzi, rzeczy do zrobienia) – nie wyciskając (siebie!) od czasu do czasu.

– To, co robią aktywiści to przecież sprzątanie bałaganu, więc tym bardziej metafora z gąbką jest na miejscu – mówi. – Podobnie jest z liderami, ktoś mi powiedział, że są jak kosze na śmieci: ludzie zaspokajają cię tym, co najgorsze i musisz umieć to wyciągnąć i wyrzucić. A czy ja umiem wyciskać, wyrzucać i odpoczywać? Mam 52 lata i się uczę – uśmiecha się.

I podkreśla rolę przyjaźni i przyjaciółek. – Mam przyjaciółkę, którą poznałam w wieku lat 3, w przedszkolu, to ta, z którą nas próbowała rozdzielić wojna! Nieważne ile czasu się nie widzimy, jak się w końcu spotykamy, to jakbyśmy nigdy się nie rozstawiały! Ona mnie naprawdę kocha: nie jest bogata, nie obchodzi jej, ile mam pieniędzy i jakie tytuły – idzie do sklepu i kupuje mi bieliznę i ciuchy! Mam też przyjaciółkę, która ciągle się o mnie martwi: jakbym jej teraz powiedziała, że głowa mnie boli, kazałaby mi iść spać a potem zadzwoniła 10 razy sprawdzając czy śpię. Wariatka! Mam też taką, która jest czystym dobrem. Więc za każdym razem, kiedy przychodzi napad negatywnych myśli, co zawsze wypada w dzień wolny, dzwonię do niej żeby powiedzieć, że np. ktoś mnie źle potraktował, ona stara się doszukać w tej osobie dobra. „Może nie mieli tego na myśli?” – upiera się – „Nawet ty masz w sobie odrobinę złośliwości, prawda? Przyjrzyj się sobie!”. No i jest jeszcze ta przyjaciółka, która po prostu mówi „chodź tu, daj mi sobie dać trochę miłości!”. Oprócz tego mam też ósemkę dzieci, które się mną opiekują – czasem muszę sobie przypominać kto tu jest rodzicem – i dobrego męża, który dba o mój komfort kiedy już trafię do domu... Jestem naprawdę obdarowana, błogosławiona. Szalona, ale błogosławiona!

KOMISARKA ONZ

Marzenia? Gbowee odpowiada wprost: zostać komisarką ONZ. – Chciałabym tak trochę nią potrząsnąć, bo to ważne narzędzie, które pomaga utrzymać pokój, ale potrzebujemy nowych struktur: te, które są, pochodzą z czasów, kiedy wiele afrykańskich krajów jeszcze było koloniami, a Arabia Saudyjska nadal była pustynią. No dobra, to jest moja „praca marzeń” – ale jak jej nie dostanę, to i tak mam mnóstwo roboty – śmieje się głośno. ● Rozmowa odbyła się w ramach „Nowych Obrotów”, kuratorowanych przez dr Jan Świerkowski. Organizatorami byli: Fundacja Platon, Instytut B61, Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego.

Leymah Gbowee

• Laureatka Pokojowej Nagrody Nobla 2011, liberyjska działaczka społeczna, rzeczniczka praw kobiet. Założycielka Gbowee Peace Foundation Africa, dyr. Gender, Law & Transformative Peace Initiative w CUNY School of Law, USA. Współzałożycielka Women Peace & Security Network Africa. Magister transformacji konfliktów, doktor prawa honoris causa. Mama ósemki dzieci.

W mojej grupie etnicznej okalecza się dziewczynki, ich narządy płciowe. Kiedy przyszła moja kolej, ojciec powiedział: „nie”.

dzina. Edukacja dla dziewcząt – tłumaczy Gbowee – to więc nie tylko chwile spędzone w klasie, lecz cały ten ekosystem. – Jeśli chcesz wyedukować dziewczynkę w Polsce, to – uznajmy, że ma schronienie nad głową i jedzenie na stole – musisz założyć, że czasem będzie potrzebowała usiąść z tobą, poradzić się, zostać wysłuchana. Edukacja jest tak naprawdę o wysłuchaniu potrzeb – a nie o tym, żeby kogoś umieścić w szkole!

GNIEW DOBRY I ZŁY

Rozmawiamy o protestach kobiet w Polsce, o których noblistka oczywiście wie. I o tym, że ciągle nam mówią, że nie powinnyśmy się gniewać, złościć, wkurzać. Gbowee od razu przywołuje „wielkich naszych czasów”. – Martin Luther King, Mandela, Tutu, Rosa Parks, ale też Hitler czy Charles Ghankay Taylor [były dyktator Liberii, skazany przez międzynarodowy trybunał za zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciwko ludzkości]. – wszyscy mieli coś wspólnego, wiesz co to jest? – pyta Gbowee. – Gniew – odpowiadam. – Tak! – wykrzykuje noblistka – Byli wkurzeni, ja sama jestem ciągle zła i zawzięta – krzyczy i sięga po butelkę wody i szklanki. – Założmy, że masz w sobie ten gniew, tę złość: przed tobą będą dwa sposoby na ich uwolnienie – wskazuje na dwie szklanki. – Złość, gniew nie są złe, złe jest to, jak je wykorzystasz, do którego z tych naczyń je wlejesz. Ci, których będziemy pamiętać jako złoczyńców, postanowili kontenerować złość w sposób przemocowy, ci których zapamiętamy jako bohaterów i bohaterki (Gbowee używa słowa „sheroes”) to ci, którzy skorzystali z metod nieprzemocowych. Obydwa rodzaje gniewu czy złości będą coś burzyć, ale te złe będą desakralizować, odbierać godność, ruj-

OPOWIEM CI O LIBERII

Pytam ją o porażkę, bo niejednokrotnie podkreśla jej wagę: mówi, że kobiece protesty to było ciągle upadanie i uczenie się czegoś nowego. – Porażka jest częścią życia. Podobnie jak konflikt – oświadcza. – Jeśli przeszłaś przez wojnę i doświadczyłaś jej wszelkich gorzkich konsekwencji, może się tak zdarzyć, że będziesz bardziej refleksyjna.

– Opowiem ci o Liberii – kontynuuje. – Przed wojną było nas trochę mniej niż 3 miliony. Nasza tożsamość była powiązana z USA, ze względu na nasze splątane historie i to, że uwolnieni niewolnicy wracali z oceanu właśnie tu. Kiedy wojna wybuchła, wielu z nas musiało wyruszyć w świat, w różne zakątki Afryki jako uchodźcy. Moja rodzina wyemigrowała do Ghany i kiedy wróciliśmy po wojnie zaczęliśmy zadawać sobie pytania: no dobrze, mamy kulturę wolnych niewolników, ale co z naszym dziedzictwem afrykańskim? Staramy się to teraz badać i przywracać: nie tylko w kontekście tego, co nosimy i co jemy, ale także tego co przekazujemy naszym dzieciom. I tak, wojna była zła, ale są też zaskakujące skutki tego konfliktu, nie tylko brak wody czy elektryczności. Przemyśliwujemy kim jesteśmy, to ta jasna strona. Nie jesteśmy już fotokopią Ameryki. Trzeba więc po prostu patrzeć, gdzie upadliśmy i uczyć się na tych błędach. Błąd to nie koniec świata – i w tej kwestii mężczyźni wiele się mogą nauczyć od kobiet: ponownych początków, przemyślenia rzeczy, rekaliibracji.

BRAK PRZEBACZENIA JEST ZABÓJCZY

Gbowee jest członkinią Nobel Women's Initiative czyli Inicjatywy Kobiet Noblistek,

msty. W przypadku toczących się konfliktów zbrojnych – jak np. w przypadku Ukrainy – nie chcemy nawet poruszać jeszcze tematu pojednania: nikt nie będzie tego chciał słuchać. To, o czym możemy rozmawiać, to uleczenie i przywrócenie ludziom ich miejsca, ich wspólnoty. I strasznie się trudno o tym rozmawia, gdy w tle słychać wybuchy. Ale musimy już myśleć o pracy nad pojednaniem na wielu różnych poziomach: narodowym, społecznym, ale też pamiętając o tych, którzy wyjechali. Bo te osoby, choć pozornie bezpieczne, zostają w zamrożonej traumie: w tym obrazie ojczyzny, jaki widzieli kiedy wyjeżdżali. Moja siostra opuściła Liberię w latach 80., podczas gdy rządził nami dyktator Doe i do tej pory, kiedy wspomina jego imię, trzęsie się, choć po nim nastali jeszcze gorsi... Kiedy mówię o pojednaniu – to jest to naprawdę bardziej skomplikowany proces w przypadku osób, które są w diasporze, więc to musi być zbiorowy wysiłek. Niestety dla nas wszystkich np. watażkowie z Afryce nigdy nie będą dążyć do pojednania i uzdrowienia. Dlaczego? Bo pojednanie wymaga sprawiedliwości i przyznania się również do swoich grzechów, a to ostatnie co możni tego świata chcą robić – mówi poruszona. – Często jest też tak, że ta potrzeba uzdrowienia nie jest widziana przez tych, którzy sponsorują odnowę państw i społeczności: są pieniądze na jedzenie i odbudowę, ale nie na psychologiczne doradztwo.

PRZYJACIÓŁKI

Leymah Gbowee zauważa, że większość healerów, aktywistów pracujących przy przywracaniu równowagi światu – to kobiety. I bardzo łatwo im się w tych procesach zamęczyć – świat przecież stale potrzebuje pomocy.

MOŻE NIE JESTEŚMY PANAMI STWORZENIA

Prof. Avi Loeb, 62-letni dyrektor Instytutu w Harvard-Smithsonian Center for Astrophysics, przez wiele lat był dziekanem wydziału astronomii na Uniwersytecie Harvarda i przez większą część kariery zajmował się czarnymi dziurami, ciemną materią czy losami Wszechświata, a więc typowymi problemami, które nurtują kosmologów. Kilka lat temu jednak zafascynowały go obce cywilizacje i możliwość ich wyśledzenia – i to nie daleko w kosmosie, ale tu, na Ziemi i w jej bezpośrednim otoczeniu.

Dzięki prywatnym donacjom stworzył na Harvardzie „Projekt Galileo”, którego celem są „systematyczne poszukiwania naukowych dowodów na istnienie pozaziemskich artefaktów technologicznych”. I stał się rozchwytywanym przez media „łowcą kosmitów”.

Jego ostatnie działania są krytykowane przez innych naukowców jako pochopne, sensacyjne, zbyt spekulacyjne, stojące na pograniczu nauki. – Spotykają się ze zrozumiałym sceptycyzmem środowiska astronomów – mówi nam dr Maciek Wielgus z Radioastronomicznego Instytutu Maxa Plancka w Bonn w Niemczech, który u progu kariery pracował w Black Hole Initiative, instytucie kierowanym przez prof. Loeba.

– Kiedy pojawiają się nowe obserwacje astronomiczne, często początkowo nie rozumiemy dobrze stojących za nimi zjawisk i fizyki w warunkach bardzo odbiegających od ziemskich. Na przykład niewiele wiemy dziś o składzie i własnościach międzygwiazdowych asteroidów, a zatem monitorowanie takich obiektów na niebie i poszukiwanie ich szczątków na Ziemi jest niezwykle interesujące i może nas bardzo wiele nauczyć. Również istnienie pozaziemskiego życia, w szczególności tego inteligentnego, jest poważnym i ogromnie interesującym pytaniem, na które mam nadzieję, znajdziemy prędzej czy później jednoznaczную odpowiedź w ramach metody naukowej – mówi dr Wielgus. Ale też przestrzega: – Carl Sagan zauważył nie tylko, że „nadzwyczajne twierdzenia wymagają nadzwyczajnych dowodów”, ale również że „warto mieć otwarty umysł, ale nie aż tak, żeby mózg mógł nam wypaść”.

Rozmawiałem z prof. Loebem, kiedy w połowie lutego po raz pierwszy przyjechał do Polski na zaproszenie dr Jana Świerkowskiego z Instytutu BGI, kuratora trzydniowych „Nowych Obrotów” (finałowego spotkania Roku Mikołaja Kopernika w Toruniu).

Piotr Cieśliński: Ile już razy mówiono, że pan zwariował?

– Prof. Avi Loeb: – Wcale nie tak często. Moi krytycy próbują argumentować, że to, co badam, prawdopodobnie nie przyniesie żadnych wymiernych rezultatów. A ja kieruję się po prostu zdrowym rozsądkiem, którego jednak ze świecą dziś szukać.

Szuka pan kosmitów.

– Urodziłem się na farmie w Beit Hanan, wiosce na południe od Tel Avivu, i zostałem ciekawskim chłopcem ze wsi. A cóż jest bardziej fascynującego, niż możliwość obcego życia gdzieś w kosmosie? Niedawno spotkałam się z uczniami szkoły podstawowej, w której się uczyłem. Powiedziałem im, że jestem taki jak oni, niewiele się zmie-



FOT. OMICHELY/CREATIVE COMMONS 4.0

Nie sędzę, aby nam zagrażali.
Oczywiście, mogą nas skrzywdzić przypadkiem. Możemy być dla nich jak mrówki w szczelinach chodnika

Z PROF. AVI LOEBEM, ŁOWCĄ KOSMITÓW,
ROZMAWIA PIOTR CIEŚLIŃSKI

niłem. Jedna dziewczynka na to: ale jak to możliwe, profesorze, skoro ma pan 60 lat!

I co pan jej odpowiedział?

– Że to, oczywiście, nie zależy od wieku. Jestem wciąż tak samo ciekaw świata, jak wtedy, gdy jeździłem traktorem i zbierałem jajka na farmie, filozofią interesowałem się od najmłodszych lat. Okoliczności sprawiły, że zająłem się nauką, zostałem astrofizykiem, ale dzięki temu problemy filozoficzne mogę rozwiązywać za pomocą metody naukowej. A co to oznacza? Przede wszystkim brak uprzedzeń oraz zdecydowanych opinii, kierowanie się wyłącznie danymi i dowodami.

Dokładnie tak zrobił Kopernik. Zebrał dane, które doprowadziły go do wniosków odmiennych od obowiązującego w jego czasach status quo. Nauka kieruje się teraz zasadą kopernikańską, która pozbawiła Ziemię centralnej roli we Wszechświecie. Kopernik zdał sobie sprawę, że nie jesteśmy w fizycznym centrum, nie jesteśmy w żaden sposób uprzywilejowani. Uważam, że teraz czas na następną rewolucję kopernikańską, która będzie oznaczała, że nie jesteśmy także intelektualnym centrum Wszechświata. Albert Einstein nie był najmądrzejszym naukowcem, jaki narodził się od Wielkiego Wybuchu, istnieją bardziej rozwinięte cywilizacje i możemy się od nich wiele nauczyć.

Niestety, dla wielu moich kolegów to zbyt rewolucyjne, mają zdecydowane i odmienne zdanie.

Dziwią się, że tak utytułowany naukowiec tropi kosmitów.

– Byłem dziekanem Wydziału Astronomii na Harvardzie, przewodniczącym rady ds. fizyki i astronomii amerykańskiej Akademii Narodowej, dyrektorem-założycielem Black Hole Initiative. Rzeczywiście, jestem częścią establishmentu, no i też trudno nazwać mnie wariatem.

Może boją się to powiedzieć głośno, ale wielu pewnie tak myśli.

– Możliwe, ale nie przejmuję się tym. Dlaczego? Bo z taką krytyką muszą się liczyć ci, którzy występują przeciwko status quo, konsensusowi, który jednak nie jest poparty mocnymi dowodami.

Tymczasem zasada kopernikańska uczy, że powinniśmy być skromni, nie wywyższać się, nie uważać, że kosmos kręci się wokół nas. A przynajmniej, zanim zaczniemy tak uważać, najpierw posłuchajmy natury. Bo może wcale nie jesteśmy panami stworzenia. Dlatego stworzyłem na Harvardzie Projekt Galileo, którego celem jest poszukiwanie dowodów – anomalnych obiektów, które nie przypominałyby niczego, co znamy lub sami stworzyliśmy, dosłownie nie z tej Ziemi.

NASA też już szuka życia poza Ziemią i nikt się temu nie dziwi.

– Bo im chodzi o życie mikrobiologiczne. Jeśli znajdziemy takie życie na Marsie, nie zagrazi to naszemu rozbuchane-

mu ego. Nadal będziemy najmądrzejsi we wsi. Poszukiwanie czegoś więcej napotyka jednak wielki opór.

Zdaje pan sobie sprawę, że sztuczna inteligencja jest o krok od osiągnięcia większych możliwości niż ludzki mózg? W ciągu 10 lat modele AI będą miały więcej połączeń niż liczba synaps w ludzkim mózgu. Tworzymy technologiczne dziecko, które niedługo będzie radzić sobie lepiej od nas. Proszę zobaczyć, że wielu ma z tym problem. Ja nie. Mam do AI stosunek taki jak do moich córek. Jeśli radzą sobie lepiej ode mnie, jestem szczęśliwy. Kiedy wychowujesz dziecko, przychodzi moment, w którym ono staje się od ciebie niezależne i już nie możesz go w pełni kontrolować.

No więc już za chwilę to się stanie z AI i przestaniemy być najbardziej inteligentni na Ziemi!

Ale poza naszą planetą mogło się to wydarzyć miliardy lat temu, ponieważ większość gwiazd w kosmosie narodziła się miliardy lat przed Słońcem. Jeśli zegar rozwoju tykał obcym cywilizacjom tak samo jak nam, to opracowały technologie, których jeszcze nie posiadamy.

Tego nie wiemy, ale skupmy się tylko na tym, co znamy. Sondy, które dzisiaj wysyłamy poza Układ Słoneczny, np. Voyager, dolecą na drugi koniec Drogi Mlecznej w czasie krótszym niż miliard lat. Przemierzają całą galaktykę, choć poruszają się z zółwią prędkością. Można więc łatwo sobie wyobrazić, że tego typu artefakty, nie czynne już śmieci kosmiczne, mogły już dawno temu dolecieć do naszego podwórka z najbardziej nawet odległych układów planetarnych.

Dlaczego więc ich nie szukamy? Czy szaleństwem jest mówić: „Na naszej ulicy jest wiele domów, mogą w nich mieszkać ludzie. Sprawdźmy, czy na naszym podwórku nie ma piłki tenisowej rzuconej przez sąsiada”? Chyba nie, wariactwem byłoby raczej rzec: „Zasuśmy zasłony, nie ma po co wyglądać za okno, jesteśmy sami, najmądrzejsi, jacy kiedykolwiek istnieli”.

Jest jeszcze jeden gatunek krytyków, którzy sądzą, że szaleństwem jest szukać obcych cywilizacji i odsłaniać przed nimi nasze istnienie...

– Bo to niebezpieczne? Wiem, że Stephen Hawking przestrzegał, abyśmy byli bardzo ostrożni, nie wysyłali w kosmos fal radiowych i zdradzali naszego położenia. W jednym z nim się zgadzam. Kiedy idziesz na randkę, aby poznać partnera, to przede wszystkim powinieneś słuchać, a nie opowiadać o sobie, jaki to jesteś wspaniały. My, ziemianie, zaczęliśmy od tego ostatniego. NASA umieściła w sondzie Voyager złotą płytę, która zawierała zdjęcie mężczyzny i kobiety, położenie Ziemi, muzykę z lat 60... Straszny kicz, słuchał pan tego? To wszystko nie świadczy o inteligencji z naszej strony.

Jeśli istnieją, prawdopodobnie są na dużo wyższym poziomie niż my.

– I dlatego nie muszą się nas bać, więc nie sędzę, aby nam zagrażali. Oczywiście, mogą nas skrzywdzić przypadkiem. Możemy być dla nich jak mrówki w szczelinach chodnika, które znalazły się na drodze przechodnia czy rowerzysty. Oni zapewne mają inne priorytety.

Rodzaj ludzki istnieje zaledwie kilka milionów lat, czyli jedną dziesięciotysięczną wieku Wszechświata. Jeśli do kosmicznego



spektaklu dołączamy tak późno i, jak uczy Kopernik, nie występujemy w centrum sceny, to znaczy, że w tym w spektaklu nie chodzi o nas. Może więc lepiej poszukajmy innych aktorów grających w tej sztuce, którzy opowiedzą nam, o czym ona jest? Ale w tym celu musimy być skromni, pokorni i gotowi do uczenia się na podstawie tego wszystkiego, co znajdziemy i zobaczymy. Czy to wariactwo?

Ale czy coś podejrzanego udało się już znaleźć?

– W ostatniej dekadzie odkryliśmy pierwsze obiekty międzygwiazdowe spoza Układu Słonecznego. Niezwykle jest to, że okazały się anomalne, tj. nie przypominają normalnych asteroid czy komet, jakie znamy z naszego podwórka. Pierwszym był IM1, co jest skrótem od „interstellar meteor 1” (międzygwiazdowy meteor nr 1). Zarejestrowały go w 2014 r. amerykańskie satelity wczesnego ostrzegania. Miał rozmiar około pół metra, wpadł do atmosfery i eksplodował nad Oceanem Spokojnym. Sądząc po jego prędkości, nie był związany grawitacyjnie ze Słońcem. W czerwcu 2023 r. zorganizowałem wyprawę badawczą w ten rejon Pacyfiku, tralowaliśmy dno i zebraliśmy jego prawdopodobne szczątki.

Jak wyglądają?

– To ablacyjne sferule – czyli zastygłe kropelki materii, jakie odrywają się z nadtopionej powierzchni obiektu, który z dużą prędkością przedziera się przez atmosferę. Przez ostatnie osiem miesięcy badaliśmy i analizowaliśmy je za pomocą analizatora fluorescencji rentgenowskiej, spektrometru mas i mikroskopu elektronowego. Odkryliśmy, że 10 proc. z nich ma bardzo nietypową zawartość pierwiastków – m.in. są mocno wzbogacone w beryl, lantan i uran. Takiego składu nigdy nie obserwowano w przypadku meteorytów z Układu Słonecznego. Kilka dni temu wysłaliśmy do publikacji szczegółową pracę z wynikami badań.

Czy to był obiekt sztuczny?

– Napisałem artykuł, w którym podaję możliwe naturalne wyjaśnienie nietypowego składu chemicznego i dużej prędkości IM1. I to mógł być odlamek z natural-

nej katastrofy, w której planeta taka jak Ziemia została rozerwana przez siły pływowe grawitacji czerwonego karła (najpowszechniejszy typ gwiazd w kosmosie). Nie mamy jednak całkowitej pewności, co do natury tego obiektu.

Z danych satelitarnych wynika, że przed wejściem do Układu Słonecznego poruszał się z prędkością 60 km/s, a więc szybciej niż 95 proc. gwiazd w pobliżu Słońca. Co więcej, eksplodował i rozpadł się nisko w atmosferze – dopiero na wysokości 17 km. A to oznacza, że materiał, z jakiego był zbudowany, był wyjątkowy. Dużo bardziej wytrzymały niż meteorytów, nawet tych żelaznych, które zostały skatalogowane przez NASA w ciągu ostatniej dekady. Potencjalnie mógł to być sztuczny obiekt, który przypominał naszego Voyagera.

Dlatego chcemy zorganizować kolejną ekspedycję, aby znaleźć większe fragmenty na dnie oceanu. Pierwsza ekspedycja kosztowała 1,5 mln dol., następna będzie pewnie trzy razy droższa, ale pewnie niedawne wydarzenie pokazuje, że warto podjąć poszukiwania. Nie wiem, czy pan słyszał o asteroidzie, która spadła 21 stycznia nad Berlinem?

Tak, nawet pisałem o niej – jej pierwsze fragmenty znaleźli Polacy.

– Właśnie, były to duże kawałki od centymetra do kilku centymetrów i wadze od 1 do 100 gramów. A asteroida miała podobny rozmiar co IM1. To daje mi nadzieję, że uda nam się znaleźć fragmenty tej wielkości. A jeśli tak, to będziemy mieli dość materiału, aby za pomocą datowania z użyciem uranu-238 i toru-232 określić wiek obiektu. Mając wiek i prędkość – moglibyśmy ustalić prawdopodobne miejsce jego pochodzenia.

To ekscytujące, mam nadzieję, że powiedzie nam się w tym roku. Będziemy w stanie rozpoznać, czy był to kamień, czy gadżet technologiczny. I pomyśleć, że coś takiego jest może w naszym zasięgu!

Bo drugi z odkrytych anomalnych obiektów spoza Układu Słonecznego nie jest dla nas dostępny.

Drugi, czyli jaki?

– Oumuamua, asteroida odkryta w październiku 2017 r. przez teleskop Pan-STARRS

na Hawajach. Oumuamua oznacza skauta w języku hawajskim. To odkrycie mnie zaskoczyło, bo dziesięć lat wcześniej napisałem pracę naukową, w której twierdziłem, że ten teleskop nie wykryje niczego spoza naszego układu. Z moich obliczeń wynikało, że takich skał z przestrzeni międzygwiazdowej nie powinno być na tyle dużo, aby jedna z nich zawędrowała w pobliże Ziemi i została dostrzeżona w pierwszej dekadzie działania tego obserwatorium.

Ale im bardziej przypatrywaliśmy się Oumuamua, tym bardziej intrygowała. Miała niezwykle kształt – ilość odbijanego przez nią światła zmieniała się o czynnik 10, z czego wynikało, że asteroida jest płaskim obiektem, który koziółkuje raz na osiem godzin. Potem odkryto, że odpycha ją od Słońca jakaś tajemnicza siła i – sprawdzono – nie jest to efekt odrzutu powodowany przez parujące z jej powierzchni gazy, jak w przypadku komet. Zasugerowałem, że asteroidę popycha ciśnienie światła słonecznego, co oznacza, że naprawdę jest bardzo cienka, tj. ma dużą powierzchnię w stosunku do swojej masy. Natura nie tworzy takich obiektów.

Żagiel słoneczny?

– Nie mamy pojęcia, co to jest, i nie dowiemy się, bo Oumuamua jest już poza zasięgiem teleskopów. Symptomatyczne jednak, że ten sam teleskop na Hawajach wykrył cztery lata temu inny obiekt, który był w wyraźny sposób spychany przez ciśnienie światła słonecznego, jak Oumuamua. Wtedy w ciągu kilku tygodni udało się ustalić, że to górny stopień rakiety, która w latach 60. wyniosła jeden z próbników na Księżyc, czyli obiekt sztuczny, złom, który sami wyprodukowaliśmy.

Elon Musk wysłał w kosmos Teslę Roadster, która jest obecnie na orbicie eliptycznej wokół Słońca i – jak to zostało wyliczone – za ok. 70 mln lat zderzy się ze Słońcem lub z Ziemią. Gdyby spadła na Ziemię i cała spłonęła, pozostawiając tylko stopione sferule, moi sceptyczni koledzy powiedzieliby: „och, cóż, to tylko skała, jakiej nigdy wcześniej nie widzieliśmy”.

W przyszłym roku w Chile zacznie działać Obserwatorium im. Very Rubin, które będzie mogło wykryć znacznie więcej takich międzygwiazdowych przybyszy, mo-

że więc odkryjemy więcej anomalnych obiektów, bo na razie po prostu jesteśmy na nie dosłownie ślepi. W dalszej odległości od Ziemi jesteśmy w stanie dostrzec tylko asteroidy wielkości boiska piłkarskiego, a mniejsze nam w większości umykają.

Tyle że wiedza sama nie wpada w ręce. Musieliśmy zainwestować 10 mld dol. w Wielki Zderzacz Hadronów w CERN, aby znaleźć bozon Higgsa, miliardy kosztował teleskop Webba, który wykrył pierwsze galaktyki po Wielkim Wybuchu. Nauka opiera się na poszukiwaniu dowodów, co wymaga wysiłku i pieniędzy. Carl Sagan kiedyś powiedział, że „nadzwyczajne twierdzenia wymagają nadzwyczajnych dowodów”, ale zdobycie nadzwyczajnych dowodów wymaga też nadzwyczajnych funduszy. A ich dotąd nie było.

Jak pan myśli, dlaczego?

– Moje badania są finansowane z prywatnych donacji. Nigdy nie dostanę wsparcia od agencji federalnych, biorąc pod uwagę sposób, w jaki rozdzielają fundusze. Ich komisje składają się z konserwatywnych naukowców, zapatrzonych w przeszłość. Bardzo niewielka część pieniędzy idzie na innowacyjne i nieszablonowe pomysły. Społeczność naukowa jest szczególnie uprzedzona i zamknięta na poszukiwanie obcego życia, szczególnie inteligentnego. Wielu badaczy nawet nie bierze pod uwagę możliwości, że dziwny obiekt lub zjawisko może być dowodem zaawansowanej cywilizacji. Trudno sobie wyobrazić, by Narodowa Fundacja Nauki czy NASA przeznaczyły na to znaczne, wielomilionowe środki.

Ale chyba trudno się dziwić, że priorytetem są badania, które mają większy potencjał sukcesu, wszak nauka ma ograniczone środki.

– To prawda, co roku świat wydaje dwa biliony dolarów na budżety wojskowe, aby zabijać się i walczyć o skrawki łądu na naszym małym skalistym globie, który jest pozostałością procesu formowania się Słońca. Granicy między Rosją i Ukrainą nie sposób nawet zobaczyć z powierzchni Księżycza, w kosmicznej skali rzeczy nasze wojny są nieistotne.

Musimy zmienić priorytety. Ale nie jestem naiwny i wiem, że to nie stanie się

NASA umieściła w sondzie Voyager złotą płytę, która zawierała zdjęcie mężczyzny i kobiety, położenie Ziemi, muzykę z lat 60... Straszny kicz. To wszystko nie świadczy o inteligencji z naszej strony.

• **Statek obcych z filmu „Nowy początek”**
Denisa Villeneuvea

ALAMY STOCK PHOTO

z dnia na dzień. Do Torunia przyjechałem z konferencji bezpieczeństwa w Monachium, miałem tam 45-minutowe wystąpienie, w którym powiedziałem, że potrzebujemy podbudki, szoku poznawczego, że może ludzkość by się obudziła i zmądrzała, gdybyśmy znaleźli na naszym podwórku przedmiot, który powie nam, że nie jesteśmy sami w kosmosie. To byłaby dla nas szansa na rozwój, nową wiedzę, technologie znacznie lepsze od tych, które opracowaliśmy w ciągu ostatniego stulecia. Proszę sobie wyobrazić, ile konferencji politycznych i naukowych natychmiast zostałyby zorganizowanych na temat tego, co to oznacza.

Nieszablonowe pomysły badawcze to pana specjalność. Ostatnio pisał pan na blogu o szukaniu układów gwiazdnych, które mają sztuczny napęd.
– To stary pomysł i nie mój, pochodzi od Fritza Zwicky’ego. Tego samego astronoma, który pierwszy odkrył, że większość materii we Wszechświecie jest niewidoczna. Na początku mówiono, że zwariował, ale dzisiaj badania ciemnej materii są w awangardzie kosmologii. Nadal nie wiem, czym jest ta materia. Nawiasem mówiąc, można ją śmiało nazwać niezidentyfikowanym zjawiskiem anomalnym (tak NASA teraz klasyfikuje to, co kiedyś nazywano UFO).

Zwicky napisał książkę, w której zasugerował, że zaawansowane cywilizacje technologiczne mogą rozpędzać swoje gwiazdy i w ten sposób podróżować wraz z całym układem planetarnym. Myślę, że to bardzo mało prawdopodobne, bo z technicznego punktu widzenia znacznie łatwiej jest po prostu transportować siebie, niż przesuwać całą gwiazdę. Ale nie zaszkodzi sprawdzić. W naszym artykule skorzystaliśmy z dostępnych dzisiaj przeglądów gwiazd, aby znaleźć ograniczenia na mające nietypowe przyspieszenie czy szybko poruszające się gwiazdy.

Jest jeszcze pytanie techniczne: w jaki sposób rozpędzić gwiazdę?
–To nie jest łatwe. Jedną z możliwości jest umieszczenie po jednej stronie gigantycznego lustra, które zwraca energię gwiazdy, żeby popchnąć ją w przeciwnym kierunku.

Taką koncepcję przedstawił w latach 80. zeszłego wieku rosyjski naukowiec i inżynier Leonid Szkadow.
Inny sposób wiąże się z ujemną masą, która by grawitacyjnie odpychała normalną materię. Ale to już całkowite science-fiction.
Jak w „Gwiazdnych Wojnach”.
– Nie lubię science fiction, bo często łamie prawa fizyki. W zasadzie jedynym filmem, który mi się podobał, był „Nowy początek”, który opowiada o pierwszym spotkaniu ludzkości z obcymi. Nie wiem, czy pan wie, ale Denis Villeneuve, który go reżyserował, przygotowuje teraz dla Netflixa film dokumentalny o moich badaniach.

Jak na tą popularność w mediach zapetrują się koledzy?
– Ten cały medialny szum wokół mnie po prostu odzwierciedla to, że społeczeństwo tymi tematami żywo się interesuje. Kiedy moja pierwsza praca o Oumuamua została przyjęta do druku, media natychmiast zwróciły na to uwagę. Miałem wtedy jechać do Niemiec na konferencję, ale jak tylko wyszedłem z domu, natknąłem się na ekipę telewizyjną. Powiedziałem: „przepraszam, muszę jechać na lotnisko”, a oni: „mamy tylko jedno pytanie: czy jesteśmy sami w kosmosie?”. Gdy przyleciałem do Berlina, czekało na mnie tak wielu reporterów, że organizatorzy musieli wynająć dużą salę i zorganizować konferencję prasową. Pytano mnie o Projekt Galileo, a dziennikarka, która nie mogła dojść do głosu, krzyczała gdzieś z tyłu: „uważa się pan za Galileusza?”.

I co pan odpowiedział?
– Że nie próbuję być kimkolwiek innym niż sobą.
Gdy czytałem pana bloga, to odniosłem wrażenie, że ma pan badawcze ADHD.
– Codziennie przychodzą mi do głowy nowe pomysły, same z siebie, nie wkładam w to większego wysiłku. Kiedyś myślałem, że wszyscy tak mają. Wciąż mnie zaskakuje, że innym nie przychodzi to naturalnie. Często się zdarza, że ktoś opowiada mi o swoich badaniach, a ja zadaję pytania, które stawiają te badania w nowym świetle.

W kilku wypadkach młodzi badacze potem poświęcili tym kwestiom swoje kariery.
Podobno nawet pod prysznicem zapisuje pan pomysły.
– Sprawilem sobie wodoodporną tablicę. Kiedyś zapisywałem pomysły na kartkach papieru, które wrzucałem do szuflady, ale rzadko miałem czas, aby potem je przejrzeć i nad nimi popracować. Teraz jest łatwiej, spisuję je na swoim blogu w medium.com.

Pisze pan tam kompulsywnie, czasem dwa razy dziennie.
– To się nigdy nie skończy, choć oczywiście pewnego dnia umrę. Mówię moim uczniom, że gdy już przestanę mieć pomysły i nie będę użyteczny, niech mnie zastrzelą.

Ale wciąż pan co rano biega, nawet tu w Toruniu.
– I mam nowe pomysły! Przed miesiącem razem ze współpracownikiem sprawdzaliśmy, co by było, gdyby Wszechświat nie rozszerzał się jednakowo w każdym kierunku. Niemal cała współczesna literatura poświęcona konsekwencjom teorii względności Einsteina zakłada, że ekspansja następowała symetrycznie.

I co wam wyszło?
– Okazuje się, że jeśli początkowo była anizotropia, to z czasem wszystko się wyrównywało, a więc teraz, miliardy lat po Wielkim Wybuchu, powinniśmy obserwować już izotropowe rozszerzanie. To się zgadza z obserwacjami. Ale także pokazuje, że na samym początku Wszechświat nie musiał być kulisto symetryczny, mógł się zacząć od osobliwości w kształcie płaskiego „naleśnika” lub też „włókna”, co mogło pozostawić ślad w falach grawitacyjnych z tamtego okresu, jeśli kiedykolwiek je zarejestrujemy. Dlatego ta nasza praca wzbudziła wielkie zainteresowanie.

Ma pan swój ulubiony pomysł badawczy?
– Któregoś dnia myślałem o tym, że dzisiaj temperatura próżni kosmicznej wynosi ledwie 3 stopnie powyżej zera absolutnego, ale w przeszłości Wszechświat był cieplejszy. Im dalej w czasie, tym bardziej cie-

ply. Zadałem więc sobie pytanie, kiedy miał temperaturę pokojową? Bo jeśli wtedy już były planety, to niezależnie od tego, czy jakaś gwiazda je oświetlała i ogrzewała, mogła na nich być woda w stanie ciekłym i rozwijać się życie.
Niestety, okazuje się, że takie cieplarniane warunki panowały w kosmosie ledwie 15 mln lat po Wielkim Wybuchu, kiedy w ogóle nie było jeszcze gwiazd i planet, a także cięższych od wodoru i helu pierwiastków, które są kluczowe dla życia.
Ale 100 mln lat później były już gwiazdy i zapewne planety, choć przestrzeń kosmiczna ochłodziła się. Miała niższą temperaturę, mniej więcej taką, jaka panuje teraz na Tytanie – księżycu Saturna. Jeśli więc na Tytanie znajdziemy życie (co nie jest nieprawdopodobne), to znaczy, że mogło się ono rozwinąć niedługo po Wielkim Wybuchu praktycznie na każdej planecie ówczesnego Wszechświata.

Ale byłoby to inne życie niż to, jakie znamy z Ziemi?
– Tak, ale życie może mieć różne formy. Życie ogólnie rzecz biorąc polega na przetwarzaniu, replikowaniu i odtwarzaniu informacji, a nasze DNA to tylko jeden ze sposobów, aby to zapewnić, niekoniecznie najlepszy.

Jakiej rady by pan udzielił młodym odkrywcom, którzy chcieliby zostać naukowcami?
– Nigdy nie bądź, jak większość dorosłych, którzy udają, że pozjadali wszystkie rozumy i wszystko wiedzą. Politycy bardzo często zakładają taką maskę, bo im się wydaje, że gdy przyznają się do niewiedzy, to okazyją słabość. Naukowiec ma ten przywilej, że nie musi udawać, może zadawać pozor- nie głupie pytania, na które jednak nikt nie zna odpowiedzi.

Nie wszyscy naukowcy są tacy.
– Możliwe, moja żona mówi, że jestem jakiś inny. 10 lat temu powiedziała mi, że pewnego dnia kosmici wylądują w naszym ogródku i zabiorą mnie z powrotem do siebie. Gdy to się stanie, mówiła, pamiętaj o dwóch rzeczach: poproś, aby startując nie zniszczyli trawnika, a po drugie – zostaw mi kluczyki do samochodu. ●

weekendówka

94

KIEPSKA ROCZNICA

O życiu normalnym miało być. U mnie wystarczyło wyjść na klatkę schodową z dyktafonem [na wrocławskim tzw. Trójkącie Bermudzkim, czyli części osiedla Przedmieście Oławskie], żeby nagrać dialogi. »Ja cię kurwa podam do sądu! Koniec! Albo idziesz do roboty, albo spotykamy się u adwokata!« [...] To są prawdziwe cytaty” – mówił w książce „Świat według Kiepskich. Zwiariowana historia kultowego serialu” Jakuba Jabłonki i Pawła Łęczuka, Janusz Sadza, jeden ze scenarzystów serialu „Świat według Kiepskich”.

16 marca 1999 roku telewizja Polsat wyemitowała pierwszy odcinek serialu „Świat według Kiepskich”. Wcześniej zlecono produkcję trzech sitcomów: „Graczykowie”, ze Zbigniewem Buczkowskim, Joanną Kurowską i Pawłem Wawrzeckim, „Rodzina zastępcza” z Gabriellą Kownacką i Piotrem Fronczewskim i „Świata...” właśnie.

Propozycja z największą oglądalnością miała dostać zielone światło na dalszą egzystencję. Wszystkie okazały się strzałem w dziesiątkę, wszystkie dorobiły się statusu „kultowych”. Ale to Kiepscy furorę zrobili największą. Zresztą oglądalność miał spośród tych trzech tytułów najlepszą.

Skąd pomysł? Otóż Bogusław Chrobota, ówczesny dyrektor programowy Polsatu, uznał, że nieźle byłoby zrobić polską wersję „Świata według Bundych”, czyli amerykańskiego sitcomu o rodzinie Bundych, w którym główną rolę – głowy rodziny Ala Bundy’ego grał doskonały Ed O’Neill.

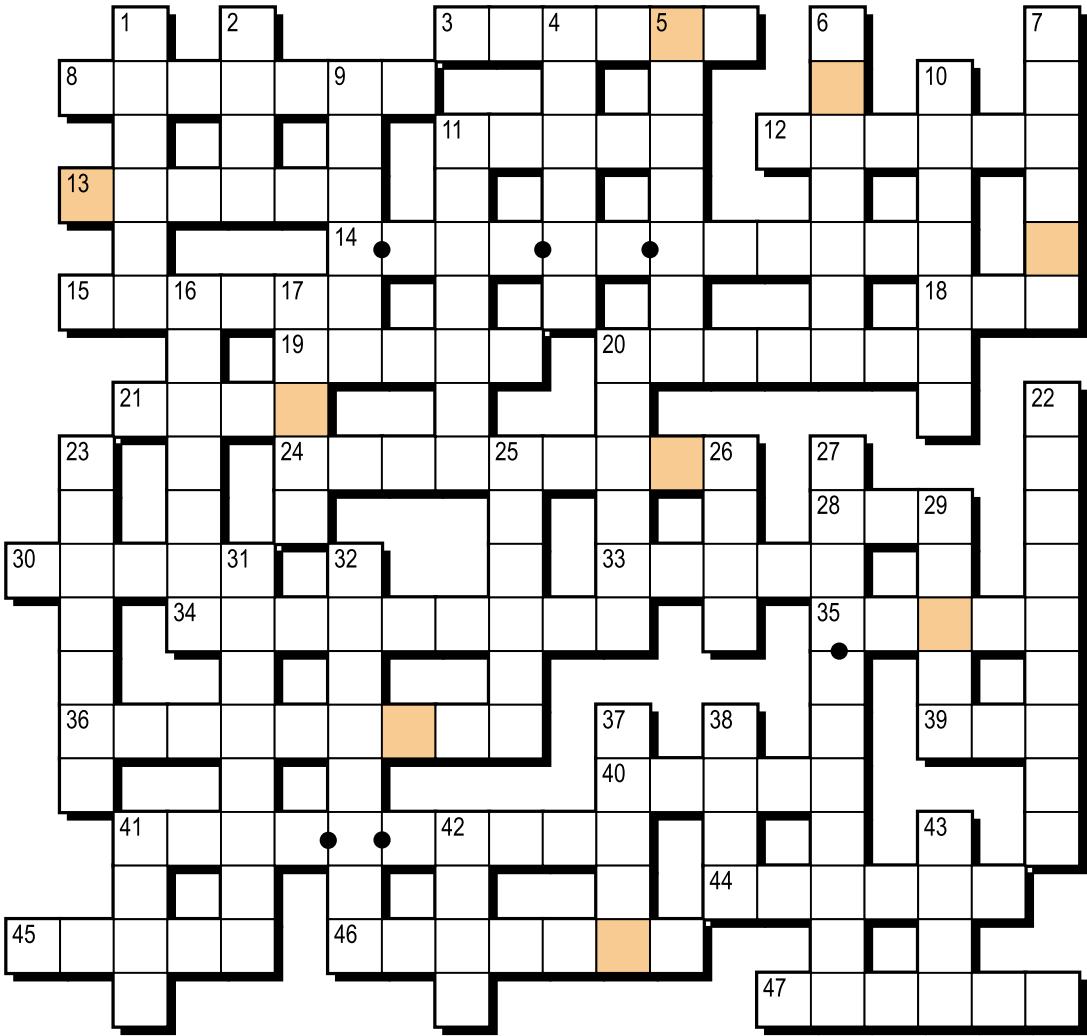
„Świat według Bundych” był wtedy hitem ramówki Polsatu. „Świat według Kiepskich” stał się jeszcze większym.

Andrzej Grabowski (Ferdek Kiepski), Marzena Kipiel-Sztuka (Halinka Kiepska) czy nieżyjący już Ryszard Kotys (Paździoch) i Dariusz Gnatowski (Boczek) stworzyli niezapomniane kreacje, a serial był emitowany na Polsacie przez 23 lata.

„Tu głównie chodzi o prozę naszego życia. Tragedie »Świata według Kiepskich« to są tragedie braku haczyka w kiblu” – mówił mi swego czasu Aleksander Sobiszewski, jeden ze scenarzystów serialu.

A my dziś w „Weekendówce”, z okazji owej „kiepskiej rocznicy”, przypomnimy polskie sitcomy. Łezka się w oku zakręci – gwarantujemy!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 93 z 9.03:

Poziomo:
1) biznesmen 7) Brutus
12) Herostrates 13) Lee
14) Quisling 15) Maradona
16) Stalin 17) Kain 19) Bernie
21) caryca 22) kariera
23) Bona 24) Titanic 25) Mao
26) Lance 27) droga
30) Clyde 32) Duce
33) ciastka 36) zdrajca
37) Milli Vanilli

Pionowo:
2) Zborowski 3) Norwegia
4) Tulipan 5) Rzewuski
6) Petain 8) Konrad
Mazowiecki 9) gangster
10) Albania 11) Herod
15) Mike 18) Neron
19) Benedict 20) Ratko
21) Chile 22) Kaligula
23) biegacz 25) Mary
28) Attyla 29) Cenci
31) Lewis 34) Ali
35) Alva

HASŁO:
RENEGACI

SITCOMY
Liter y w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
3) imię doktora Wstrząsa („Daleko od noszy”) **8)** serial komediowy, w których występują rodziny Czajek i Srok **11)** Walduś dla Ferdka **12)** podkładany w sitcomach **13)** Paweł Wawrzecki w „Daleko od noszy” **14)** sitcom z Bogusławem Lindą w roli głównej **15)** imię Paździocha **18)** wielbiciel filmu, aktora **19)** Cezary Żak w „Miodowych latach”

20) dawny teleturniej „Kochamy polskie ...” **21)** Piotr, zagrał Arniego w „13 posterunku” **24)** Łubicz ze „Szpitala na perypetiach” **28)** rodziny Boskich – pod Warszawą **30)** aktor, że boki zrywać **33)** Aleksandra Woźniak w „13 posterunku” **34)** Edyta dla Heleny Trojańskiej (najlepsza ...) **35)** ... Lipińska, grała teściową Krawczyka („Miodowe lata”) **36)** siostra Czarka z „13 posterunku” **39)** Tomasz, zagrał Skalskiego w serialu „Niania” **40)** imię odtwórcy roli doktora Basena („Daleko od noszy”)

41) podtytuł kontynuacji serialu o rodzinie z określenia 46 poziomo **44)** imię Boczka, miłośnika mongolskiego baletu **45)** nazwisko komendanta „13 posterunku” **46)** nazwisko Jadwigi (Joanna Kurowska) i Wiesława (Zbigniew Buczkowski) **47)** Agnieszka, serialowa Frania Maj

Pionowo:
1) imię żony Ferdynanda Kiepskiego **2)** Mocny ..., ulubione piwo Ferdka **4)** żona Tadeusza Norka („Miodowe lata”) **5)** Czesław Basen i Roman Kidler („Daleko od noszy”) **6)** film, że boki zrywać

7) imię aktora, który zagrał listonosza Edzia odwiedzającego Kiepskich **9)** Anna Przybylska w „Daleko od noszy” **10)** „Biegnie, biegnie ... przez szosę białostocką” (w świątecznej piosence pisanej przez Krawczyka i Norka) **11)** „bohaterowie” tej krzyżówki **16)** Arnold Boczek z zawodu **17)** Andrzej Grabowski **20)** Marzena Kipiel-..., odtwórczyni roli 1 pionowo **22)** żony Ferdka Kiepskiego – nerwowi, **23)** miasto Kiepskich **25)** serial, którego bohaterką jest Frania Maj **26)** Tadeusz, prowadził program „Zulu-Gula” z podkładanym śmiechem

27) kamerdyner Konrad w serialu „Niania” **29)** imię odtwórcy roli Stanisława Bogackiego w serialu „Sąsiedzi” **31)** ... Matołek, bohater ulubionej kreskówki babki Kiepskiej **32)** buldog komendanta „13 posterunku” **37)** w nich Hela, którą zagrała Anna Guzik **38)** Anna, pierwsza ... Skalskiego (rola Agnieszki Wagner) **41)** wyprowadzili się z niego bohaterowie serialu „Bulionerzy” **42)** ... zdjęciowy (kamera – akcja!) **43)** imię odtwórczyni roli Zuzi Śnieżanki

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34295017

Byle do

weekendówka

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI

WYBORCZEJ